



Sally Howard
DZIENNIKI KAMASUTRY

SERIA REPORTERSKA



FOT. LAURA PANNICK/PLATINUM



Sally Howard (ur. 1976)

Brytyjska dziennikarka, podróżniczka. Pisze m.in. dla „The Sunday Times”, „The Sunday Telegraph”, magazynu „Forbes Lifestyle”. Wiele tekstów poświęciła zdrowiu i sprawom kobiet, m.in. aranżowanym małżeństwom w Chinach, konsekwencjom trzęsienia ziemi dla mieszkanki Nepalu czy surogatkom i „przemysłowi” zastępczego macierzyństwa. Wydane w Wielkiej Brytanii *Dzienniki Kamasutry* zostały wpisane na listę najlepszych książek 2014 roku dziennika „The Scotsman”.

Sally Howard

DZIENNIKI KAMASUTRY

Podróże intymne po współczesnych Indiach

przełożył
Tomasz Bieroń



WARSZAWA 2016

Wydanie pierwsze, Warszawa 2016

Tytuł oryginału

The Kama Sutra Diaries: Intimate Journeys through Modern India

Copyright © Sally Howard 2013

The right of Sally Howard to be identified as the author of this work

has been asserted in accordance with the Copyright, Designs and Patents Act 1988

Copyright © for this edition by Fundacja Instytut Reportażu 2016

REDAKCJA

Magdalena Petryńska

KOREKTA

Joanna Dzik

TŁUMACZENIE

Tomasz Bieroń

KONSULTACJA INDOLOGICZNA

Ada Dyndo

PROJEKT GRAFICZNY I TYPOGRAFICZNY SERII I OKŁADKI

Magdalena Wdowicz-Wierzbowska

ADAPTACJA PROJEKTU OKŁADKI, SKŁAD I ŁAMANIE, DTP

Dominika Jagiełło/OneOnes Creative Studio/

www.behance.net/OneOnes

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE

© KjellBrynildsen/Getty Images

FOTOGRAFIA AUTORA

Laura Pannack/platnum

ISBN 978-83-943118-6-5

REDAKTOR NACZELNA WYDAWNICTWA

Julianna Jonek

Wydanie elektroniczne 2016



Wydawnictwo Dowody na Istnienie
Imprint Fundacji Instytut Reportażu
Gałczyńskiego 7, 00-362 Warszawa
www.instytutR.pl, dowody@instytutR.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

PRZEDMOWA

CZĘŚĆ PIERWSZA – PÓŁNOC I. NO TO POWIEDZ MI, JAK TO KIEDYŚ
ROBILI

ROZDZIAŁ 1. POZYCJA NIEMOŻLIWA, MADHJA PRADEŚ

ROZDZIAŁ 2. FRYWOLNE INDIE BRYTYJSKIE, ŚIMLA

ROZDZIAŁ 3. CZARNO NA BIAŁYM, ŚIMLA

CZĘŚĆ DRUGA – PÓŁNOC II. A JAK TO WYGLĄDA DZISIAJ

ROZDZIAŁ 4. WSZYSTKO O DROCZENIU SIĘ Z EWA, DELHI

ROZDZIAŁ 5. JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA
DZIEWCZYNY, DELHI

ROZDZIAŁ 6. JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA
CHŁOPAKA, DELHI

ROZDZIAŁ 7. JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA HIDŹRÓW,
GUDŻARAT

ROZDZIAŁ 8. KALORYFEREK NA BRZUCHU, AMRITSAR

CZĘŚĆ TRZECIA – WSCHÓD. NA WSCHODZIE JEST INACZEJ

ROZDZIAŁ 9. PIĘCIU MĘŻÓW BABCI, MEGHAŁAJA

ROZDZIAŁ 10. SEKS, ŚMIERĆ I DUCHOWE PODNIETY,
WARANASI

CZĘŚĆ CZWARTA – POŁUDNIE. W OPARACH POŁUDNIOWYCH
INDII

ROZDZIAŁ 11. EKRAKOWE SYRENY, KERAŁA

ROZDZIAŁ 12. DIRTY DANCING, KERAŁA

ROZDZIAŁ 13. WEZWIJMY DOKTORA MIŁOŚĆ, CENNAJ

ROZDZIAŁ 14. ZA KULISAMI BOLLYWOOD, MUMBAJ

ROZDZIAŁ 15. MIŁOŚĆ W CZASACH FACEBOOKA, MUMBAJ

ROZDZIAŁ 16. DZIESIĘĆ TYSIĘCY WIELKICH, TŁUSTYCH
INDYJSKICH WESEL

BIBLIOGRAFIA

PODZIĘKOWANIA

UWAGI NA TEMAT TRANSKRYPCJI I ZAPISU NAZW WŁASNYCH

Przypisy

PRZEDMOWA

Do Indii po raz pierwszy pojechałam w wieku dwudziestu kilku lat. Podobnie jak wielu innych ludzi Zachodu natychmiast urzekła mnie żywa historia, barwność i chaos tego kraju. I podobnie jak wielu innych wielokrotnie tam wracałam. Podczas mojego teraz już piętnastoletniego romansu z Indiami wiele od nich dostałam: zachwycające panoramy, szkolenia z zachowywania zimnej krwi w obliczu bizantyjskiej biurokracji, przepyszne jedzenie i dramatyczne choroby. Przede wszystkim jednak Indie dały mi swoje historie.

Historie te zaczęły nadawać kierunek mojej pracy jako dziennikarki-podróżniczki i reporterki. Wyspecjalizowałam się w pisaniu o Indiach. Pisałam relacje z marszów kobiet z Bhopalu – rok w rok pokonują one boso siedemset kilometrów, aby zaprotestować przeciwko katastrofie chemicznej, która doprowadziła mieszkanki tego miasta do bezpłodności, przez co na okrutnym indyjskim rynku matrymonialnym nigdy nie znajdują sobie męża. Pisałam o buntowniczej karierze małżeństwa z miłości w społeczeństwie indyjskim i o coraz donośniej zabierającej głos społeczności LGBT, która próbuje zobaczyć swoją przyszłość przez pryzmat bogatej indyjskiej historii seksualnej inności.

Mimo tych licznych wypraw coś nie dawało mi spokoju. Wiele aspektów rzeczywistości nadal mi umykało. Dręczyła mnie zagadka, jaką stanowią Indie i ich mieszkańcy pod względem społecznym, duchowym, a przede wszystkim seksualnym. Jest to przecież kraina, która dała nam Kamasutrę, wciąż niedościgniony traktat o rozkoszach i technikach erotycznych. Ale jednocześnie ta część świata jest najbardziej przywiązana do idei małżeństwa aranżowanego, bez miłości. To kraj parady, czyli zasłaniania kobiety przed światem za pomocą stroju i wysokich murów wokół domu, ale także matriarchalnych grup etnicznych traktujących mężczyzn jak narzędzia

rozpłodowe i rolnicze. Jest to kraj, w którym rodziny kłaniają się realistycznym rzeźbom fallusa w pochwie, czyli śiwalingom, ale policja rutynowo zaczepia pary grzeszące publicznym trzymaniem się za ręce.

Projekt tej książki, próby zbadania tych społecznych i seksualnych patologii – nazwijmy go moją „seksploracją” – zaczął nabierać kształtu cztery lata przed jej ukończeniem. Zauważyłam bowiem w Indiach pewną zmianę klimatu: młodzi Indusi zaczęli zatykać zużytymi prezerwatywami muszle klozetowe w centrach obsługi klienta, oglądali więcej pornoli niż mieszkańcy jakiegokolwiek innego kraju na świecie i coraz głośniej protestowali przeciwko przemocy seksualnej, co zresztą czynią do dzisiaj. Ponieważ Indie rozwijały się w zawrotnym tempie, a zmiany społeczne były w dużym stopniu skoncentrowane wokół tematu seksu, płci i seksualności, uznałam, że czas wyruszyć w podróż, o której przeczytacie niżej. Teraz albo nigdy.

Podróż ta – pociągiem, samolotem i autorikszą – prowadzi z północy na wschód i południe przez ogromne połacie Indii. Z zalesionego stanu Madhja Pradeś kieruję się na północ w stronę Śimli u podnóża Himalajów, stamtąd zmierzam na ludne północne równiny do Amritsaru i Delhi, a następnie obieram kurs na wschód do starego miasta Waranasi nad Gangesem i dalej do górzystego Śilangu, gdzie indyjska topografia i kultura zlewają się z topografią i kulturą sąsiedniego Bangladeszu, Chin i Nepalu. Ze wschodu jadę na południe do żyznej, słonecznej Kerali i dalej do Ćennaju (dawniej Madras), miasta tak rozgrzanego jak młodzi klienci zatłoczonych klinik seksualnych. Podróż kończę w dusznym Mumbaju (dawniej Bombaj), metropolii nad Morzem Arabskim, która hołduje dwudziestopierwszowiecznym ambicjom, dlatego związki zawiera się tam przez internet i w sferze seksualnej wszystko jest dozwolone, włącznie z traktowaniem potencjalnych partnerów jak towaru w witrynie sklepowej.

W mojej seksploracji patrzę na Indie przez pryzmat epoki: najpierw cofam się o dwa milenia do duchowych i filozoficznych korzeni indyjskiej seksualności opisanych w słynnym traktacie autorstwa Watsjajany, dzisiaj prezentowanych w całej swojej okazałości na tak zwanych świątyniach Kamasutry w Madhja Pradeś. Potem, w Śimli, zwracam się ku znacznie

nowszej historii, a mianowicie ku okresowi wiktoriańskich kolonialistów brytyjskich, których Indusi nazywają Britishers. Trzy pokolenia wiktorian usiłowały zmodyfikować i poskromić indyjską seksualność, a ich dziedzictwo, podobnie jak spuścizna odwiecznej sanskryckiej tradycji duchowej, jest nadal żywe zarówno w Indiach, jak i na Zachodzie. Następnie przenoszę się do współczesności, usiłując uchwycić obraz narodu w trakcie sejsmicznych zmian społecznych.

Podchodzę do tego wszystkiego jako dziennikarka, a także kobieta zafascynowana zmianami społecznymi. Nie da się jednak uciec od tego, że na metamorfozy indyjskiej seksualności i polityki seksualnej patrzę również z własnej, bardziej osobistej perspektywy dziecka zachodniej rewolucji seksualnej. Pokolenie moich rodziców, ośmielone wynalazkiem pigułki antykoncepcyjnej i drugą falą feminizmu, stworzyło nowy, wspaniały świat seksualny i społeczny. Wierzyło – i przekazywało tę wiarę nam, swoim dzieciom – że możemy mieć wszystko: wolną miłość, jeśli zechcemy, a jeśli nie zechcemy, małżeństwo nieskrępowane przymusem ekonomicznym. Próbuję uzyskać odpowiedź na pytanie, dlaczego tak wielu przedstawicieli mojego pokolenia czuje się zawiedzionych tym, co z tej obietnicy zostało.

Badam także trwające od kilku stuleci balansowanie na linii między wschodnią i zachodnią seksualnością – od czasów, kiedy pierwsi urzędnicy Kompanii Wschodnioindyjskiej cieszyli oczy widokiem „dorodnych hurys Orientu”, przez skandal wywołany przybyciem przekładu Kamasutry do Anglii jęczącej w okowach późnowiktoriańskiej moralności seksualnej, po hipisowskich „cudaków”, którzy przyjechali do Indii w latach sześćdziesiątych, licząc na to, że trochę pooddychają nieskrywaną cielesnością dawnego hinduizmu. Przyglądam się temu, jak seksualne wizerunki i autowizerunki Wschodu i Zachodu oddziaływały na siebie nawzajem, od kiedy elżbietańscy emisariusze z zimnej i niezbyt ważnej wyspy po raz pierwszy zachwycili się wspaniałością Indii za panowania dynastii Mogołów.

Podróżuję z dodatkową parą oczu, w każdym razie wtedy, kiedy pozwalają na to obowiązki zawodowe i rodzicielskie Dimple,

trzydziestodwuletniej mieszkanki Delhi. Poznałam ją w 2005 roku, kiedy zatrzymałam się w hotelu, którego była rzecznikiem prasowym. Jak to często bywa z indyjskimi kobietami, za fasadą nienagannych manier kryła się rozkoszna obrazoburczość. Po ośmiu latach jest moją dobrą przyjaciółką i należy do niewielkiej, ale rosnącej grupy kobiet, które miały chęć uciec od nieszczęśliwego aranżowanego małżeństwa. Można więc powiedzieć, że jest żywym ucieleśnieniem indyjskich przemian społecznych. Moja podróż to zatem również próba spojrzenia na zmieniające się Indie oczami kobiety, której osobiste szczęście w jakimś stopniu zależy od rezultatów tej transformacji.

Żeby czytelnik mógł sobie wyrobić choćby ogólne wyobrażenie o zmianach na subkontynencie indyjskim, przytoczę trzy wydarzenia z czasów mojej podróży: gwiazdka Bollywood Sherlyn Chopra jako pierwsza obywatelka Indii wzięła udział w rozbieranej sesji dla „Playboya”, jednego z parlamentarzystów przyłapano na oglądaniu pornografii podczas obrad, a w wielu miastach kraju wybuchły zamieszki, kiedy pewna muzułmańska aktorka oskarżyła indyjskie czasopismo dla mężczyzn o przyprawienie jej Photoshopem sutków. W tym samym czasie pojawiły się również pierwsze zwiastuny społecznych protestów, kiedy to dziesiątki tysięcy Indusów demonstrowało przeciwko powtarzającym się przypadkom brutalnych gwałtów.

Podczas naszej podróży doznajemy kilku olśnień dotyczących tego, co nas uformowało, a otoczenie często uśmiecha się na nasz widok – chociaż czasem marszczy brwi. Przed wszystkim jednak spróbujemy zajrzeć pod kołdrę zjawisku, które dygocze pod tym wszystkim jak elektryczne zabawki seksualne nielegalnie kupowane przez młode pary na straganach przy bocznych uliczkach Delhi, czyli indyjskiej rewolucji seksualnej.

CZEŚĆ PIERWSZA

PÓŁNOCI
NO TO POWIEDZ MI, JAK TO KIEDYŚ ROBILI

ROZDZIAŁ 1 POZYCJA NIEMOŻLIWA, MADHJA PRADEŚ EROTYCZNE ŚWIĄTYNIE KAMASUTRY W KHADŻURAHO

Wreszcie Miłowanie to przy współudziale jaźni słuszna skłonność zmysłów słuchu, wzroku, smaku i powonienia, których ostoją jest serce, ku odpowiednim przedmiotom. Rozkosz płciowa to rezultat szczególnego kontaktu z przedmiotem zmysłów. Przepęlnia ją szczęście zespolenia miłosnego i owocuje nasieniem. Jest ona najpierwszą pośród innych rozkoszy, dlatego cała owa dziedzina żywota zowie się Miłowaniem.

Kamasutra, s. 17-18^[1]

– Patrzcie tam: Kali – mówi Adżaj, nasz przewodnik. – Kali, dzika bogini. Kali, bogini czasu i zmiany.

Spotykamy się z Adżajem w bramie zachodniego kompleksu świątyń w Khadżuraho, miejscowości w środkowoindyjskim stanie Madhja Pradeś. Jest to pozbawiony dostępu do morza obszar spalonych słońcem równin,

lasów i porośniętych karłowatymi krzewami pagórków, zajmujący mało zaszczytną pozycję lidera indyjskiego indeksu głodu. Większość turystów przyjeżdża tutaj dla dwóch rzeczy: tygrysów w parkach narodowych Bandhawagarh i Kanha oraz świątyń w takich miejscowościach jak Bhodźpur, i dla Ćitrakutu, domniemanego miejsca pobytu bohaterów indyjskiego eposu Ramajany, Ramy i Sity, tragicznie rozdzielonych, uważanych w Indiach za wcielenia boga Wisznu i bogini Lakszmi. I jeszcze dla Khadźuraho, gdzie średniowieczny kompleks świątynny w ostatnich dwóch dekadach stał się drugą po Tadź Mahalu najczęściej odwiedzaną atrakcją turystyczną Indii.

Adżaj prowadzi nas do świątyni Kandarija Mahadewa (Wielkiego Boga Jaskini, czyli Śiwy), największej i najbogaciej rzeźbionej w całym kompleksie Khadźuraho. W swoich żółtych, rozszerzanych u dołu spodniach wydaje się sunąć jak na rolkach po trawie, którą palące słońce indyjskich równin barwi na złocistą zieleń.

– Poświęcony Kali mit stworzenia mówi, że jej joni, czyli pochwa, spadła z nieba na święte wzgórze w pobliżu Guwahati w Asamie – ciągnie Adżaj. – Na płaskorzeźbach jest zatem przedstawiona jako kucająca z rozwartą joni. Często kuca nad fallusem, reprezentującym najświętszy z nich, linga Śiwy, albo też trzyma fallusy w swoich licznych dłoniach. Kali jest najważniejszą boginią hinduizmu tantrycznego i z jej najwcześniejszych przedstawień wynika, że seks był głównym elementem indyjskiej religii. Wiele osób widzi w Kali boginię śmierci, gniewu i zniszczenia, ale to karykaturalny obraz. Kali była również zawsze związana z seksualnością, ściślej, z hinduską ideą seksualności, czyli śakti, żeńską siłą stwórczą. W czasach Ćandellów i wiele stuleci wcześniej droga do oświecenia była oczywista: prowadziła przez oddawanie czci kobiecym pochwom. Rządziła zasada żeńska – Matka Ziemia.

Ćandellowie – dynastia władająca środkowymi Indiami od X do XIII wieku, która przybyła z terytoriów dzisiejszego Pakistanu i Afganistanu – mieli swoją stolicę w Khadźuraho, a później w Mahobie, w dzisiejszym stanie Uttar Pradeś. Pasji do sztuki rzeźbiarskiej, z którą dynastia ta zaczęła być później utożsamiana, Ćandellowie najbardziej oddawali się jednak

w Khadźuraho. To tutaj zbudowali na leśnych polanach co najmniej osiemdziesiąt pokrytych misternymi rzeźbieniami świątyń (zachowało się tylko dwadzieścia pięć) z żółtego piaskowca, w kojarzącym się z pszczelim ulem stylu nagara, w którym bryła budynku zwieńczona jest wieżą, śikhara, przypominającą szczyt góry.

Utrzymane w tym stylu świątynki w Khadźuraho odróżniają od podobnych, licznych w Indiach konstrukcji temat wystroju rzeźbiarskiego. Najniższe fryzy to ogromne erotyczne komiksy. Rzeźby mieszczą się w przedziale od najokazalszych prac w świątyniach Kandarii Mahadewy, Wiśwanathy, Lakszmany w grupie zachodniej, powstałych w XI wieku w okresie największego rozkwitu imperium, po bardziej prymitywne dzieła w kompleksie wschodnim i świątyniach południowych, kiedy chylące się ku upadkowi państwo Ćandellów już tylko nieudolnie powielalo swoje dawne osiągnięcia z dziedziny wyobraźni i sztuki erotycznej.

W Khadźuraho setki metrów dynamicznych fryzów zaludnia cała chmara postaci: zwierzęcych, boskich, ludzkich i hybrydowych. Niebiańskie nimfy, apsary, rozpościerają ozdobione klejnotami nagie ciała, nakładają makijaż, myją włosy i co krok zawiązują i rozwiązują pasy szat kojarzące się ze znakami interpunkcyjnymi na świątynnych ścianach. Często pojawiają się również rzędy gryfów oraz nagich antropomorficznych bóstw opiekuńczych (jest tu także bóg Brahma jako lubieżny podglądacz z tłustym brzuchem). My jednak jesteśmy tutaj dla głównej atrakcji: par splecionych ze sobą w akrobatycznym uścisku, czyli par mithuna.

– *Wah!* – ten gromki indyjski wykrzyknik, który lokuje się gdzieś pomiędzy zaskoczeniem i potwierdzeniem, wychodzi z ust mojej dobrej przyjaciółki, która stoi obok mnie. Kiedy ją poznałam, właśnie założyła na stworzony przez indyjskie feministki szyderczy przydomek GIG, czyli Good Indian Girl, ponieważ podążała w życiu drogą wytyczoną dla większości dziewczyn z wyższej klasy średniej: uniwersytet dla dziewcząt, a później zaaranżowane małżeństwo z inżynierem z bogatej stolicy Pendżabu, Ćandigarhu. Nosila się stosownie do swojej roli: włosy długie i błyszczące od olejku jaśminowego, biżuteria z matowego złota i schludne, stonowane sari.

Dzisiaj nadal ubiera się w stylu, jak to nazywa, *arty smarty*, czyli pretensjonalnie artystowskim. Stanowczo odrzuca dżinsowy uniform młodych mieszkank metropolii na rzecz jedwabnych szali z Majsuru i eleganckich śalwar kamiz – ten strój złożony z luźnych spodni i sięgającej do kolan tuniki w indyjskich wyższych sferach znamionuje kobiecą skromność. Pod wszystkimi innymi względami przeistoczyła się jednak w bardziej interesujące, a nawet asertywne stworzenie: rozwiedzioną samotną matkę, która nie przeprasza za swój status matrymonialny, kiedy oddaje się licznym „zdrożnym” obyczajom – je ciężkie posiłki, lemoniadę popija dżinem i używa cukru, co jest powszechną słabością w kraju, w którym dziewięć procent ludności choruje na cukrzycę typu 2.

Pod wieloma względami Dimple jest pionierką: wytycza szlak przez ziemię niczyją między indyjskimi oczekiwaniami społecznymi a wolą jednostki, dokonuje własnych wyborów, lekceważąc ogromną presję, żeby była Good Indian Girl. Bez wątpienia bardzo sprytnie radzi sobie w społeczeństwie, które z punktu widzenia kobiety należy do najbardziej zagmatwanych i pełnych sprzeczności na świecie.

– Na jakimś etapie – ciągnie Adżaj – hinduizm stracił śakti. Zachowaliśmy boginie, ale śakti gdzieś się zgubiło. Wynikało to z jednej wielkiej idei wspólnej dla dwóch potęg, które podbijały Indie, czyli patriarchatu.

Najpierw na południe subkontynentu przybyli muzułmanie. W czasach swoich pierwszych wypraw, złotym wieku islamskiej nauki i handlu, tolerowali liczne indyjskie bóstwa niezależnie od ich płci. Jednak w epoce Mogołów (1526–1857), zwłaszcza za panowania cesarza Aurangzeba, stali się brutalni. Kilkakrotnie burzyli hinduską wieczną świątynię w Somnath w Gudźaracie, dewastowali tantryczne świątynie poświęcone joginkom.

Nie była to jednak cała historia. Jeszcze na początku XVII wieku spod pióra Muhammada Kuliego Kutuba Śaha (1580–1612), piątego sułtana z dynastii Kutub Śahi panującej w obsypanej diamentami Golkondzie (część dzisiejszego Hajdarabadu), a jednocześnie poety, wyszły następujące wersety (*Basant*, hymn na cześć wiosny):

Jej sutki pod wilgotnym stanikiem zdają się czarne niby noc,

Jak noc może się oprzeć słońcu? To dla mnie zupełnie niepojęte.

– Później oczywiście do Indii przybyli Brytyjczycy – ciągnie Adżaj – z nową koncepcją nieba i ziemi, którą zarządzali biali mężczyźni. Miało to wpływ na hinduizm śiwaicki, w którym bóg Śiwa jest uważany za najwyższe bóstwo.

W okresie największego rozkwitu Indii Brytyjskich, kiedy samą Wielką Brytanię zalała bezprecedensowa fala purytanizmu, zaczęło być głośno o erotycznych świątyniach w Khadźuraho. Przez kilka stuleci te zespoły świątynne stały zapomniane, ukryte w gęstych lasach środkowych Indii, nietknięte przez panujących w Indiach władców muzułmańskich. W 1853 roku ponownie odkrył je dla nas Alexander Cunningham, generał, który prowadził w Madhja Pradeś prace geodezyjne w ramach badań prowadzonych przez Archaeological Survey of India.

Cunningham, przemierzający się w palankinie niesionym przez kulisów, w raporcie przesłanym do Kalkuty, stolicy imperium brytyjskiego, określił świątynne fryzy odkryte w Khadźuraho jako „dosyć gorące”. Późniejsze reakcje na tę sztukę miały mniej eufemistyczny charakter. W latach siedemdziesiątych XIX wieku obiekty te uznano za zagrożenie „moralności publicznej”, co sprawiło, że zarówno indyjskich poddanych, jak i Brytyjczyków odcięto od nich z obawy, że wyuzdana cielesność scen zdemoralizuje kobiety, brytyjskie memsahiby^[2], na których spoczywał obowiązek stania na straży cywilizowanych norm seksualnych w krajach kolonialnych.

– Brytyjczycy nazywali je „świątyniami Kamasutry” – kontynuuje Adżaj – chociaż w Kamasutrze tak naprawdę nie chodzi wyłącznie o seks. – Wyjmuje z kieszeni chusteczkę i przeciera spocone czoło. – Kamasutra to tylko jeden z tomów całego zbioru tekstów erotycznych i poradnikowych – Kamaśastra – jak dobrze i zacnie żyć. Konkretnie porady dotyczące poszukiwania kamy, czyli rozkoszy, były przeznaczone dla dysponującego dużą ilością wolnego czasu playboya, światowca z przeżywającego rozkwit imperium Guptów. Tekst powstał między I a V wiekiem, a jego autorstwo przypisuje się mędrcomi Watsjajanie. Niewiele o nim wiemy poza tym, że być może żył

w celibacie!

– A kim był wiktoriański tłumacz na angielski? – pyta Dimple. – Dużo ryzykował, prawda?

– Sir Richard Burton – odpowiada Adżaj – urzędnik Indii Brytyjskich, uczonego i poszukiwacza przygód. Rzeczywiście dużo ryzykował. Niewiele brakowało, a razem z pomocnikiem, niejakim Arbuthnotem, zostałby aresztowany za swój przekład, ponieważ tekst uznano za skrajnie obsceniczny. Trudno uwierzyć, ale przekład Burtona, który przez te wszystkie lata krążył po świecie, oficjalnie opublikowano w Wielkiej Brytanii i Ameryce dopiero w 1962 roku!

Te pocztówki z wyzwolonej seksualnie przeszłości Indii – sztuka i literatura erotyczna podciągnięta pod ogólną kategorię Kamasutry – miały wielki udział w pogłębieniu się wiktoriańskiego stereotypu Indii jako kraju rozwiązłego. Rozpoczęto politykę represji wymierzonych w praktyki i grupy ludności uznane za szczególnie rozwiązłe, na przykład w dawną tradycję tawaif, nadwornych konkubin, dewadasi, tancerek świątynnych poświęconych bogom (czasami, chociaż nie zawsze, uprawiające prostytutkę) oraz hidżry, trzecią płęć.

Przeprowadzając w 1868 i 1871 roku spisy powszechne, skupiono się na wybranych grupach, które reformatorzy Indii Brytyjskich chcieli nadzorować, między innymi na prostytutkach, trędowatych i hidżrach (nawiasem mówiąc, kobiet nie wymieniano z imienia, podawano tylko ich liczbę w gospodarstwie domowym). Prestiż społeczny tych grup zaczął się powoli obniżać, ale przetrwały. Coraz trudniejsza droga, na którą je zepchnięto, mogła prowadzić tylko w jednym kierunku – w stronę seksu zarobkowego.

Na płaskorzeźbie, którą mamy przed oczami, bogini Kali nie tyle przyjmuje pozycję seksualną, ile stanowi część seksualnej sceny. Nie ma piersi, czemu nie są jednak winni muzułmańscy władcy, lecz upływ dziesięciu stuleci. Ale w innych miejscach kształty jej ciała zachowały się tak dobrze, jakby wyrzeźbiono ją w zeszłym tygodniu.

Szpiczasta fryzura Kali przypomina kojarzące się z plastrami miodu świątynne wieże, które w dowolnym miejscu Indii otaczają pierścieniem

horyzont. Na jej ramionach siedzą w pozycji lotosu dwie nagie apszary i bawią się własnymi piersiami, dużymi i okrągłymi jak melony. U jej stóp dwa gryfy ciągną się za penisy: ten po lewej jednocześnie robi dobrze sąsiadowi, a ten po prawej wolną ręką wkłada sobie do ust liść.

– To jest liść betelu – wyjaśnia Adżaj i wyjmuje z kieszeni pan, indyjski specyfik na trawienie, czyli zawinięte w liść betelu orzechy arekowe oraz słodkie i słone dodatki, takie jak miąższ kokosa i konfitura z płatków róży. – Dzisiaj jemy betel w takiej postaci, a prawdziwy nałogowcy żują same liście. Jednak zawsze służył jako afrodyzjak. W Kamasutrze jest rada, żeby przygotowując się do seksu, kochankowie natarli się nawzajem olejkiem sandałowym i nakarmili betelem; zachodnim odpowiednikiem byłby pewnie olejek do ciała i szampan.

Obchodzimy dokoła Kandariję Mahadewę i oglądamy paradę jeszcze lubieżniej pornograficznych par mithuna w świątyni Lakszmany. W pierwszej grupie dłoń kobiety spoczywa na genitaliach mężczyzny, a na prawo od niej dwaj mężczyźni wysuwają ku sobie języki. Kolejna grupa składa się z mężczyzny, który na stojąco kopuluje z kobietą ze skrzyżowanymi nogami, podtrzymywaną przez dwóch masturbujących się pomocników. Trochę dalej mężczyzna obsługuje oralnie innego mężczyznę, a gryf patrzy na to z krotochwilną miną.

Kiedy przyglądamy się tym kłębowiskom ciał, mija nas sześćoosobowa indyjska rodzina: dwóch nastoletnich synów (jeden ma na sobie koszulę z wysokim kołnierzem w stylu mużułmańskim, a drugi czarny podkoszulek z Iron Maiden), córka w okularach z grubymi oprawkami, konserwatywnie wyglądający rodzice i babcia, która ma na sobie dwa rozpinane swetry i japonki włożone na skarpetki.

Ponieważ niewielu przedstawicieli narodu indyjskiego uważa przyglądanie się komuś za niegrzeczne, rodzina przystaje i gapi się – nie na erotyczne fryzy, lecz na oglądających je firangi, cudzoziemców. Najstarszy z synów wyjmuje aparat i prosi o „jedno zdjęcie”. Staje sztywno obok mnie, opasuje mnie ramieniem, drugą ręką pokazując na bezkompromisową scenę.

Dimple cmoka, kiedy rodzina się od nas oddala. Zjawisko „*one photo*” (jedno zdjęcie) – nagminne zaczepianie nas przez indyjskich turystów, którzy

dopraszają się o wakacyjną fotografię z wysoką białą kobietą – zawsze ją irytuje. Zastanawiam się dlaczego. Czyżby uważała takie zachowanie za wieśniackie, za złą reklamę dla jej mało kosmopolitycznych rodaków? Nie mam czasu zapytać. Kiedy turyści są już poza zasięgiem słuchu, Dimple mówi teatralnym szeptem:

– To mi przypomina wspinanie się na drzewa w dzieciństwie. – Pokazuje na fryz z parą, która spowija się nawzajem kończynami jak w harcerskim węźle. Kobieta opiera jedną stopę na stopie mężczyzny, a drugą na jego biodrze. Jednym ramieniem trzyma się jego pleców, a drugim szyi, obejmując ją. Do tego wszystkiego dochodzi typowy dla Khadźuraho pikantny szczegół, a mianowicie parę flankuje dwójka innych bóstw z twarzami wykrzywionymi bólem albo ekstazą i penisami w dłoniach.

Wyciągam z plecaka zaczytaną książkę, pamiątkę z wcześniejszej podróży do Goa, i wytrzepuję z niej drobinę jasnego piasku.

– To jest jeden z czterech głównych sposobów obłapienia w Kamasutrze – mówię. – Posłuchajcie: „Jeśli wsparłszy jedną nogę na jego stopie, drugą albo na udzie wesprze, albo udo nią otoczy i jednym ramieniem plecy obłapi, a drugim jego bark przyciągnie i przez chwilę jedną okrzyk wydaje cichy lub jak gołębica grucha, a dla całunku jakby wspiąć się chciała – to będzie wspięcie się na drzewo” (*Kamasutra*, s. 42).

Dimple śmieje się zachwycona.

Kiedy idziemy dalej wzdłuż zacienionej ściany świątyni Lakszmany, przypominam sobie pozostałe trzy główne pozycje z Kamasutry. „Spowicie liany” dzisiaj nazwalibyśmy pozycją na stojaka. W „ryżu i sezamie” uda i ramiona pary „niczym do walki ciasno się ze sobą splecą”, a w bardziej rozpoznawalnej dla ludzi Zachodu pozycji „mleko i woda” kobieta siedzi w objęciach mężczyzny twarzą do niego.

W Khadźuraho, tak samo jak w Kamasutrze, jest wiele znajomych, ale również wiele bardzo egzotycznych przedstawień seksu. Przede wszystkim repertuar pozycji seksualnych jest znacznie bogatszy niż sztapowe ruchy w zachodnich filmach pornograficznych, co budzi we mnie myśl, że przez lata, które upłynęły od tego czasu, przestrzeń seksualnych rozkoszy się zawężyła, a nie poszerzyła.

Adżaj prowadzi nas do zachodniego rogu świątyni i mówi, błyskając zębami w uśmiechu:

– Patrzcie, tutaj widać, czego dawni hindusi mogą nas nauczyć o tym, żeby nie traktować seksu i religii zbyt poważnie. To jest Ganeśa, bóg z głową słonia, który szeroko się uśmiecha. Na co patrzy?

Mamy do czynienia ze skrótem perspektywy. Mijamy róg świątyni i widzimy za plecami Ganeśi łysego bramina^[3] in flagranti ze zgiętą w pół dwórką przytykającą czoło do kolan. Teraz już wiemy, że uśmiech Ganeśi jest uśmiechem zadowolonego z siebie podglądacza. Taka frywolność byłaby nie do pomyślenia w tradycji judeochrześcijańskiej albo w islamie, zwłaszcza dwudziestopierwszowiecznym, szarpanym bolesnymi zmianami.

Jaki był zatem pierwotny cel radykalnej sztuki erotycznej w Khadźuraho? Tak naprawdę nikt tego nie wie. Niektórzy twierdzą, że pary mithuna służyły jako narzędzie edukacji seksualnej, były czymś w rodzaju średniowiecznego Mastertona. Wielu naukowców zwraca uwagę, że pojawiają się tylko w dolnych partiach, a zatem być może symbolizują niskie żądze, które trzeba przewartościwić, żeby osiągnąć wyższe poziomy duchowości i oświecenie. Trzecia hipoteza mówi, że pary mithuna miały być rozrywką dla bogów, aby powstrzymali się od wybuchów gniewu w porze monsunowej. Jeszcze inni przypuszczają, że prace rzeźbiarskie w Khadźuraho obrazują noc poślubną boga Śiwy i jego małżonki Parwati.

Siadamy na wysokim kamiennym cokole świątyni Warahy. W głębi, między dwiema ogromnymi kamiennymi kolumnami, znajduje się świątynne bóstwo w postaci gigantycznego kamiennego dzika: jest to Waraha, trzecie wcielenie hinduskiego boga Wisznu, najważniejszego bóstwa wisznuizmu, jednego z czterech głównych nurtów w hinduizmie. Przed nami rozciąga się piękny widok na kompleks zachodni z mrowiem turystów i fioletoworóżowe słońce znikające za sylwetkami świątyń.

Ucieczka na ten wysoko położony punkt widokowy pozwoliła nam uwolnić się od naganiaczy i przekupniów ciągnących za nami przez ostatnie piętnaście minut. We współczesnym miasteczku dla turystów, które powstało wokół Khadźuraho, pracowicie handluje się seksem – od stosunkowo mało drastycznych plastikowych pamiątek, po prostytutki,

w tym dzieci, oferujące swój towar w najbardziej ruchliwych miejscach, a także, co jest zjawiskiem nowym, młodych żigolaków, którzy nagabują starsze turystki w miejskich kawiarniach.

– Khadźuraho raczej nie ma nic wspólnego z Kamasutrą – mówi teraz Adżaj, krzyżując odziane w dzwony nogi, żeby nie stracić równowagi na wysokim cokole. – Od razu mówię, że słowo „kama” z tytułu eposu nie odnosi się do pojęcia przyczyny i skutku, jak uważa wielu ludzi Zachodu, lecz do jednego z czterech głównych hinduskich celów życia określanych terminem „puruszartha”: przyjemności seksualnej czy erotycznej. Pozostałe cele to dharma, co z grubsza oznacza odpowiednie postępowanie, powinność, zacność albo odpowiedzialność społeczną, artha, który dotyczy pieniędzy, władzy politycznej albo sukcesu, i moksza, ostateczny cel życia hindusa – wyzwolenie duchowe. Kama obejmuje również inne rozkosze zmysłowe, takie jak jedzenie, pachnidła i muzykę, więc jest pojęciem znacznie szerszym, niż się dzisiaj powszechnie sądzi. Sutra dosłownie znaczy „nić” albo „sznur” i odnosi się do dobitnego stylu literackiego, pełnego aforyzmów, co ułatwia nauczenie się tekstu na pamięć.

– *Wah!* – mówi znowu Dimple. – Tak wiele straciliśmy.

– Wiedziały panie, że w sanskrycie jest ponad dwadzieścia słów oznaczających seks? I że w hindi są słowa związane z seksem, które nie mają bezpośrednich odpowiedników w angielskim? Na przykład: *ćudasi* znaczy „smutek po seksie”, a *mitha dard*, dosłownie „słodki ból”, to uczucie ciężkości w kończynach po stosunku.

– Tak wiele straciliśmy – powtarza Dimple, patrząc na grupę nastolatków w schludnych mundurkach chrześcijańskiej szkoły, którzy śmieją się z fryzów, zasłaniając usta dłońmi.

Zanim przedrzemy się do wyjścia z kompleksu, chcę zapytać Adżaja o jeszcze jedną rzecz: o tantrę. Słowo to pojawiło się dzisiaj kilka razy, a ten aspekt indyjskiej praktyki duchowej na Zachodzie jest chyba najslabiej rozumiany. Ludziom Zachodu tantra kojarzy się przede wszystkim z rytuałami seksualnymi, na przykład technikami opóźniania orgazmu rozstawionymi przez Stinga i Trudie Styler.

Kiedy o tym wspominam, Adżaj wzdycha z rozpaczą:

– Tantryzm jest dzisiaj bardzo źle rozumiany nawet w Indiach – mówi. – Jest to metoda praktyk religijnych, której rytuały były przez ponad siedemset lat dominujące w hinduizmie, dżinizmie i buddyźmie. W odróżnieniu od wcześniejszych tradycji, które opisywały świat jako ułudę, tantra radowała się doczesnością i włączała ją w swoje obrzędy. „Tu i teraz” należało pielęgnować, a nie odrzucać. Pewna bardzo niewielka liczba tych rytuałów opierała się na śaktyjskiej szkole tantry – znowu śakti, widzicie? Według tej szkoły męska energia mogła się w pełni zrealizować tylko poprzez duchowe i seksualne zespolenie z żeńską. Stąd rytuały seksualne – wyjaśnia. – Dobro i zło, podobnie jak to jest w przypadku wielu pojęć indyjskiej religii, ujawniają się w działaniu. Tantryzm śaktyjski celebrował ludzką seksualność, ale ma również ciemniejszą stronę, mianowicie zrodził praktykę zmuszania dewadasi, młodych kobiet oddanych bogu, do prostytuowania się w tantrycznych świątyniach.

Współcześni Indusi głośno protestują przeciwko zachodniemu spojrzeniu na tantryzm w tych pikantnych kategoriach, istnieje jednak obfity materiał uzasadniający to hormonalne podejście. Choćby mechanika takich praktyk, jak na przykład wadźroli – młody wtajemniczony ćwiczy się w cofnięciu amryty, czyli wewnętrznych płynów organizmu, niby przez słomkę. Albo cały wachlarz praktyk zmierzających do pobudzenia kundalini, energii uznawanej za napęd ośrodkowego układu nerwowego.

Skoncentrowane na sferze analnej techniki wymyślone przez tantrę w celu pobudzenia „zwiniętego węża” kundalini obejmują tada (uderzanie pośladkami o ziemię w celu pobudzenia kręgosłupa), przetaczanie kulki bawełny po kości ogonowej, a przede wszystkim adhoratę, najważniejszą tantryczną technikę seksualną. Podstawowym celem adhoraty jest wytrysk nasienia do odbytu, co rzekomo pobudza gruczoł kundalini – umieszczony podobno między ścianą odbytu a kością ogonową – „tak jak białko jajka użyźnia żółtko” oraz odżywia i stymuluje wewnętrzne śakti. Jeszcze w latach dwudziestych XX wieku roiło się od wyśmienitych „specjalistek analnych” wśród indyjskich prostytutek i chłopięcych trup aktorskich ei czou (wywodzących się z Chin) i objeżdżających Indie młodych tancerzy z Cejlonu (dzisiejszej Sri Lanki, w XIX wieku słynącej z męskiej prostytucji).

Dimple i ja odjeżdżamy spod bram zachodniego kompleksu jak maharadżowie, a mianowicie wskakujemy na tylne siedzenie autoriksy, która pyrkocze wyczekująco otoczona przez naganiaczy. W kabinie tego pojazdu, od zewnątrz pomalowanego na zielono i żółto, można znaleźć typowe akcesoria: kierowcę z niespokojną prawą stopą, przyciemnianą przednią szybę i tapicerkę z grubego skaju z wzorem w kreskówkowe truskawki. Ruszamy spod wyszczerbionego krawężnika i po chwili odgłosy klaksonów i naganiaczy zamieniają się w jednostajny szum za naszymi plecami, jak huk fal, kiedy oddalasz się od brzegu.

Patrząc przez otwarte drzwi autoriksy na pylistą drogę, która szybko ucieka do tyłu, zastanawiam się, jak wybujałą cielesność Khadżuraho odbierali wiktoriańscy Brytyjczycy. W końcu Cunningham pojawił się w tej okolicy w szczytowej fazie rozkwitu ruchu na rzecz czystości w Wielkiej Brytanii. Ten późnowiedziadzielnastowieczny ruch społeczny dążył do wprowadzenia zakazu prostytucji i innych czynności seksualnych, które uważano za niemoralne. Gromadził przede wszystkim kobiety, działał w krajach anglojęzycznych od końca lat sześćdziesiątych do mniej więcej 1910 roku i wywarł istotny wpływ na ówczesne ideologie związane z kontrolą urodzin, eugeniką i emancypacją kobiet. A zatem kiedy hindusi proponowali ożywcze praktyki koitalne, Brytyjczycy doświadczali w swojej ojczyźnie bezprecedensowego tłumienia swobód seksualnych: faktycznego zakazu edukacji seksualnej, potępienia masturbacji jako szkodliwej dla rozwoju psychiki, i głoszenia wszystkich tych przejawów pruderii, które dzisiaj tak łatwo przychodzi nam wykpiwać, na przykład obowiązku zakrywania kobiecych kostek i nóg fortepianu.

W czasach ekspedycji Cunninghama Wielka Brytania już dawno nie pamiętała o seksualnej wybujałości z XVIII i początku XIX wieku, czyli z czasów, kiedy opiewano bajroniczną męską potencję, kiedy Londyn był światowym liderem eksportu pornograficznych obrazków, a w jego burdelach można było zaspokoić wszelkie upodobania seksualne – od słabości do Japoniek po pederastię. Jeszcze w 1830 roku pewien londyński dom opieki troszczył się o zapracowanych chłopców-prostytutki zarażonych chorobą weneryczną. W połowie stulecia rozpoczęła się jednak

na brytyjskiej ziemi energiczna kampania moralna wymierzona w prostytutkę, seks pozamałżeński, masturbację i współzycie płciowe między mężczyznami. W późniejszych dekadach, jak pokażemy w dalszych rozdziałach tej książki, miało to daleko idące konsekwencje dla mieszkańców brytyjskich terytoriów kolonialnych.

Stulecie później, co opiszę w rozdziale 10, lubieżność dawnego hinduizmu uderzyła w czułą strunę pokolenia ludzi Zachodu, którzy uśmiercali niedobitki późnowiktoriańskich zahamowań. „Goańskie cudaki” (Goa Freaks), ludzie zainspirowani zachodnią rewolucją seksualną, która zachęcała do chemicznych i erotycznych eksperymentów, odwiedzali Khadźuraho w ramach podróży objazdowej – obejmowała ona pobudzające kundalini aśramy^[4] w Himalajach, ghaty^[5], w Waranasi oraz wielodniowe, wspomagane LSD orgie seksualne na plażach Goa i Kerali mające na celu osiągnięcie transcendencji. Zainteresowanie hipisów w dużym stopniu przyczyniło się do powstania bezładnego miasteczka turystycznego, które wyrosło w Khadźuraho będącym pod koniec lat sześćdziesiątych prowincjonalnym zadupiem.

Dzisiaj Khadźuraho zajmuje poczesne miejsce na mapie turystycznej nie tylko cudzoziemców, ale również dociekliwych Indusów. Ale jak się przekonamy w kolejnych rozdziałach, nie należy traktować tego jako dowodu, że Indie zaczęły swobodniej podchodzić do kwestii seksu i seksualności. Zmiany społeczne, zwłaszcza w sferze seksualnej, nie nadążają za rozpędzoną gospodarką. Sytuacja ta była przyczyną masowych gwałtów w Delhi, co w 2012 i 2013 roku trafiło na czołówki gazet, a także późniejszych zamieszek oraz codziennych cierpień wielu Indusek, które w każdej chwili mogą zostać porwane i zmuszone do wyjścia za mąż wbrew swojej woli, podpalone, jeżeli pan młody uzna ich posag za niewystarczający, bądź też bezkarnie zgwałcone przez małżonka (paragraf 375 indyjskiego Kodeksu karnego traktuje wymuszanie seksu w małżeństwie jako przestępstwo, tylko jeśli żona nie skończyła piętnastu lat).

Kolejnego dowodu na to, że seks i seksualność są zapalną kwestią w dzisiejszych Indiach, dostarczają spory wokół następców rzeźbiarzy

z Khadźuraho. M.F. Husain, najbardziej znany współczesny artysta indyjski (i muzułmanin), zrobił karierę na skandalu z serią obrazów, które przedstawiają kopulujących hinduskich bogów (najgłośniejszym echem odbiła się bogini Durga spółkująca z tygrysem), a trochę później jego instalacja przedstawiona na Uniwersytecie Maharadży Sajadźirao w Wadodarze (w stanie Gudźarat) wzbudziła gromkie protesty środowisk religijnych, ponieważ artysta ukazał bogów nago, za co omal nie został aresztowany.

Dimple i ja mamy przed sobą szmat drogi: z upojnych wyżyn liberalnego hinduizmu do mrocznych głębin wiktoriańskich zahamowań. Jest to droga tak samo wyboista i zróżnicowana jak tereny, przez które będziemy przejeżdżały – od Himalajów na północy po równiny wschodu, od parnego południa po pulsującą życiem dwudziestopierwszowieczną metropolię Mumbaj na zachodnim brzegu Morza Arabskiego. Mój wzrok pada na deskę rozdzielczą, gdzie obok plastikowych chińskich kwiatów i wizerunku wieloramiennej Kali wisi breloczek bardzo podobny do tych, które próbowano nam wcisnąć chwilę wcześniej. Kiedy telepiemy się na zużytych resorach, zafascynowana patrzę na ten breloczek: miniaturowy członek rytmicznie wsuwa się i wysuwa z pochwy.

ROZDZIAŁ 2

FRYWOLNE INDIE BRYTYJSKIE, ŚIMLA GÓRSKA MIEJSCOWOŚĆ ŚIMLA JAKO SIEDLIKO ROZWIĄZŁOŚCI

Nasze społeczeństwo było społeczeństwem jedнопłciowym, kobiety błąkały się na jego obrzeżach... Niektórzy mężczyźni uganiali się za piłkami do polo, niektórzy za przepiórkami. Niektórzy oddawali się różnym przedziwnym hobby, niektórzy chodzili do zainfekowanych nierządnic... inni zaś żenili się w pośpiechu, a potem zadręczali się pytaniem, kto uwodzi ich żony w górskich miejscowościach, w których oni uwiedli tak wiele cudzych żon.

Ppłk John Masters o życiu armii brytyjskiej
w latach trzydziestych XX wieku

– Tutaj piszą, że to mit. Wiktorianie nie ubierali obscenicznych nóg fortepianu w specjalne sukieneczki – mówię.

Dimple i ja jedziemy pod górę do starej górskiej miejscowości Śimla. Podróż odbywamy pociągiem Śiwalik Deluxe. W gronie indyjskich pociągów ten rzeczywiście wyróżnia się luksusem: siedzenia są obite puszystym aksamitem, a z głośników sączy się muzyka pop w języku hindi, którą w przeciwieństwie do aksamitu nie każdy od razu polubi. Jednak miłośnicy kolei zachwycają się tym pociągiem z innego powodu, który znajduje się pod nami, a mianowicie torów o rzadko spotykanym rozstawie – ich budowa była jak na tamte czasy niezwykłym osiągnięciem inżynierii. Trasa przerywa się przez skały osadowe dolnych Himalajów, nad koronami drzew, przepastnymi urwiskami i dolinami o głębokości pięciuset metrów, w stronę letniej stolicy Indii Brytyjskich.

Jeździłam tym pociągiem już kilka razy i dzisiaj jest to moja ulubiona spośród wielu indyjskich tras kolejowych. Jeżeli ktoś nie jest miłośnikiem

pociągów, urzekają go przede wszystkim widoki: w każdym oknie góry, sosny i cedry, a przed nami, spływające w dół zbocza jak na ilustracji do bajek, charakterystyczne dla Śimli dachy okazałych budowli w stylu pseudotudorskim albo pseudoszkockim.

Kiedy widok za oknem nie rozprasza naszej uwagi, przyswajamy sobie wiedzę na temat okresu indyjskiej historii seksualnej, który mamy zbadać w tym regionie. Nad wyborem głównego wątku opowieści o Śimli zaczęliśmy się zastanawiać na stacji kolejowej w miejscowości Kalka, wśród ciżby bagaży i ciał, która zawsze towarzyszy odjazdowi indyjskiego pociągu.

– Wiktorianie są symbolicznymi rodzicami każdego Brytyjczyka – poinformowałam Dimple. – Można powiedzieć, że wszystkie późniejsze pokolenia Brytyjczyków buntowały się przeciwko ich pruderii. Chciałabym się teraz dowiedzieć, czy Indusi mają tak samo.

– Ty ich odbierasz jako surowych rodziców, ale dla Indusów jest to raczej para złożona z okrutnego ojczyma i okrutnej macochy – odparła Dimple, kiedy usadowiliśmy się na tapicerowanych aksamitem siedzeniach naprzeciwko trajkoczącej pendzabskiej rodziny. – Kochamy Brytyjczyków za to, że dali nam demokrację, kanapkę z ogórkiem i angielskie krawiectwo, a nienawidzimy za to, co nam zabrali: owoce ludzkiej pracy i zasoby naturalne. Czyli trochę za nimi tęsknimy, ale są dla nas również czarnymi charakterami. Można to wyczuć w bollywoodzkich filmach.

Dimple ma rację. W latach sześćdziesiątych Brytyjczycy stali się dla Bollywood dyżurnymi czarnymi charakterami, coś jak Niemcy dla Hollywood. Film z 1985 roku, *Mard* (Mężczyzna), z udziałem bollywoodzkiego półboga Amitabha Bachhana jest pod tym względem typowy. W jednej ze scen luźno opartej na masakrze w Jallianwala Bagh w Amritsarze z 1913 roku – kiedy to generał brygady Reginald E.H. Dyer rozkazał pięćdziesięciu Gurkhom otworzyć ogień do tłumu, który zebrał się na pokojowej demonstracji, łamiąc brytyjski zakaz publicznych zgromadzeń – aktor grający lorda Curzona z aroganckim błyskiem w oku każe strzelać z dwóch ustawionych na platformach karabinów maszynowych do grupy otoczonych „tubylców”

– Wróćmy do kwestii seksownych nóg fortepianowych i stołowych –

mówię. – Ten motyw podobno pojawił się w książce Fredericka Marryata, brytyjskiego oficera marynarki i powieściopisarza, która była pomyślana jako parodia pruderyjnych Amerykanów.

Czytam ze strony internetowej, którą ściągnęłam podczas naszej ostatniej styczności z wi-fi, jeszcze u podnóża gór w Kalce.

– Naprawdę? – dziwi się Dimple. – Myślałam, że kostki strasznie podniecały Brytyjczyków, więc dobrze wychowane panie ich nie pokazywały i tak dalej.

– Z pewnością tak było – kontynuuję, zniżając głos, bo roznosiciel herbaty zwany ćajwałą odbywa właśnie swoją dwudziestą podróż po wyłożonym dywanem korytarzu. Krzywi się pod wpływem podmuchu powietrza, kiedy wjeżdżamy do pierwszego ze stu czterech tuneli, które napotkamy na swojej drodze podczas pięciogodzinnej podróży w góry. – Dziewczyny nie pokazywały kostek, wsiadając do powozu, przynajmniej te nudne. Nawet samo słowo „nogi” uchodziło za grubiańskie. Ludzie z towarzystwa posługiwali się słowem „kończyny”.

– Grzeczne dziewczyny zakrywały kostki, a niegrzeczni chłopcy nosili metalowe osłonki? – ironizuje Dimple.

Chwilę wcześniej pochylałyśmy się nad kolejnym internetowym odkryciem: schematem „pasa nasiennego” Stephensona. Było to wynalezione pod koniec XIX wieku urządzenie antymasturbacyjne złożone z metalowego kapturka przytwierdzonego do wybijanego ćwiekami pasa. Członek delikwenta mógł się swobodnie poruszać wewnątrz kapturka, ale nie w stanie erekcji, bo wtedy nacisk na metal zwierzał obwód elektryczny.

Pas ten należał do mniej więcej trzydziestu urządzeń antymasturbacyjnych opatentowanych w drugiej fazie istnienia imperium brytyjskiego, czyli w okresie wzmożonych działań prowadzących krucjatę moralną członków ruchu na rzecz czystości. Do zjawisk najbardziej przez nich zwalczanych należała masturbacja, czynność przedstawiana jako potencjalnie prowadząca do katastrofy moralnej oraz degeneracji kolejnego pokolenia zacnych budowniczych imperium. Doktor William Acton, który rozpisывał się na ten temat, w celach profilaktycznych zalecał zimne kąpiele oraz grę w rzucanie pierścieniem na słupek. Odradzał natomiast jazdę konną. Obszar

ten przyciągał wynalazców i przedsiębiorców, którzy proponowali najróżniejsze rozwiązania – od „alarmów erekcyjnych” po antymasturbacyjne płyny tonizujące.

Tego rodzaju urządzenia, jak również pozostałe dziwne dziewiętnastowieczne przejawy pruderii, na Zachodzie stały się karykaturalnym symbolem epoki, którą zamierzamy tutaj zbadać: w przypadku Brytyjczyków były to epoki wiktoriańska i edwardiańska, a jeśli chodzi o Indusów – okres panowania Brytyjczyków.

Trwało ono dziewięćdziesiąt lat. Wielkiej Brytanii dało bogactwo, na którym zbudowano wiktoriańskie miasta. Oprócz herbaty, opium, saletry, bawełny i jedwabiu Indie zaopatrzyły epokę wiktoriańską w pyszałkowatość oraz ludzi, którzy własną pracą dorobili się majątku. W zamian otrzymały system prawny i administracyjny, sport, ogrody botaniczne i koleje żelazne, które do dzisiaj pozostają największym pracodawcą świata.

Brytyjskie rządy na subkontynencie indyjskim doprowadziły do podziału Półwyspu na Indie i Pakistan i krwawych rzezi na tle religijnym, zrodziły animozje, które utrzymują się jeszcze dzisiaj, sześćdziesiąt lat po odzyskaniu przez Indie niepodległości. Brytyjskie intymne związki z Indiami odcisnęły również swoje piętno na etyce seksualnej – a także seksualnych apetytach – obu narodów.

Ekspansję wiktoriańskiego imperium brytyjskiego napędzała seksualna dynamika. Według doktora Ronalda Hyama, historyka z Cambridge, lokomotywami imperium brytyjskiego były nie tylko „chrześcijaństwo i handel”, ale również „kopulacja i konkubinat”.

Na wiktorian, w swoim kraju mocno spętanych seksualnie, indyjskie nałożnice, eunuchy i panie z oczami jak kwiat lotosu działały niepokojąco, a wielu nie umiało im się oprzeć. U progu XX wieku czterdziestu na tysiąc żołnierzy stacjonujących w kraju cierpiało na chorobę weneryczną, podczas gdy w Indiach współczynnik ten wynosił sto dziesięć na tysiąc. W 1807 roku korespondent „Pall Mall Gazette” wypowiadał się w imieniu szerokich rzesz, kiedy ubolewał nad skłonnością kolonialnych urzędników do wchodzenia w Indiach w „niemoralne” związki i odstawiania na bok

rodzimych wartości „razem z piklami od Crosse’a i Blackwella oraz musztardą od Keena”.

W samej Wielkiej Brytanii zrodziło się pragnienie realnej bądź wyimaginowanej orientalnej zmysłowości. Mimo zaostżenia przepisów o nieobyczajności Brytyjczycy pochłaniali indyjską literaturę erotyczną i pod jej wpływem w malarstwie olejnym ukazywali haremy i nagie konkubiny. W Indiach Brytyjskich podskórne nurty rasistowskie nadały kształt postaci obecnej już wcześniej w ich sztuce i tradycji duchowej: białoskórej bogini, która była nietykalna, ale w niejednoznacznej osobie kolonialnej memsahiby nagle stała się kobietą z krwi i kości – z rudymi włosami, piegami i resztą inwentarza.

Dla brytyjskich mężczyzn stacjonujących w Indiach stworzenie imperium oznaczało szerokie możliwości seksualnego eksperymentowania. Jak to ujął inny historyk z Cambridge, Roy Porter, „dla wielu angielskich podróżników egzotyczne rejony i ludy były realizacją fantazji, źródłem seksualnych i mistycznych odkryć, azyłem dla łajdaków i pomyleńców, sposobem na odejście od zachodniej cywilizacji klasyczo-chrześcijańskiej”.

W Śimli Dimple i ja zatrzymujemy się w Wildflower Hall, obecnie luksusowym hotelu, a niegdyś okazałej rezydencji człowieka, który uosabia reputację tego miasta jako siedliska seksualnej herezji: Herberta, pierwszego hrabiego Kitchener. W tej pięknej alpejskiej okolicy Kitchener został zapamiętany jako Dźhungi Lat Sahib, wielki marszałek. W latach 1902–1909 był bowiem naczelnym dowódcą brytyjskich sił zbrojnych w Indiach, ale w swojej ojczyźnie zapisał się w pamięci przede wszystkim jako generał, który w czasach pierwszej wojny światowej był twarzą kampanii werbunkowej: „Twój kraj cię potrzebuje”.

Zamiłowanie Kitchenera do dekoratorstwa wewnątrz i ogrodnictwa, w Wildflower Hall szczególnie łatwo dostrzegalne, skłoniło jednego z wczesnych korespondentów do następującego komentarza: „Jest tajemnicą poliszynela, że naczelnym dowódcą to entuzjastyczny ogrodnik” – dwuznaczność tego sformułowania do dzisiaj budzi komentarze^[6].

Z kolei w Afryce Północnej, jak napisał ówczesny dziennikarz Patrick Barkham, Kitchener „nabawił się pewnej oficerskiej przypadłości, a

mianowicie upodobania do sodomii”. W Śimli kontynuował egipskie nawyki i otoczył się zgrają bezzennych oficerów, których nazywał „radosną paczką chłopców Kitchenera”.

Historyk A.N. Wilson spogląda na upodobania seksualne Kitchenera z innej perspektywy. „Kiedy wielki marszałek polny zatrzymywał się w arystokratycznych domach – powiedział Wilson w wyemitowanym w 2009 roku dokumentalnym filmie telewizji BBC *The Victorians* – zorientowani młodzi domownicy kazali służącym spać na progu sypialni, co miało mu utrudnić niezapowiedziane wtargnięcie. Kitchener ulegał popędowi sodomii, nie zważając na płeć obiektu”.

Kitchener nie uznawał w swoim otoczeniu żonatych mężczyzn, pasjonował się ruchem skautowskim Roberta Baden-Powella, unikał wszelkich rozmów z kobietami, a swój ogród różany w Śimli ozdobił rzeźbami z brązu przedstawiającymi nagich chłopców.

Historycy sugerują, że namiętność Kitchenera do chłopców – w tamtych czasach nazywana pederastią – była nieskonsumowana, że marszałek czerpał rozkosz przede wszystkim ze skopofilii, przyglądania się młodemu męskiemu ciału. W jego czasach takie zainteresowania bynajmniej nie miały marginalnego charakteru. Aż do lat trzydziestych XX wieku w kulturze popularnej obecny był motyw emocjonalnego zainteresowania młodymi chłopcami. Za panowania króla Edwarda wielką karierę robili artystycznie mierni poeci trzeciej płci opiewający „wspaniałych rosnących chłopców” i „zakazane usta”. Jak się przekonamy, mężczyźni o skłonnościach homoseksualnych znaleźli ujście dla swoich upodobań na indyjskiej ziemi.

Kitchener bynajmniej nie był jedynym człowiekiem, który zdalnie się prowadził w położonej u podnóża gór Śimli. Jako letnia stolica Indii Brytyjskich od samego początku była miejscem, w którym brytyjscy mężczyźni, w tym także żołnierze w rekonwalescencji lub na urlopie, pozwalali sobie na odrobinę przywracającego siły figo-fago, zawieszając czasowo etykę seksualną obowiązującą na indyjskich równinach, już nie mówiąc o samej Wielkiej Brytanii.

W 1890 roku Dźiwan Das, minister maharadży Kapurthali, podsumował atmosferę w Śimli, tak jak była ona odbierana przez większość ludzi: według

niego rządziła tam „wesołość, frywolność i folgowanie zachciankom seksualnym”. Trudno o większy kontrast z moralnością publiczną zapiętej pod samą szyję wiktoriańskiej Wielkiej Brytanii.

Nazajutrz rano Dimple i ja telepiemy się w dół na tylnym siedzeniu taksówki marki Ambassador. Jest z nami Radża Ćopra, historyk, który poświęcił się badaniu życiorysów legendarnych postaci zamieszkujących Śimlę w czasie tych osiemdziesięciu lat, kiedy była letnią stolicą imperium brytyjskiego. Na prośbę Radży kierowca wysadza nas przy Cart Road, na dolnym krańcu miasta, żebyśmy mogły trochę zakosztować atmosfery dzisiejszej Śimli, analizując wybryki z jego przeszłości. Trwa Karwa Ćauth, święto, podczas którego kobiety poszczą w ciągu dnia, żeby wybłagać u bogów pomyślność dla swoich mężów, narzeczonych i synów. Kręte zaułki miasta są zapchane do granic możliwości.

Od kramików i postojów taksówek na Cart Road przez labirynt bazarów idziemy dwadzieścia minut na Ridge Road, od czasów Indii Brytyjskich najważniejszy punkt tego położonego na zboczu góry miasta. Przekupień podtyka nam pod nosy tacę z jakimiś mlecznymi słodkościami i Dimple wybrednie je obwąchuje.

– Atmosfera na bazarze była podobna już w czasach pierwszych Brytyjczyków – mówi Radża. – Wtedy jednak handlowano również perfumami z Paryża, jedwabnymi rękawiczkami i tropikalnymi gorsetami, a kupujący zapewne przemieszczali się na ramionach Indusów. Trzeba pamiętać, że miasto przeżywało rozkwit gospodarczy. Za pośrednictwem dwóch linii telegraficznych wychodzących z Śimli zarządzano jedną piątą ludności świata – jedną piątą!

Przekupnie zachwalają swój towar, na przykład bransolety, wstążki i świece wotywny.

– Wieczorem kobiety wymieniają się podarkami i włożą błyszczące jasne sari lub śalwar kamiz – wyjaśnia Radża. – W moim odczuciu w święcie Karwa Ćauth chodzi nie tylko o gest wobec męskiej populacji miasta, ale także o to, żeby kobiety zrobiły przyjemność również sobie.

Jesteśmy tu jednak w innym celu: chcemy dowiedzieć się czegoś o innej

grupie kobiet związanych z Śimlą, o tych z ikłą. W czasach największej świetności miasto przez całe lato było azylem śmietanki społeczeństwa brytyjsko-indyjskiego goniącego za wspomnianymi frywolnościami i zachciankami, ale pewna grupa społeczna wyróżniała się z tłumu.

– Słomianymi wdowami^[7] pierwotnie nazywano żony brytyjskich urzędników, które spędzały lato w Śimli, zostawiwszy mężów na równinach – Radża kontynuuje rozmowę rozpoczętą w taksówce. – Słoma, a ściślej trawa, zapewne odnosiła się do rześkiego górskiego powietrza. Te kobiety słynęły ze swoich seksualnych eskapad. Część z nich dorobiła się wiele mówiących przydomków, na przykład „Kobra w ćarpai”, przy czym ćarpai oznacza tradycyjne plecione łóżko, „Przewodniczka oficerów”, czego nie muszę tłumaczyć, „Bed-and-Breakfast”, czego także nie muszę tłumaczyć, oraz mój ulubiony „Namiętny stóg siana”.

Motyw seksualnie drapieżnej starszej kobiety we współczesnej zachodniej kulturze pojawił się filmie *Absolwent* z 1967 roku, w którym zabłąkany życiowo absolwent Kevin Braddock (Dustin Hoffman) zostaje uwiedziony przez znudzoną starszą gospodynię domową, panią Robinson (Anne Bancroft). Jak wiadomo, kamera filmowa często zniekształca rzeczywistość – tak naprawdę Bancroft była tylko o sześć lat starsza od Hoffmana. Rzuca się w oczy brak negatywnych komentarzy na temat motywacji pani Robinson, co być może wynika z tego, że romantyczne związki między wpływową starszą kobietą i w jakimś sensie podległym jej młodszym mężczyzną były w tamtych czasach rzadkie, ponieważ mniej niż czterdzieści procent amerykańskich kobiet pracowało.

W XXI wieku niemłoda seksualna drapieżniczka przestała jednak uchodzić za niewinne zjawisko, zaskarbiła sobie groźny przydomek „kuguara” i nabrała wyrazistszych rysów. W amerykańskich wersjach telewizyjnych, takich jak *Gotowe na wszystko* i *Miasto kocic* z Courtney Cox, jest drapieżnikiem plastikowym, kosmetycznie skorygowanym po same brwi, a także koneserem luksusowego obuwia i mężczyzn. Krwiożercza, ale jakoś bezkrwista, pod wieloma względami jest córką sztamkowej postaci z lat osiemdziesiątych, czyli bizneswoman w grzecznym kostiumie.

– Za panowania Brytyjczyków nie wszyscy patrzyli przychylnym okiem

na te podstarzałe drapieżniczki – kontynuuje Radża. – Coś wam pokażę, żebyście miały lepsze wyobrażenie.

Wyciąga nas z tłumu do niszy obok sklepiku z bransoletami, w którym sprzedawca podaje towar przez okno własnego domu. Radża z kieszeni garniturowych spodni wyjmuje jakieś papiery.

Jest wśród nich wycinek z artykułem o słomianych wdowach, który ukazał się w 1913 roku w miejscowej gazecie. Autor wyśmiewa „zaprawione w bojach stare panny i zatroskane mamusie”, które się uskarżają, że słomiane wdowy „kolekcjonują i odciągają kawalerów na wydaniu od pokolenia niezamężnych kobiet”

– Czyli słomiane wdowy krytykowano nie ze względów moralnych, tylko jako konkurencję na rynku matrymonialnym? – pytam Radżę zaskoczona tym odkryciem.

– Owszem – odpowiada. – Problem ten dostrzegały nie tylko miejscowe kobiety. Mam tutaj wiersz Rudyarda Kiplinga *My Rival*. Powstał w 1885 roku, kiedy Kipling miał za sobą wiele letnich wakacji w Śimli i widział te wybryki na własne oczy. Wiersz jest lamentem dziewczyny z floty rybackiej, czyli Brytyjki, która przyjechała do Indii w poszukiwaniu męża, lecz w Śimli słomiane wdowy zmniejszają jej szanse na znalezienie kandydata w gronie miejscowych kawalerów.

*Elegancy, rumiani młodzieńcy
Nie na mnie spojrzenia marnują,
Ona jest starsza od ich matek,
Ale to jej nadskakują.
I riksę jej oblegają
A ja nie jestem w cenie,
Bo ja mam lat siedemnaście,
A ona czterdzieści dziewięć.*

*Szkoda, że nie mam jej czelności,
Że zaśpiewać się boję
Różne śmieszne piosenki,
Co kobiecie nie przystoją.*

*Bo jestem skromna, nieśmiała,
I wstydu dźwigam brzemię.
Co gorsza, mam lat siedemnaście,
A ona czterdzieści dziewięć.*

– Był jeszcze jeden motyw – ciągnie Radża, starannie składając wycinki. – Seks ze słomianą wdową mógł być wstępem do kolejnego etapu kariery dla młodego kapitana. Jeżeli ktoś został dostrzeżony – na przykład przystojny młody oficer produkował się w amatorskim spektaklu na scenie Gaiety Theatre w Śimli – często przekładało się to na awans lub skierowanie do lepszej jednostki. Wielu młodych mężczyzn nauczyło się sprawnie manipulować znudzonymi kobietami. Nazywano ich naciągaczami pudli, a pudel jest slangowym określeniem niemądrej kobiety.

Jak wiadomo, seks to najstarsza droga do awansu. Kamasutra podkreśla, że żona wpływowego męża jest odpowiednim obiektem seksualnych atencji obywatela:

Jej mąż jest potężny, bogaty i żyje w zażyłości z moim nieprzyjacielem, a ona go kontroluje i sprawuje nad nim władzę. Jeśli się z nią spoufali, to ona z miłości wpłynie na zmianę jego postępowania (Kamasutra, s. 30).

Siadamy do stołu z białym obrusem, babeczkami i herbatą w herbaciarni jednego z zabytkowych hoteli przy ulicy handlowej Mall. Dobrze odżywieni europejscy, indyjscy i amerykańscy turyści wokół nas pobrzękują ciężkimi srebrnymi sztućcami i rozmawiają ściszymi głosami lub hałaśliwie, zgodnie ze stereotypami ich charakterów narodowych. Właścicielem obiektu jest sieć pięciogwiazdkowych hoteli, która, jak głosi plotka, dorobiła się majątku na początku XX wieku w Kalkucie, wynajmując żołnierzom brytyjskim i prostytutkom łóżka na godziny.

Dimple zabiera się do wsypywania kolejnych łyżeczek białego cukru w jasnozłote głębiny swojej filizanki. Wybraliśmy wysokojakościową darjeeling, która, jak obiecał nam Radża w typowym dla wykształconych Indusów poetyckim stylu, miała być „jak himalajskie słońce o świcie”

– Członkinie flot rybackich to moje ulubione postacie ze starej Śimli –

mówi Radża, wracając do naszego tematu. – W początkowym okresie nie było zbyt wielu chętnych na rygory kolonialnego stylu życia, więc Kompania Wschodnioindyjska, spółka handlowa, która poprzedziła rządy korony brytyjskiej w Indiach, starała się umilać tym dziewczynom życie. Opłacała im podróż, dawała zestaw ubrań i utrzymywała je przez rok. Jednak pod koniec XIX wieku sytuacja się odwróciła. Indie, w których na jednego białego mężczyznę przypadały cztery białe kobiety, uchodziły za łowisko ostatniej szansy dla Brytyjek, które nie były dostatecznie ładne albo bogate, żeby dobrze wyjść za mąż w kraju. Kompania zaczęła więc pobierać od chętnych dziewczyn opłatę w wysokości dwustu funtów, czyli na dzisiejsze pieniądze dwanaście tysięcy.

– Boże, to coś jak podatek od staropanieństwa – mówię.

– To nie jest żart – dodaje Dimple, kiwając głową w stronę swojej parującej filiżanki.

– Ale kandydatek do floty rybackiej nie brakowało – mówi Radża. – Na tym etapie dysponowały już gościńcem do Indii, jak wtedy nazywano Kanał Sueski. Dla żeglugi pasażerskiej otworzono go w 1869 roku, a przeciętny czas podróży z Anglii do Indii skrócił się z sześciu miesięcy do około sześciu tygodni. No i tamy puściły, że się tak wyrażę. Dostawa młodych panien stała się dorocznym wydarzeniem.

– I drałowały do Śimli, żeby znaleźć sobie mężów? – pytam.

– Te najbardziej rzeczowo podchodzące do sprawy, które za wszelką cenę chciały zdobyć dobrego męża, zaręczały się już na statku. Inne zgarniali w porcie bombajskim zdesperowani, niewyżyci mężczyźni czekający na ich przybycie: to było dla nich jak dostawa egzotycznych owoców i chcieli wybrać najdorodniejsze. Ale jest również prawdą – dodaje – że wiele dziewczyn przybywało do Śimli na sezon letni z przyzwoitkami, czyli „zatroskanymi mamusiami”, i kuframi wieczorowych toalet. Na początku XX wieku podróż do Indii stała się rytuałem inicjacyjnym dla młodych Brytyjek debiutujących na salonach.

– A jeżeli nie znalazły męża? – pyta Dimple.

Radża się uśmiecha, smarując babeczkę masłem.

– Niestety, to było społeczne samobójstwo: te, które wracały do Anglii bez

obrączki ślubnej, a przynajmniej pierścionka zaręczynowego, nazywano „wracającymi na pusto”.

Myślę o mieszance podniecenia i desperacji, która z pewnością pchała wiele z tych dziewczyn przez wzburzone morza – budzące grozę wody Zatoki Biskajskiej i „Aleję Piratów”, czyli Morze Czerwone – po to tylko, by znaleźć towarzysza życia.

XIX wiek niezwykle okrutnie traktował niezamężne kobiety z klasy średniej. Brak męża oznaczał niską pozycję społeczną, a jeżeli nie dysponowały własnym źródłem dochodu, były zdane na łaskę i niełaskę rodziny. Ewentualnie czekał je znacznie bardziej ponury los guwernantki, samotnej kobiety, która nie miała swojego miejsca i odpowiedniego towarzystwa ani na salonach, ani w izbie czeladnej.

Jedną z przyczyn nadpodaży niezamężnych dziewczyn, czyli „problemu staropanieństwa”, jak to nazwano, był mieszczański snobizm. Dla wiktorian z klasy średniej małżeństwo oznaczało konieczność utrzymywania nie tylko dużej rezydencji rodzinnej i żony, ale również liczego potomstwa i całej świty służących, jaką wypadało mieć w szanującym się domu. Nic zatem dziwnego, że wielu mężczyznom nie uśmiechał się taki los, więc postanowiwszy się nie żenić, wybierali kawalerskie życie w tańszej kwaterze, a do zaspokajania bardziej przyziemnych potrzeb brali prostytutki. Liczba dziewczyn świadczących tego rodzaju usługi na ulicach wiktoriańskiego Londynu – jedna na dwunastu dorosłych mężczyzn – wskazuje, jak bardzo rozpowszechniony był ten wybór życiowy.

– Czyli dla floty rybackiej stawka była wysoka? – pytam.

– Tak – zgadza się ze mną Radża. – Od złapania męża bardzo wiele zależało. W Śimli, oprócz konkurencji słomianych wdów, działały przeciwko nim również inne czynniki. Ich potencjalny narybek poważnie redukowało dezaprobata armii dla wczesnego ożenku żołnierzy. Uważano, że niezamężni wojskowi są sprawniejsi, dlatego w armii indyjskiej obowiązywały następujące niepisane zasady: „Podoficerowie nie mogą się żenić, kapitanowie mogą się żenić, majorzy powinni się żenić, pułkownicy muszą się żenić”. Problem w tym, że stopnie oficerskie uzyskiwano w wieku trzydziestu kilku lat, przez co większość młodszych żołnierzy była odcięta

od rynku matrymonialnego.

Śmietanka towarzyska z Śimli bywała wobec tych dziewczyn wręcz bezlitosna – ciągnie Radża. – Lwy salonowe nieustannie dowcipkowały na temat tego zjawiska. Przybycie floty rybackiej ktoś szyderczo nazwał „pojawieniem się na horyzoncie matrymonialnej armady”. Nadawano im też kpiące przezwiska. Trzy nieatrakcyjne siostry, które przyjechały do Śimli, nazwano „Świat, Ciało i Diabeł”^[8], a inną trójkę ochrzczono „Wiercipiętka”, „Chichotka”, „Wyłupiastooka”.

Czy w dzisiejszych czasach dałoby się znaleźć jakiś odpowiednik tej zdesperowanej matrymonialnej armady? W 2005 roku ekonomistka Lena Edlund z Uniwersytetu Columbia, badając liczbę samotnych mężczyzn i samotnych kobiet w grupie wielkich miast świata, uzyskała dosyć zaskakujące wyniki. W czterdziestu czterech na czterdzieści siedem badanych miast singielek było więcej od singli (w pozostałych miastach występował parytet). Niedobór dostępnych mężczyzn szczególnie ostro zaznaczał się w Nowym Jorku (i wydatnie wzrósł w latach dziewięćdziesiątych), co znakomicie uchwyciła w swoim aforystycznym monologu notoryczna nowojorska singielka Carrie Bradshaw z *Seksu w wielkim mieście* (aczkolwiek liczby podane przez Carrie są nie do końca miarodajne, ponieważ obejmują nowojorskich osiemdziesięciolatek): „W Nowym Jorku jest 1,3 miliona singli i 1,8 miliona singielek i na te 3 miliony ludzi około 12 osób czuje się zaspokojonych seksualnie”.

W swoim artykule zatytułowanym *Seks w wielkim mieście*, tak samo jak wspomniany serial, Edlund stawia hipotezę, że „nierównowaga może wynikać z wyższych dochodów mężczyzn na obszarach wielkomiejskich. Mężczyźni mający wysokie dochody przyciągają nie tylko kobiety posiadające jakieś kwalifikacje, ale również te, które ich nie mają. Innymi słowy, nadwyżka kobiet na obszarach wielkomiejskich być może wynika z lepszego rynku pracy i lepszego rynku matrymonialnego w metropoliach”. Krótko mówiąc, kiedy w wielkich miastach zachodnich rosną czynsze, mężczyźni z niższymi zarobkami wyprowadzają się do mniejszych miast, ale kobiety z tej grupy dochodowej zostają – stosując podobną taktykę jak rybaczkę ciągnące do Indii w poszukiwaniu bogatego męża.

Analizując odkrycia Edlund, Tim Harford spekuluje w książce *The Logic of Life*, że wspomniana nierównowaga nie stanowi dla kobiet „drobnej niewygody, lecz bardzo złą wiadomość, która jest bardzo dobrą wiadomością dla wielkomiejskich mężczyzn. Ktoś, kto dysponuje deficytowym towarem, ma wielką władzę, większą, niż sobie wyobrażaliście”. Nadwyżka dostępnych kobiet powoduje, że mężczyźni mają niewielką lub zerową motywację do ożenku, co rodzi stresującą i neurotyczną rywalizację o ich względy. Pewna trzydziestodziewięcioletnia nowojorska singielka następująco podsumowała sytuację w rozmowie ze mną: „Dla facetów to jest jak sklep ze słodyczami. Mężczyźni są jak taksówki: kobiety wsiadają i wysiadają. Przy włączonych światłach mężczyźni są gotowi się żenić, przy wyłączonych – nie mamy szans”.

Istnieją oczywiście dwie zasadnicze różnice między trudnym rynkiem matrymonialnym współczesnego Nowego Jorku a sytuacją niezamężnych dziewczyn w wiktoriańskiej Wielkiej Brytanii: niezależność ekonomiczna i wolność seksualna.

– Od Chichotki na pewno oczekiwano, że tajemnice cielesności pozostaną jej nieznane aż do nocy poślubnej – sugeruję.

– Owszem, musiała bardzo dbać o swoją reputację – odpowiada Radża.

– Grzeczne indyjskie dziewczynki, grzeczne angielskie dziewczynki... Ta sama stara historia dla młodych kobiet w konserwatywnych czasach – mówi Dimple.

– Tak – potwierdzam z uśmiechem, dopijam „himalajskie słońce o świcie” i zbieramy się do powrotu na wciąż gwarny bazar. – Ale co będzie, jeżeli jako dorosła kobieta zostaniesz słomianą wdową?

ROZDZIAŁ 3

CZARNO NA BIAŁYM, ŚIMLI SEKS, RASA I NIEGRZECZNI CHŁOPCY MAHARADŻOWIE

Problemy, które wysunęły się na pierwszy plan dzięki pannie Quested, były o tyle ważniejsze od niej samej, że ludzie nieuchronnie zapominali o jej istnieniu.

E.M. Forster, *Droga do Indii*^[9]

Jeżeli w Śimli seks był rozrywką albo drogą do awansu dla nadzianej brytyjskiej śmietanki towarzyskiej, dla rodziny Radźiwa Kuthiali oznaczał coś zupełnie innego. Ponadosiemdziesięcioletni dzisiaj Kuthiala pamięta czasy rządów Brytyjczyków widziane oczami młodego chłopca, którym był w latach dwudziestych i trzydziestych.

Radża, Dimple i ja jesteśmy z nim umówieni następnego dnia rano w Scandal Point – ta rozległa połać gładkiego betonu w miejscu, w którym Mall Road rozszerza się w Ridge, jest dzisiaj tym samym co kiedyś: naturalnym miejscem na spotkania przyjaciół i kochanków, na przechadzkę w wyjściowych strojach i wymianę plotek. Jak to często bywa w Śimli, powietrze pachnie niewiarygodnie świeżo, niebo jest błękitne jak lapis-lazuli, a tutejsza flora urządza wspaniały spektakl: na całej długości drogi miejscowa odmiana rododendrona, nazywana przez mieszkańców buranś, rozkwita na czerwono, dwieście pąków rozwiera się jak zębate czasze trąbek.

Kuthiala zjawia się w towarzystwie swojej cierplivej prasiostrzenicy Gity, która przyprowadziła go na spotkanie z nami. Gita namawia go, żeby oparł się na jej ramieniu, na co zirytowany starszy pan stuka laską o beton.

Od czternastego roku życia Kuthiala był riksaszem, podobnie jak jego

ojciec i dziadek. Pierwszym członkiem rodziny, który pracował w tym zawodzie, był pradziadek Kuthiali, siłą zabrany do pracy (najpierw jako kulis) ze swojej górskiej wioski w latach sześćdziesiątych XIX wieku. W tamtych czasach górskie drogi były nieprzejezdne dla pojazdów kołowych, dlatego wyposażenie Indii Brytyjskich przydźwigali tu na grzbietach Indusi: skrzynki herbaty, pudła dokumentów, kwiaty doniczkowe i zwierzęta domowe, a nawet kostiumy do amatorskich występów w Gaiety Theatre.

Z pewnością nie brakowało służących do zaspokajania potrzeb Brytyjczyków. Spis powszechny z typowego pod tym względem 1921 roku wskazuje, że w miesiącach letnich w Śimli zamieszkiwały 43 333 osoby, a było wśród nich 4803 Europejczyków i 38 503 indyjskich służących i innych usługodawców: sklepikarzy, pokojówek i kulisów czy riksarzy takich jak Kuthiala, po jednym na każdego białego łebka.

Dla rodziny Kuthiali panujący w Śimli permissywizm był niedogodnością, a nie źródłem rozkoszy. Jego wujek przyszedł na świat ze „związku” babci z białym mężczyzną. W jednym z tych rzadkich momentów, kiedy udało mu się namówić babcię do zwierzeń, usłyszał, że została przez tego człowieka zgwałcona. Była już wtedy po ślubie z dziadkiem Kuthiali i mieszkała na obrzeżach miasta.

– Mówi, że w rodzinie rzadko się o tym rozmawiało – informuje nas Radża, rzetelnie tłumaczący słowa Kuthiali, który posługuje się mieszanką hindi i pendżabskiego. – Dziecko wychowywała stryjeczna babcia w wiosce, żeby nie wywoływać skandalu. Dziadek zaczął gardzić swoją żoną i regularnie upijał się zutho, czyli bimbrem. Biologiczny ojciec nie przekazywał żadnych pieniędzy ani nie uznał dziecka.

– To znaczy, że on pamięta rozbestwienie Brytyjczyków? – pytam.

– Tak – mówi Radża po przerwie na tłumaczenie. – Bali się o młode dziewczęta z rodziny. Brytyjczycy cieszyli się bardzo złą sławą i jego siostrę odesłano z powrotem do wioski, żeby jej nie zdeprawowali. Mówi, że młode wieśniaczki miałyby zrujnowane życie, gdyby się związały z którymś z nich.

W Anglii nawet w szczytowym okresie wiktoriańskiego purytanizmu seks ze służącymi był normą. Przypadek Sigmunda Freuda, który stracił

dziewictwo z pomywaczką, bynajmniej nie należał do odosobnionych. Pełni wigoru chłopcy mieli łatwy dostęp do żeńskich przedstawicielek służby domowej, nierzadko także w sensie dosłownym – brytyjska klasa robotnicza zaczęła używać majtek dopiero w połowie XIX wieku. W Indiach dochodził do tego dodatkowy czynnik, a mianowicie powab orientalizmu silnie działający na wielu wiktoriańskich mężczyzn.

W Indiach w pierwszym okresie funkcjonowania Kompanii Wschodnioindyjskiej milcząco akceptowano branie sobie miejscowej żony, bibi, przez białych mężczyzn. To słowo w języku hindustani^[10] pierwotnie oznaczało żonę, a dla Brytyjczyków było po prostu określeniem lokalnej tubylczej kochanki.

Job Charnock (1630–1692), zarządca Kompanii Wschodnioindyjskiej i człowiek o barwnej biografii, założyciel Kalkuty, miasta nad rzeką Hugli, spłodził trójkę dzieci z hinduską bibi, którą ocalił przed sati, rytuałem samospalenia wdowy na stosie pogrzebowym męża w hołdzie bogini Sicie, pierwszej, która uczyniła to, by ocalić honor męża. Z kolei pułkownik James Skinner miał harem złożony z czternastu żon, którym ponoć zrobił osiemdziesiątkę dzieci. Na niższych szczeblach drabiny społecznej wielu Brytyjczyków przebywających w Indiach w czasach Kompanii żeniło się z Induskami, a najchętniej Angloinduskami (kobietami pochodzenia europejsko-indyjskiego, niekiedy nazywanymi Euroazjatkami). Pod koniec XVIII wieku Kompania Wschodnioindyjska aktywnie zachęcała do takich związków, płacąc pięć rupii za każde angloinduskie dziecko szeregowego żołnierza, które zostało ochrzczone.

Międzyrasowe układy seksualne, aczkolwiek rozpowszechnione, były oczywiście nierównoprawne. Bibi funkcjonowały na grząskim gruncie, będąc kimś pomiędzy małżonką, towarzyszką i prostytutką. Rekrutowały się spośród służby i za okres spędzony ze swoim panem, nierzadko wieloletni, pobierały wynagrodzenie. Dzieciom z takich związków zapewniało się dach nad głową, wyżywienie i szkołę. Te bibi, którym się bardziej poszczęściło, dziedziczyły majątki, ale tylko nieliczne cieszyły się takim samym szacunkiem jak białe żony. Prawie nigdy nie pojawiały się u boku swoich panów na przyjęciach czy oficjalnych uroczystościach. Dla

osiemnastowiecznych i dziewiętnastowiecznych Indusek – a więc i dla babci Kuthiali – współżycie z Europejczykiem, dobrowolne czy wymuszone, mogło oznaczać katastrofę życiową.

Nie sposób jednak zaprzeczyć, że wiele bibi nabierało wprawy w emocjonalnym i seksualnym usidlaniu swoich panów. Dzienniki Richarda Blechyndena, geometry Kalkuty i architekta, pisane w latach 1791–1822, pokazują, że w związkach tych czasem pojawiało się wiele emocjonalnych zapętleń. W kwietniu 1800 roku pamiętnikarz opisuje swoje bezsenne cierpienia, które na niego spadły, kiedy bibi Mary odeszła do kapitana Jamesa:

Nie zaznałem ani minuty snu... Sądzę, że ta kobieta doprowadzi mnie do szaleństwa. Rozum mi mówi, że powinienem się cieszyć z jej odejścia – ale namiętność zaraz to wszystko przestania i znowu żałuję, że ją puściłem.

W jego ojczystym kraju na angloindyjskie związki wielu patrzyło z odrazą, nawet we wczesnym okresie kolonialnym. Blechynden opowiada o żarliwym liście, który pewien znajomy porucznik z Kalkuty dostał od ojca, pastora Hastingsa, piętnującego syna za niemoralne prowadzenie się, czyli spółczenie dwójki dzieci z indyjską utrzymanką. Ojciec Williama zawyrokował, że jego syn „mieszka w pogańskim kraju, w którym tubylcy zezwalają na taką rozpustę i zachęcają do niej, a ich niechrześcijańscy europejscy panowie skwapliwie ją naśladowają i praktykują”.

Pod koniec XVIII wieku względnie przychylny stosunek do indyjskich kochanek gwałtownie się odwrócił za przyczyną powstań kolonialnych na karaibskiej wyspie San Domingo, gdzie tubylcy w 1791 roku urządzili białym krwawą rzeź. W 1773 roku stworzono stanowisko gubernatora generalnego Bengalu, który miał władzę administracyjną nad całym Indiami Brytyjskimi. W 1786 roku, kiedy urząd ten objął lord Cornwallis, wprowadził przepisy ustanawiające nieprzekraczalną barierę – społeczną, seksualną i ekonomiczną – między Brytyjczykami a Indusami. Pierwszy edykt zakazywał dzieciom Brytyjczyków i Indusek podejmowania pracy w Kompanii, a drugi nie zezwalał na wysyłanie ich do szkół w Anglii. Przepisy te w praktyce spowodowały, że przestano oficjalnie zawierać

małżeństwa mieszane.

Mocno problematyczna była również inna forma takiego związku, romansu białej kobiety z indyjskim mężczyzną. Scandal Point, gdzie teraz stoimy, zawdzięcza swoją nazwę jednemu z takich związków: rzekomej ucieczce córki brytyjskiego wicekróla z urodzonym indyjskim księciem.

– Ówczesny wicekról rzeczywiście miał ponętne córki – mówi Radża, wyjaśniając genezę nazwy – ale w źródłach historycznych nie ma żadnych śladów, że coś takiego faktycznie się zdarzyło ani nawet że osoby te istniały.

Miejska legenda związana ze Scandal Point wskazuje jednak na coś niewątpliwie prawdziwego: w Indiach za czasów brytyjskich stosunki seksualne między białymi kobietami i niebiałymi mężczyznami budziły instynktowny strach, który wykpiwa E.M. Forster w powieści z 1924 roku *Droga do Indii*. Młody lekarz z Indii, muzułmanin Aziz, zostaje omyłkowo aresztowany za molestowanie seksualne młodej brytyjskiej nauczycielki Adeli Quested. Powieść gra na napięciach między białymi i Indusami w przededniu powstania indyjskiego ruchu niepodległościowego, czego wyrazem jest neurotyczne podejście społeczeństwa do związków mieszanych.

Punktem zwrotnym były wydarzenia z 1857 roku nazywane przez Indusów pierwszą wojną niepodległościową, a przez Brytyjczyków powstaniem sipajów. Rzeczywiście dochodziło wtedy do gwałtów indyjskich powstańców na angielskich kobietach i dziewczynach, lecz brytyjskie media skutecznie rozdmuchały to zjawisko, aby uzasadnić brutalny odwet i kontynuację polityki kolonialnej.

Tego rodzaju działania propagandowe stały się szczególnie ostre w latach sześćdziesiątych. Brytyjska prasa w Indiach przekonywała, że indyjscy sędziowie nadużywają kompetencji w celu zapełnienia swych haremów białymi Angielkami. Po powstaniu sipajów rzekome „seksualne skażenie” i degenerację białej rasy spowodowaną krzyżowaniem się ras zaczęto bezpośrednio łączyć z chaosem społecznym i upadkiem imperium. Rewolucja przemysłowa również przyczyniła się do zwiększenia przepaści społecznej między czarnymi i białymi, co utwierdziło Brytyjczyków w przekonaniu o własnej wyższości oraz odrębności od „czarnych ras”. Wielu

Brytyjczyków uważało swoje sukcesy przemysłowe i inżynierskie za potwierdzenie ich naturalnego prawa do rządzenia mniej zaawansowanymi technicznie podległymi ludami.

Motyw „ciemnoskórego gwałciciela” rozplecił się w dziewiętnastowiecznej literaturze angielskiej. W okresie poprzedzającym rzeź w Amritsarze, co zdarzyło się 13 kwietnia 1919 roku po napaści na angielską misjonarkę, pannę Marcellę Sherwood (wydarzenie to zainspirowało Forstera do napisania *Drogi do Indii*), indyjskim mężczyznom kazano czołgać się na brzuchach na widok białej kobiety. Generał Dyer, który wydał ten rozkaz, wyjaśnił później brytyjskiemu inspektorowi:

Niektórzy Indusi czołgają się twarzą do ziemi przed swoimi bogami. Chciałem, aby wiedzieli, że Brytyjka jest tak samo święta jak hinduski bóg i przed nią również muszą się płaszyc.

Mimo tej niepoahamowanej paranoi indyjscy mężczyźni i białe kobiety nie przestali być dla siebie pociągający. Siostry starego kawalera lorda Aucklanda (wicekróla w latach 1836–1842), które pełniły funkcję pań domu, zwracały na siebie uwagę tym, że ich młodzi przybocznicy zawsze byli przystojnymi Indusami. Romanse między indyjskimi mężczyznami i białymi kobietami nadal się zdarzały, mówi nam Radża, kiedy patrzymy, jak Kuthiala powoli schodzi na dół, tetrycznie odtrącając ramię swojej prasiostrzenicy.

– Przez jakiś czas specjalną dyspensę mieli w tej kwestii maharadzowie – wyjaśnia Radża. – Dwudziestolecie międzywojenne było dla nich złotą epoką, nowe pokolenie wyrafinowanych, bywały na salonach maharadzów szturmem wzięło świat. Prowadzali się z brytyjską rodziną królewską, gwiazdami filmowymi, pięknymi modelkami i europejskimi arystokratkami.

W Śimli ci indyjscy książęta uganiali się za „angielskimi różami” – mówi Radża z szerokim uśmiechem. – Szczególny rozgłos otaczał trzyosobową grupę niegrzecznych książąt, do której należeli Radźinder Singh z Patiali, maharadża Kapurthali Jagadźit Singh Bahadur i radża Dholpuru. Ci przystojni, rozpieszczeni sikhowie spacerowali po mieście w różowych

turbanach, w wysokich butach z czarnej skóry, obwieszeni sznurami pereł i szmaragdów. Dla sportu, oprócz polowań i wyścigów konnych, uwodzili angielskie dziewczyny. Wykorzystywali do tego piętę achillesową każdej Angielki.

Przez jedną przyjemną chwilę zachodzę w głowę, czym je sobie zjednywali. Może liściastą herbatą albo całoroczną dostawą drożdżówek?

– Pożyczali dziewczynom konie, żeby je zmiękczyć – wyjaśnia Radża. – W tamtych czasach jedyne rasowe wierzchowce można było znaleźć w stajni żony maharadży, maharani. Oprócz nich były tylko narowiste indyjskie konie juczne, na których kiepsko się jeździło. Maharadzowie wypożyczali więc dziewczynom konie, a w zamian żądali umówienia się z nimi na kolację. Była to skuteczna metoda, a miłosne gierki tolerowano zapewne ze względu na królewskie pochodzenie młodzieńców. Mimo wszystko grali w równie niebezpieczną grę jak same dziewczyny, ponieważ w późniejszym okresie Indii Brytyjskich rasizm absolutnie nie był zjawiskiem wyimaginowanym. No i oczywiście przekroczyli pewną granicę...

– Co się stało? – pyta Dimple.

– W 1903 roku – kontynuuje Radża – kiedy wicekról lord Curzon przebywał poza miastem, doszło do pewnego incydentu. Wicekról był sztywniakiem, kręgi towarzyskie w Śimli budziły w nim niesmak. Po wielu doświadczeniach homoseksualnych w Eton, gdzie między innymi całował się z jednym z nauczycieli, Curzon stanowczo odrzucił romanse na rzecz kariery, a pełniąc urząd wicekróla, energicznie forsował dystans międzyrasowy. Jego usilne starania nie powstrzymały jednak małżeństwa maharadży Patiali z niejaką Miss Florry Bryan, a maharadża Dżind poślubił pewną Holenderkę w tajemnicy, żeby Curzon się nie wtrącał. Wicekról uniemożliwił również radży Pudukkotai udział w pogrzebie królowej Wiktorii w 1901 roku w Londynie, podejrzewał bowiem, że radża poluje na białą kandydatkę na żonę.

Nasi książęta – ciągnie opowieść Radża – podjęli więc niemałe ryzyko, zapraszając piękną żonę wicekróla, amerykańską dziedziczkę fortuny, lady Mary Victorię Curzon, do jednego z trzech pałaców maharadży Patiali, żeby obejrzała jego rodzinne klejnoty. Z ówczesnych doniesień wynika, że trochę

sobie podchmieliła i zaczęła się przebierać w królewskie sari, a na głowę włożyła okrasę jego kolekcji: diadem z pięćdziesięciodwukaratowym brylantem, w 1853 roku podarowanym przez Napoleona w prezencie ślubnym cesarzowej Eugenii – słynnym diamentem Eugenii.

– Jak Curzon się o tym dowiedział? – pyta Dimple.

– Trzeba przyznać, że mieli strasznego pecha – odpowiada Radża. – Wśród gości był Lala Deen Dayal, jeden z pionierów fotografii, i zrobił lady Mary kilka zdjęć. Po kilku tygodniach fotografie tajemniczymi drogami trafiły do brytyjskich gazet. Lord Curzon wpadł oczywiście w furię i naszych niegrzecznych chłopców wygnano z Śimli. Dla maharadzów i ich angielskich róż impreza się skończyła.

Wieczorem tego samego dnia Dimple i ja siedzimy na tarasie Wildflower Hall i przetrawiamy minione wydarzenia nad dżinem z tonikiem, charakterystycznym dla Indii Brytyjskich drinkiem wymyślonym po to, żeby brytyjsko-indyjscy żołnierze przyswajali sobie niezbędną dawkę zwalczającej malarię chininy. W Indiach dżin z tonikiem zawsze jakimś cudem smakuje lepiej, tak jak martini po zachodzie słońca w nowojorskiej Upper Eastside albo aperitif campari o zmierzchu w Mediolanie.

Pytam Dimple, czy Śimla zmieniła jej spojrzenie na Brytyjczyków w Indiach.

– Dalej uważam, że Brytyjczycy byli rasistami, seksistami i hipokrytami – odpowiada po chwili namysłu – ale przyznaję, że ich reputacja jako pruderyjnych facetów była nie do końca zasłużona.

Nawet u szczytu kariery ruchu na rzecz czystości świat wiktoriański miał swoich seksualnych buntowników – słomiane wdowy i rozrywkowych oficerów w Śimli, ale także mieszkańców samego Albionu. W Londynie nie było najmniejszego problemu ze znalezieniem partnerów do anonimowego seksu homoseksualnego, a termin *blow job* (skrót od *below job*) zawdzięczamy cennikom z burdeli w wiktoriańskim Londynie, a nie amerykańskim poborowym, jak się powszechnie sądzi.

W wiktoriańskim Londynie było również wiele lokali oferujących biczowanie, aczkolwiek to grzeszne upodobanie do bólu w alkowie,

w tamtych czasach zwane „angielską przywarą”, wbrew naszemu przekonaniu nie jest wyłączną specjalnością Anglików. Jeden z rozdziałów Kamasutry jest poświęcony „kategoriom uszczyptnięć”, inny „sposobom przydawania rozkoszy zębami”, a jeszcze inny „uderzeniom miłosnym oraz okrzykom, które one wywołują”.

– Po drodze w góry jeszcze coś przeczytałam – mówię do Dimple, która patrzy, jak potężny masyw Himalajów ciemnieje, kiedy noc ukradkiem zawłaszcza dzień. Wołania makaka odbijają się od zboczy góry jak historyczny ludzki śmiech. – O królowej Wiktorii – wyjaśniam. – Podobno dobijała się do drzwi sypialni Alberta i po niemiecku domagała się swoich małżeńskich praw: *„Diese Tür zu öffnen! Ich bin die Königin”* (Otwierać drzwi! Jestem królową).

Dimple parska śmiechem, wskutek czego trochę dżinu z tonikiem spływa jej po policzku.

– Nic dziwnego, że Albert musiał sobie zrobić genitalny piercing^[11]!

CZEŚĆ DRUGA

PÓŁNOCII
A JAK TO WYGLĄDA DZISIAJ

ROZDZIAŁ 4 WSZYSTKO O DROCZENIU SIĘ Z EWA, DELHI FEMINISTKI MAJĄ DOSYĆ ZABŁĄKANYCH DŁONI – *FLASH MOBS* PRZECIWKO MOLESTOWANIU W METRZE

*Miłowanie wszak powoduje, że człowiek wpada w złe towarzystwo,
mieszka się w nieczyste sprawy, kala się i staje rozwiązłym.
Miłowanie także powoduje niestaranność,
frywolność, utratę zaufania i pozycji społecznej.*

Kamasutra, s. 19

Kiedy planowałam tę podróż, przyszło mi do głowy, że zastanawiając się nad przypadkami molestowania seksualnego z własnych doświadczeń, nigdy nie biorę pod uwagę Indii. Myślę o greckim właścicielu motorówki, który chwycił mnie za rękę i włożył ją za swoje napęczniałe białe szorty, kiedy miałam piętnaście lat, albo o mężczyźnie, który w nowojorskim

metrze przycisnął do mnie swoją erekcję, ale ja naiwnie myślałam, że trącił mnie wypchaną torbą. Nigdy jednak nie uwzględniłam Indii. Przecież indyjscy seksualni chuligani to chleb powszedni podróżującej po Indiach białej kobiety, podobnie jak weekendowi obserwatorzy krocza, którzy na goańskich plażach gapią się na białe kobiety w bikini.

Poskarżyłam się kiedyś na regularne kontakty z zabłąkanymi indyjskimi dłońmi, a Dimple zasugerowała, że to wszystko wina Britney Spears.

– Co mają zrobić indyjscy chłopcy, kiedy widzą ściągniętą z piedestału białą boginię? – zapytała. – Biała bogini jest czystą, nietykalną pięknnością. Ten motyw ikonograficzny pojawia się na każdym kroku, jak dziewczyna z białą twarzą w reklamach kremu Fair & Lovely, cnotliwa i czysta. A potem ta lawina seksownych białych dziewczyn w amerykańskich filmach i wideoklipach – rzucają biodrami i ocierają się o chłopaków, bez skrępowania uprawiają seks. No i wreszcie biała bogini chodzi w dwuczęściowym kostiumie po plaży w Goa, podczas gdy wszystkie indyjskie turystki zasłaniają ciała. Nic dziwnego, że dla większości indyjskich chłopaków twoja biała twarz oznacza, że jesteś seksualnie dostępna.

– Czyli że miałabym ochotę się przespać z każdym mijającym mnie mężczyzną albo chłopakiem? – odparłam, kręcąc głową. – Cóż, rzeczywiście spotkałam się z taką postawą.

Część spośród licznych incydentów z molestowaniem w Indiach, o których słyszałam, z udziałem znajomych albo dziewczyn znajomych, miała dosyć surrealistyczny charakter. Na przykład dwie moje znajome siedziały w wagonie odjeżdżającego ze stacji pociągu, a młody mężczyzna na rowerze dotrzymywał im tempa i masturbował się jedną ręką. Pewien chłopiec doprowadził się do orgazmu, rozmawiając z inną moją znajomą, blondynką, nad ogrodzeniem jej willi w Goa. A pewien kierowca autorikszy pokazał na horyzont, żeby odwrócić uwagę chłopaka mojej znajomej, a potem nacisnął jej pierś jak klakson.

Tego rodzaju względy – dla ludzi Zachodu molestowanie, dla Indusów *eve-teasing*^[12] – do niedawna były traktowane tylko jako przykra dokuczliwość. Od jakiegoś czasu jednak zaczyna się je uznawać za coś

poważniejszego. W oczach wielu ludzi utraciły niewinny charakter po fali brutalnych i coraz bardziej nagłaśnianych seksualnych napaści w całych Indiach, ale przede wszystkim w Delhi, zatłoczonej stolicy kraju, stanowiącej linię frontu między tradycyjnymi i nowoczesnymi indyjskimi postawami społecznymi, miasta, do którego Dimple i ja jedziemy teraz pociągiem.

– Na miejsca! – syczy Sweetie nad moim ramieniem. Jest późna jesień w New Delhi, ale ja tak się zgrzałam w dwóch podkoszulkach, że zostawiam mokre plamy na chromowanej poręczy metra. Jedziemy fiołkową linią ze stacji przesiadkowej Central Secretariat na południowy wschód, ku bogatym przedmieściom dzielnicy Kailash Colony i South Extensions 1 i 2, gdzie indyjska klasa średnia kupuje całe krążki importowanego sera manchego za dwieście rupii, a potem długo targuje się z rikszarzem, który żąda dwudziestu rupii za odwiezienie do domu.

Równoległe do nas, a czasem powyżej, lokuje się starsze Delhi: miasto trąbiących klaksonów, pokruszonych krawężników i gęstego smogu, który co roku – na przekór energicznym rządowym kampaniom informacyjnym – leje się z nieba w sezonie sztucznych ogni odpalanych z okazji Diwali, święta światła. I o to ja, biała kobieta, jadę w wagonie pełnym milczących średniozamożnych mężczyzn, którzy wracają z pracy do domu, ściskam w dłoni bilet za osiemnaście rupii za przejazd tym opływowym ucieleśnieniem dwudziestopierwszowiecznych ambicji Indii: metrem w New Delhi. Nie jestem zbyt dobrze przygotowana na to doświadczenie.

– Brrrr, ty rozpustniku!

– *Ajo*, podejdz. Co ci się stało, maleńka? Boli cię?

Z okolic gumowej harmonijki, która wyznacza granicę między wagonem koedukacyjnym i wagonem tylko dla pań, dochodzi mnie krzyk kobiety:

– *Mudzhe touch mat karo!* Nie dotykaj mnie! Trzymaj swoje zasrane łapy przy sobie! Nie widzisz, że to przedział dla kobiet? Nie masz matki ani sióstr?

Do tej pory, w odróżnieniu od solennej atmosfery w wagonie koedukacyjnym, u pań mnóstwo się działo: grupki kobiet w sari plotkowały, nastolatki w dżinsach wystukiwały coś na komórkach, studentki bezgłośnie poruszały ustami, czytając podręczniki. Teraz one

również ucichły. Wszystko koncentruje się na kobiecie, która z siłą coraz większej liczby decybeli apeluje do mężczyzn na sąsiednich siedzeniach:

– *Baćao*, na pomoc! Ten cham mnie zaczepia!

Biznesmen z wąsem, z którym wygląda tak, jakby patrzył znad ligustrowego żywopłotu, zanurza głowę w „*Economic Times of India*”. Siedzący obok niego niski Bengalczyk odwraca wzrok od okna i bez szczególnego zaangażowania mówi:

– Spokojnie, proszę pani. Proszę usiąść na moim miejscu. Spokojnie, proszę pani.

– Ja się nie posunę – mruczy pod nosem jeden z kilkunastu mężczyzn, którzy cał po calu wśliznęli się do stalowej babiarni.

Teraz, na sygnał Sweetie, która unosi ramię, pięcioro z nas – trzy kobiety, dwóch mężczyzn – zajmujących różne pozycje w połączonych wagonach, występuje do przodu jak stewardesy z jakimś komunikatem. Odliczamy w duchu do trzech i zdejmujemy wierzchnie podkoszulki, pokazując to, co jest pod spodem: identyczne kanarkowożółte T-shirty z czarnym napisem: „*Me ċiz nahi hum mast mast*”.

„*Me ċiz nahi hum*”, czyli „Ja nie jestem rzeczą”, fragment tekstu piosenki wykonywanej w popularnym bollywoodzkim filmie pod tym samym tytułem, to gra słów związana z wyrazem „*ċiz*”, który w kontekście tego gatunku filmowego oznacza seksowne tancerki. Pomysłodawczynią happeningu była Rosalyn D’Mello, urodzona w Goa działaczka społeczna i założycielka organizacji Mind the Gap (Uwaga, odstęp) – to właśnie Mind the Gap stoi za wydarzeniem, w którym biorę udział, jednym z wielu *flash mobów* urządzanych od czasu do czasu w metrze w New Delhi.

D’Mello wymyśliła pierwszy *flash mob* w 2011 roku, kiedy jej koleżanka Suśila padła ofiarą podręcznikowego molestowania. Wracając ze szkoły wieczorowej w centrum Delhi, w której uczyła, i została spoliczkowana przez współpasażera metra, a w całym tym zamieszaniu skorzystano z okazji, żeby obmacać jej piersi.

– Indyjskie kobiety wstają z kolan – powiedziała do mnie D’Mello, z którą się spotkałam w eleganckiej kawiarnio-księgarni w bogatej dzielnicy Delhi –

Khan Market.

Piliśmy cappuccino z bawolim mlekiem i jadliśmy quiche z masalą, przy dźwięku klaksonów samochodowych na Subramaniam Bharti Marg – głównej ulicy tej części miasta nazwanej na cześć dziewiętnastowiecznego tamilskiego działacza, który walczył o emancypację indyjskich kobiet i niższych klas. I D'Mello się poskarżyła:

– W Delhi panuje kultura rutynowego molestowania seksualnego kobiet, a ministrowie wydają komunikaty prasowe, w których mówią, że kobiety same są sobie winne, że chodzenie w dżinsach wyzwala w mężczyznach „zwierzęce żądze”, że kobiety nie powinny wychodzić z domu o drugiej w nocy, jeżeli nie chcą zostać zgwałcone. Ha! Tak jakby o wpół do drugiej w nocy ulice były bezpieczne!

Eve-teasing – mieszczące się w przedziale od wulgarnych okrzyków, przez obmacywanie, po składanie kobiecie propozycji seksualnej czy próbę pocałowania jej – fascynuje anglojęzycznych przybyszów. Dlaczego Ewa, a nie na przykład Sita? I skąd to określenie, które sugeruje, że jest to zupełnie niewinne zjawisko? Czyżby Induski w odróżnieniu od kobiet Zachodu nie miały nic przeciwko natarczywym dłoniom i spojrzeniom?

Poza tym droczenie się z Ewą opatrzone jest pieczęcią religijnej aprobaty. Bóg Kryszna, stary zbereźnik, który podobno miał tysiąc kobiet, lubił się „droczyć” z pasterkami, zwłaszcza ze swoją ukochaną Radhą. Molestacyjnym upodobaniom Kryszny poświęcone jest Holi, święto wiosny, kiedy młodzi indyjscy mężczyźni mają niepisaną zgodę na obmacywanie młodych dziewcząt przy okazji tradycyjnej w ten dzień zabawy – oblewania ich wodą i obsypywania kolorowym proszkiem.

Z największym rozmachem święto Holi jest obchodzone w miasteczku Barsana w Uttar Pradeś (dużym, przeludnionym stanie na południe od Delhi), gdzie znajduje się jedna z nielicznych świątyń ku czci Radhy. Podczas Lathmar Holi, kilka dni przed właściwym świętem, miejscowe kobiety biją mężczyzn kijami w odwecie za wybryki Kryszny. Pikanterii tej tradycji dodaje to, że w trakcie przygotowań uczestnicy raczą się thandai, napojem mlecznym zawierającym różne dodatki, niekiedy także marihuanę.

Silsila (Łańcuch wydarzeń), film bollywoodzki z 1981 roku z udziałem

Amitabha Bachchana, to jedno z wielu dzieł indyjskiej kultury, które przedstawia święto Holi jako okazję dla piękniejszej płci na kokieterijne poddanie się odrobinie molestowania. Przeżywający kryzys twórczy pisarz Amit (Bachchan) uwodzi Ćandni (ekranowa syrena Rekha) prostym sposobem: talerz świątecznych smakołyków i ruchliwe dłonie. Ćandni odtrąca jego zaloty, ale falująca pierś zdradza, że jest pobudzona i chętnie by mu uległa.

W Indiach nie zawsze jednak obowiązywały tak agresywne wyobrażenia o uwodzeniu. Kamasutra podpowiada wyrafinowanemu mężczyźnie, żeby sprytnie uwodził wybraną przez siebie dziewczynę, najpierw powinien postępować „delikatnie i ujmująco”, aby wzbudzić jej zaufanie, nie zaś łamać opór taranem siły fizycznej. Watsjajana stanowczo odradza brutalne techniki:

*Znów dziewczyna gwałtem wzięta,
Gdy jej serca nie zrozumiał,
W tym momencie niechęć czuje,
Strach, niepokój, przerażenie.
Niepokojem tym skażona
I rozkoszy pozbawiona
Miłosnego zespolenia,
Będzie męża nienawidzić
Lub przezeń znienawidzona
Ku innemu serce skłoni (Kamasutra, s. 82).*

D'Mello uważa, że takie rozgrzeszające opisywanie molestowania – jako gry, w której młode kobiety dobrowolnie uczestniczą – jest niebezpieczne. Dla jej pokolenia młodych Indusek (i wspierających je mężczyzn) molestowanie stało się symbolem wszystkiego, co patologiczne w indyjskim stosunku do kobiet i seksu: pierwszym szczeblem drabiny, która prowadzi do zatrważających wskaźników gwałtów, morderstw na tle wiana i przemocy w rodzinie.

Co do przemocy D'Mello z pewnością ma rację. Z badań dziennika „Times of India” wynika, że w 2010 roku sześćdziesiąt procent zamężnych Indusek

padło ofiarą jakiejś formy przemocy domowej. Tygodnik „India Today” w styczniu 2012 roku opublikował artykuł zatytułowany „Hatja śastra, zabójstwo: nowy rodzaj morderstwa w rodzinie”, w którym stwierdzono, że zjawisko to przybrało rozmiary epidemii:

We wszystkich miastach Indii sypialnie stały się niebezpiecznymi arenami wojny, a nie miłości. Wróg jest wewnątrz i czeka na odpowiedni moment, żeby uderzyć. W Bangalurze niejaki Kumar, dwudziestosiedmioletni pracownik przemysłu odzieżowego, uderzył swoją ciężarną żonę, ponieważ poprosiła go o nowe ubrania na Nowy Rok. Czwartego stycznia zmarła... Siódmego stycznia w Ćennaju pięćdziesięciosześcioletni pracownik prywatnej firmy Muthu Palaniappan zabił żonę łomem, ponieważ pokłóciła się z sąsiadami o ich zbyt głośno włączony telewizor. Powiedział do nich później: „Złatwiłem sprawę”.

Potem doszło do wydarzenia, które może okazać się przełomowe dla społeczeństwa indyjskiego. W nocy z 16 na 17 grudnia 2012 roku dwudziestotrzyletnia studentka medycyny została zaatakowana w samochodzie na ulicach Delhi. Ofiara i jej chłopak, którym nie udało się wcześniej znaleźć riksarza gotowego zawieźć ich do domu, przyjęli propozycję podwiezienia złożoną przez trzech mężczyzn. Kobieta została brutalnie zgwałcona przez wszystkich sprawców na oczach swojego chłopaka i tak mocno pobita metalowym prętem, że dwa tygodnie później na skutek odniesionych obrażeń zmarła w szpitalu w Singapurze. Był to tylko jeden z całej fali makabrycznych przypadków przemocy seksualnej w konserwatywnej stolicy Indii, ale spowodował, że tama pękła.

Wydarzenie to na początku 2013 roku spowodowało protesty zwane powstaniami przeciwko gwałtom. Tysiące osób wyszło na ulice i szturmowało późnokolonialny pomnik narodowy w New Delhi – Bramę Indii. Protesty te odsłoniły ukryte wcześniej mroczne oblicze nowoczesnych Indii. Czuje światowe media zaczęły słuchać drastycznych historii o codziennych nadużyciach seksualnych oraz niekompetencji policji i sądownictwa, które nie próbują walczyć z tym zjawiskiem.

Zobaczymy, czy wydarzenia te doprowadzą do rewolucji społecznej, czy

też zmiany rozłożą się na wiele pokoleń. W marcu 2013 roku rząd indyjski podjął jednak pozytywne kroki i przeforsował ustawę, która kryminalizuje stalking, podglądactwo i molestowanie seksualne (gwałt małżeński pozostaje jednak legalny).

Jedno jest pewne: ciała kobiet w Indiach – nie tylko Indusek, ale również zachodnich turystek – stanowią terytorium, na którym toczy się wojna społeczna.

W tym, co D'Mello mówi o indyjskiej kulturze jako źródle przemocy w rodzinie, jest coś na rzeczy. Popularne media lubują się w drastycznych obrazach seksualnej przemocy. „Times of India” w 2008 roku przeprowadził badania, z których wynika, że filmy o gwałcie to trzeci najpopularniejszy gatunek pornografii, a w Bollywood, gdzie jeszcze całkiem niedawno nie wolno było pokazywać całujących się par, brutalne sceny gwałtu należą do żelaznego repertuaru.

W swojej książce *Intimate Relationships: Exploring Indian Sexuality* indyjski psychiatra Sudhir Kakar sugeruje, że prawdziwym autorem tych lejtmotywów jest zagubiony indyjski mężczyzna. Twórcy muszą się nieźle nagimnastykować, żeby widz mógł się zaspokoić, a Induski pozostać na piedestale dziewictwa. Na ich szczęście istnieje rozwiązanie w postaci gwałtu. Upokarzanie kobiet „stanowi nieodłączny element fantazji seksualnych Indusa”.

D'Mello nie jest odosobniona w swoim oburzeniu. W 2009 roku, w ramach jednej z pierwszych kampanii akcji bezpośredniej, zorganizowano pokojową demonstrację przeciwko szefowi oddziału ortodoksyjnej hinduskiej organizacji Śri Ram Sena, czyli Armia Boga Ramy, w Mangalurze. Organizacja ta, która wcześniej zaatakowała grupę dziewcząt za picie alkoholu w miejscowym lokalu, zagroziła „podjęciem działań” przeciwko niezamężnym parom, które zostaną złapane razem w walentynki. Protestujący, którzy nazwali się Pink Chaddi Capaign (Kampanią Różowych Majtek), poprosili swoich zwolenników, żeby w walentynki wysyłali pocztą różowe majtki do tamtejszej siedziby Śri Ram Seny – wyekspediowano dwieście pięćdziesiąt tysięcy par.

Później powstał projekt Blank Noise (Ślepy Hałas), oddolna inicjatywa

artystyczna wymierzona w molestowanie seksualne. Połowę członków tej organizacji, która ma swoje oddziały w różnych regionach Indii, stanowią mężczyźni, a metody działania obejmują wypisywanie sprayem w miejscach publicznych świadectw ofiar gwałtu i organizowanie wystaw ubrań, które miały na sobie kobiety, kiedy były molestowane. Indyjscy konserwatyści demonizują džinsy, okazało się jednak, że większość ofiar była w tradycyjnych sari i śalwar kamiz. Po buntach przeciwko gwałtom narodziła się kampania Pepper the Pigs (Potraktujmy te Świnie Pieprzem) na rzecz uzbrojenia indyjskich kobiet w gaz pieprzowy – już w pierwszym tygodniu od jej rozpoczęcia zebrano na ten cel kilkaset tysięcy rupii.

D'Mello uważa, że obecna sytuacja, jeśli chodzi o przemoc seksualną (Delhi znajduje się na czele indyjskich miast pod względem liczby gwałtów na mieszkańca), jest klasycznym przykładem konfliktu starych i nowych postaw.

– Delhi to nowoczesne miasto – mówi – ale mieszka w nim duża konserwatywna populacja muzułmańska. Poza tym stolica szybko wchłania okoliczne obszary rolne, gdzie utrzymują się bardzo tradycyjne postawy.

Zanim wydarzenia z grudnia 2012 roku przyniosły temu zjawisku ogólnoświatowy rozgłos, niemal w każdym tygodniu na czołówki gazet trafiały drastyczne informacje o zbiorowych gwałtach, wyjątkowo częstych w Delhi i najbliższej okolicy. Szczególnie głośne było „szaleństwo gwałtów w Harijanie”, z dwudziestoma młodymi ofiarami w ciągu kilku tygodni, w tym trzynastoletnią niepełnosprawną dziewczynką. Jedna z ofiar gwałtu oblała się benzyną i zapaliła zapałkę, a według doniesień „New York Timesa” ojciec innej popełnił samobójstwo po obejrzeniu w internecie filmiku przedstawiającego molestowanie jego córki.

D'Mello i młode Induski, które reprezentuje, w nie mniejszym stopniu przeraża reakcja niektórych przywódców religijnych na błyskawicznie rosnące wskaźniki rejestrowanych i nierejestrowanych gwałtów. Po wydarzeniach w Harijanie w sprawę postanowiła się zaangażować khap pańćajat, nie pochodząca z wyboru wioskowa starszyzna, która na indyjskiej wsi ma wiele do powiedzenia. Problem wynika z tego – uznali jej członkowie – że ludzie pobierają się zbyt późno; gdyby wiek uprawniający

do zawarcia małżeństwa (który obecnie wynosi osiemnaście lat dla kobiet i dwadzieścia jeden dla mężczyzn) obniżyć do piętnastu albo szesnastu lat, przekonywali, to niezamężni chłopcy nie musieliby wyładowywać swoich seksualnych frustracji na obcych dziewczynach. Kiedy indyjscy politycy publicznie poparli ten pomysł, cztery agendy Organizacji Narodów Zjednoczonych napisały wspólny list do Indyjskiego Związku Kobiet oraz do ministra do spraw kobiet i dzieci – Krishny Tirathy. Stwierdzono w nim, że „małżeństwo nieletnich nie jest rozwiązaniem chroniącym dziewczyny od przestępstw seksualnych z gwałtem włącznie”. Przypomniano również rządowi indyjskiemu, że już teraz czterdzieści procent wszystkich małżeństw nieletnich na świecie zawieranych jest w Indiach, a zatem zbyt wysoka granica wieku nie może być przyczyną wzrostu liczby przypadków napaści seksualnych.

Surrealistyczne reakcje na kryzys społeczny na tym się nie skończyły. Premier stanu Bengal Zachodni dorzuciła swoje trzy rupie, sugerując, że przestępstwa na tle seksualnym wynikają z tego, że chłopcy i dziewczęta mieszają się ze sobą jak nigdy wcześniej, wskutek czego Indie stały się „otwartym rynkiem, na którym dostępne są wszystkie opcje”. Z kolei Dharamwir Goyat z partii Indyjski Kongres Narodowy zawyrokował, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków rzekomego gwałtu do współżycia dochodzi za przyzwoleniem dziewczyny. Kilka tygodni później Džitendra Ćhatar, szef khap pańćajatu z okręgu Dżind w stanie Harijana, znalazł innego winowajcę, a mianowicie wzrost konsumpcji czow mein^[13]. Naczelnik starszyzny orzekł, co następuje: „W moim przekonaniu do takich incydentów przyczynia się spożycie śmieciowego jedzenia. Czow mein wywołuje zaburzenia hormonalne, z których rodzi się popęd do popełniania takich czynów”.

Na obyczaje żywieniowe jako sprawcę lawinowego wzrostu wskaźników przemocy seksualnej w Indiach wskazano również w opublikowanym w listopadzie 2012 roku *New Healthway*, podręczniku adresowanym do jedenasto- i dwunastolatków. Można tam znaleźć perłę mądrości w postaci stwierdzenia, że osoby jedzące mięso „często oszukują, kłamią, zapominają o złożonych obietnicach i popełniają przestępstwa seksualne”.

W tej krytykowanej przez wielu indyjskich edukatorów książce znalazła się także informacja, że Eskimosi są „leniwi” i „ślamazarni”, bo jedzą za dużo mięsa.

D’Mello jest więc przekonana, że walczy nie tylko z plagą przemocy seksualnej w Indiach, ale również z piramidalną głupotą. Według niej indyjskie kobiety muszą się zmierzyć z pewnym nieprzyjemnym faktem:

– W stanie Harijana na tysiąc mężczyzn przypada osiemset trzydzieści kobiet. Mieszkańcy stanu usuwają żeńskie płody, a potem się dziwią, że karmieni obrazami seksualnej przemocy, a jednocześnie pozbawieni możliwości legalnego uprawiania seksu młodzi mężczyźni wariują. Żyjemy w kraju, w którym nie dla wszystkich starcza wagin, w którym panują anachroniczne postawy wobec kobiet i w którym jest łatwy dostęp do brutalnej pornografii. Czy można się spodziewać innego rezultatu?

Po wydarzeniach z końca 2012 roku zachodni komentatorzy przyłączyli się do apeli o rewolucję społeczną w Indiach: rewolucję, która skierowałaby ten kraj na tory prowadzące w stronę mniej burzliwych stosunków między płciami oraz swobód seksualnych obowiązujących na Zachodzie. Może jednak nie powinniśmy tak pochopnie przedstawiać Zachodu jako obszaru wzorowej polityki genderowej. W końcu liczba przypadków stalkingu, molestowania seksualnego i niektórych form gwałtu rośnie również w naszych krajach.

W badaniach z 2012 roku stwierdzono, że internauci z żeńskimi nazwami użytkownika dwadzieścia pięć razy częściej padają ofiarą trollingu od internautów z męskim nickiem. W wielu krajach zachodnich rośnie liczba brutalnych gwałtów, zwłaszcza z udziałem gangów oraz młodych sprawców i ofiar.

Do typowego pod tym względem wydarzenia doszło w 2008 roku w kalifornijskim Richmond, gdzie koledzy z klasy uprowadzili nastolatkę, która wracała ze szkolnej potańcówki. Kiedy zaniepokojony ojciec czekał na parking, została brutalnie zgwałcona przez licznych napastników, a jej cierpienia trwały dwie i pół godziny. Jeden z elementów tej napaści pojawił się również podczas zbiorowego gwałtu w Delhi w grudniu 2012 roku: chodzi o podglądactwo, które wydaje się zjawiskiem definiującym naszą

epokę. Zamiast wezwać pomoc albo zgłosić gwałt na policję, młodzi świadkowie tego wydarzenia filmowali i fotografowali je telefonami komórkowymi. Z podobną historią mieliśmy do czynienia w 2012 roku w szkole średniej w Steubenville: jak opisywała prasa, odurzona narkotykami szesnastoletnia uczennica została przewieziona w ustronne miejsce, rozebrana i wykorzystana seksualnie przez rówieśników, z których część zamieściła dokumentację wizualną swoich poczynań w mediach społecznościowych.

Innym niepokojącym zjawiskiem jest narastająca seksualizacja. W 2009 roku Amerykańskie Stowarzyszenie Psychologiczne opublikowało raport o seksualizacji młodych Amerykanek, w którym stwierdzono, że w ciągu ostatnich dwunastu lat nastoletnie dziewczyny zaczęły postrzegać swoją wartość przede wszystkim przez pryzmat seksualności. „Kiedy dziecko przyswaja sobie taki system przekonań – napisali autorzy raportu – bycie piątkowym uczniem, zdolnym muzykiem czy utalentowanym sportowcem przestaje mu dawać poczucie własnej wartości. Jeśli dziewczyna nie jest seksowna, to nie jest nic warta”. Jak twierdzi amerykańska pediatra Sharon Cooper, zarówno na Zachodzie, jak i w Indiach „obowiązuje nowa definicja miłości: przyślij mi swoje seksowne zdjęcie”.

Czy to powinno nas martwić? Wydarzenia w Steubenville i zamieszki w Delhi roznieciły i na Wschodzie, i na Zachodzie debatę o brutalnej rzeczywistości naszych kultur: indyjskiej kultury gwałtu i zachodniej kultury internetowej pornografii. Być może zatem droczenie się z Ewą to najmniej z naszych problemów.

ROZDZIAŁ 5

JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA DZIEWCZYNY, DELHI GIG (GOOD INDIAN GIRL) I BIG (BAD INDIAN GIRL)

*Doświadczeni z trudem mogą
U miłośnic miłość poznać,
Bo jest wielce nieuchwytna
I natura jej nieznana,
A niewiasty bardzo chciwe.
Pożądamy obojętne,
Rozkochują, porozrzucają,
Wyciągają każdy grosik.
Nikt nie poznał jeszcze niewiast.*

Kamasutra, s. 143–143

Tydzień później pierwsze mgły delhijskiej zimy zasnuwają czarne nocne ulice luksusowej dzielnicy Defence Colony, a ja czekam na trzy z gruntu nowoczesne Induski. Z czterdziestominutowym spóźnieniem Dimple, Akszaja i Sumitra ze zgrzytem hamulców zatrzymują się pod moim mieszkaniem. Ich akcja wzbija gęstą chmurę ceglatego pyłu i płoszy zdziczałe psy, z których sześć wyleguje się na werandzie mojego bungalowu.

Akszaja – jak wrzaskliwie zapowiedziała wcześniej przez komórkę – siedzi za kierownicą swojego cacka: białego sportowego suzuki z przyciemnianymi szybami i ryczącym wydechem. Hałaśliwe przybycie dziewczyn obudziło ochroniarzy z całej ulicy, którzy przecierają oczy i prostują plecy na swoich ogrodowych krzesłach z plastiku, trzymając w rękach strzelby, jak podejrzewam, odziedziczone po Indiach Brytyjskich.

Są takie młode kobiety jak D'Mello, które zostają działaczkami

społecznymi i publicznie wypowiadają się przeciwko skandalicznemu natężeniu przemocy seksualnej w Indiach. Są takie kobiety jak Dimple, które swoimi wyborami życiowymi protestują przeciwko odmiennym oczekiwaniom narzucanym przez społeczeństwo indyjskie. I wreszcie są miliony takich Indusek jak Akszaja i Sumitra, które przechodzą prywatne rewolucje, żonglując oczekiwaniami rodzicielskimi i społecznymi – na wierzchu są Good Indian Girls (GIG), a pod spodem Bad Indian Girls (BIG). We wstępie do opublikowanego w 2011 roku zbioru opowiadań, zatytułowanego „Przewodnik po grzecznej indyjskiej dziewczynie dla niegrzecznego indyjskiego chłopca”, przedstawiona jest ekwilibrystyka, której oczekuje się od GIG:

Poziom grzeczności oceniany jest na podstawie skomplikowanego zespołu niestabilnych parametrów. Możesz być delikatną, wyrafinowaną, dziewiczą i zaradną GIG, ale twoja aureola z pewnością przyblaknie, jeżeli twoja matka ucieknie z kucharzem albo jeżeli nabierzesz nierozsądnej awersji do porządných ubrań i wykwinnych przyjęć... GIG jest oceniana według liczby telefonów, które nosi przy sobie, czy chłopców, z którymi przestaje. Nie oczekuje się od niej zupełnej nieznanomości sztuki miłosnej, ale granice dopuszczalnej wiedzy są ściśle określone – GIG nie ma prawa znać się na tym, jak się robi karierę gwiazdy porno albo tancerki na rurze, ale musi umieć czytać mężczyznom w myślach.

Akszaja i Sumitra pochodzą z Ćandigarhu, bogatej stolicy Pendżabu, i należą do pierwszego pokolenia młodych Indusek, które przymierzają się do zachodniego stylu życia. Podjęły kontrowersyjną decyzję, że „będą same”, i na spółkę z inną dwudziestokilkulatką wynajmują trzypokojowe mieszkanie w Delhi. Ciężko sobie zapracowały na ten sukces, który wymagał dwóch lat przekonywania rodzin przez ciotkę o nieskazitelności ich charakteru. Teraz Akszaja i Sumitra starają się maksymalnie wykorzystać to zwycięstwo. W weekendy chodzą na podryw, rozmawiają o seksie i chłopakach, a ich obyczaje nikotynowo-betelowo-alkoholowe zwałyby z nóg niejednego pendżabskiego kierowcę ciężarówki.

Akszaja wozi nas teraz po mieście w pirackim stylu, a z obu stron

sterczącego z jej ust papierosa wylewają się opinie i inwektywy.

– *Ćutija*, skurwiel... Rusz swoją kretyńską dupą, chłopie... Patrzcie na tego kierowcę! No więc, jak mówiłam, ten mały ling (penis) próbował ze mną zadzierać... Ponieważ jesteśmy dziewczynami, każą nam płacić dziesięć tysięcy rupii (sto osiemdziesiąt osiem funtów) więcej za wynajęcie mieszkania. To jest łapówka za to, żeby właściciel nie wtykał nosa w nasze sprawy. I jeszcze kucharka: panoszy się w naszej lodówce i ocenia nasze prowadzenie się według tego, ile zjadłyśmy na kolację, a potem roznosi to po całej dzielnicy. Dlatego musimy być cwane. I jesteśmy. Musimy prowadzić podwójne życie jak tajni agenci. Żeby wygrać w tej grze, musimy wiedzieć, na czym ona polega.

Dimple mruczy potwierdzająco pod nosem. Siedzi z ponurą miną na tylnym siedzeniu, skąd uprzątnęłam liście betelu i puste opakowania po papierosach i zajęłam miejsce koło Akszai. Trochę wcześniej nachyliła się koło mojego zagłówek i wyjaśniła ściszym głosem, dlaczego jest taka smętna: po raz kolejny pokłóciła się z matką. Po wyprawie do Śimli ja wynajęłam mieszkanie w Defence Colony, a Dimple wróciła do syna, niani i służącej w swoim mieszkaniu w delhijskiej dzielnicy South Extension.

Wróciła również do opowieści o coraz silniejszej presji ze strony matki, żeby ponownie wyszła za mąż za podstarzałego NRI (Non-resident Indian, czyli Indusa spoza kraju), biznesmena mieszkającego w północnolondyńskiej dzielnicy Harrow.

Kilka dni wcześniej pomstowała do mnie na ten temat:

– NRI nie są wybredni. *Wah!* Wiesz, dlaczego nie są wybredni? Teraz można sobie znaleźć obiecującego mężczyznę w Indiach, więc żadna ich nie chce... Wiem, co się dzieje z dziewczynami, które jadą do Londynu. Wyobrażają sobie, że będą piły earl grey nad Tamizą, a potem wariują z nudów w jakimś bliźniaku, nieustannie mokną w deszczu i noszą sari, które wyszły z mody dziesięć lat temu. Przysięgam, że któregoś dnia uduszę matkę tym jej jedwabnym szalem...

Dimple uniknęła powolnej śmierci w swoim pozbawionym miłości małżeństwie, ale nie strząsnęła z siebie cienia GIG, który zawsze dotrzymuje kroku indyjskiej kobiecie.

Ze zgrzytnięciem skrzyni biegów wjeżdżamy na królewską aleję, Radźpath, reprezentacyjną ulicę zaprojektowaną przez Edwina Luytensa w New Delhi, przedśmiertne tchnienie brytyjskiej megalomanii powstałe w schyłkowym okresie rządów Brytyjczyków. Brama Indii, zainspirowany przez paryski Łuk Triumfalny pomnik Indusów poległych w pierwszej wojnie światowej, majaczy po prawej, a po lewej mamy stadion narodowy Dhyan Chand, jedną z głównych aren afery korupcyjnej, jaką były Igrzyska Wspólnoty Narodów w 2010 roku.

Na skrzyżowaniu z Shahjahan Road nastoletni handlarz wciska głowę przez moje okno, dźwigając ciężki plik zafoliowanych kolorowych czasopism. Na wierzchu leży egzemplarz najnowszego wydania „Cosmopolitan India” z nagłówkiem „Seks rodem z dżungli! (przygotuj się na najdzikszy seks w twoim życiu!)”

– A potem „Hindustan Times” się dziwi, dlaczego indyjskie kobiety wariują. – Akszaja podejmuje swoje rozważania o GIG-ostwie, a jednocześnie gwałtownie skręca w prawo, o mało nie zahaczając załadowanej kaszmirskimi dywanami furgonetki z dwusuwowym silnikiem. – Dlaczego chorują psychicznie i popełniają samobójstwa.

– Akszaja, *bas*, dosyć! Zwolnij! – krzyczy Dimple.

– Według mnie choroba psychiczna i samobójstwo to bardzo zdrowe reakcje na obłąkaną sytuację indyjskich kobiet – ciągnie Akszaja, ignorując Dimple i dodając gazu. – Musimy być ładne, musimy być grzeczne, musimy robić herbatę i uśmiechać się do cici. Nie wolno nam mieć własnego życia, nie wolno nam uprawiać seksu; musimy być krągłe, młode i białe. Musimy dźwigać całe indyjskie społeczeństwo na tych chudych, białych ramionach jak u damy. *Ćut ka mendhak!*

Ćut ka mendhak, czyli „pochwa ropuchy”, regularnie pojawia się w barwnym repertuarze przekleństw w hindi, którym posługuje się Akszaja. Określeniu temu szybko przyznaję bezapelacyjne pierwsze miejsce w dynamicznym leksykonie Akszai.

Przedstawiany przez nią ponury obraz rzeczywistości społecznej znajduje potwierdzenie w statystykach. Z przeprowadzonych w 2011 roku badań ośrodka Nielsena (przedstawionych w tygodniku „Time”) wynika, że Indie

są najbardziej stresującym dla kobiet krajem na świecie: osiemdziesiąt siedem procent indyjskich respondentek oświadczyło, że „przez większość czasu czują się zestresowane”, podczas gdy w drugim na liście Meksyku odsetek ten wyniósł siedemdziesiąt cztery. Z kolei w 2012 roku opublikowano wyniki badań, które przeprowadziła grupa pracowników humanitarnych i specjalistów od problematyki gender. Wywołały one oburzenie indyjskiej prasy, ponieważ Indie zostały w nich nazwane najgorszym na świecie miejscem dla kobiety przy uwzględnieniu takich czynników, jak: dzieciobójstwo, małżeństwa nieletnich, utrzymywanie się tradycji posagu (mimo że jest to nielegalne) i niewolnictwo.

Jeszcze bardziej przerażające są dane statystyczne ujawnione w marcu 2013 roku przez „British Medical Journal”: samobójstwo jako główna przyczyna zgonów indyjskich kobiet w grupie wiekowej od osiemnastu do czterdziestu dziewięciu lat o kilka tysięcy przypadków rocznie wyprzedziło śmierć podczas porodu.

Akszaja, Dimple i ja ścieramy kurz z kamiennej ławki piknikowej i zasiadamy do jedzenia. Jesteśmy w prowadzonej przez stołeczny wydział rozwoju turystyki i transportu jadłodajni pod gołym niebem, połączonej z targiem wyrobów rękodzieła – Dilli Haatem. Ten popularny bazar otwarty w 1994 roku, który niedawno dorobił się bliźniaka w północnym Delhi, jest krytykowany przez środowiska opiniotwórcze za to, że na kramikach z ubraniami i biżuterią odziani w tradycyjne regionalne stroje sprzedawcy robią z siebie widowisko i dostają żałosne pieniądze za dostarczanie rozrywki wielkomiejskim klientom.

Mniejsze kontrowersje budzą stragany z regionalną kuchnią, bardzo lubiane przez młodych mieszkańców stolicy. Ja też lubię jeść w Dilli Haacie. Można tu dostać próbki rozmaitych kuchni, które Indie podarowały światu: od lekkich, złagodzonych owocami tamaryndowca smaków południa, po ciężkie potrawy z pieca tandur^[14], spopularyzowane przez Mogołów. U młodego człowieka z Maharasztry zamawiamy tamtejsze przysmaki.

– Problemem są te wszystkie brednie z boginią – kontynuuje Akszaja, kiedy czekamy na jedzenie. Idealna bhartija nari, indyjska kobieta, to bogini Lakszmi jako panna młoda przekraczająca próg domu swojego męża,

przynosząca bogactwo i szczęście. Albo Saraswati dająca mądrość swoim dzieciom. Albo Dewi jako niosąca mężowi siłę. Bogini pojawia się nie tylko w świątyni, ale także w Bollywood. Te wszystkie doskonałe białe boginie na swoich piedestałach.

Dostajemy jedzenie i Akszaja błyskawicznie się do niego zabiera, jak doker napełniający ładownię statku pakuje do ust bhel puri – przekąskę z dmuchanego ryżu, ziemniaków z dodatkiem sosu ćatni (chutney), który nierozzerwalnie kojarzy się z Mumbajem.

– Albo na piedestale, albo w rynsztoku – wtrąca się Dimple z ponurym śmiechem – skąd nie da się już wrócić na górę. Myślę, że spalili drabinę.

– I niech Bóg się nad nią zlituje, jeżeli zostanie śmiertelniczką – mówi Akszaja, wycierając usta.

– Słyszaliście, co się stało w zeszłym tygodniu z Ashwaryą? – pyta Dimple.

Ashwarya Rai, modelka i aktorka, twarz akcji charytatywnych L'Oréal, była Miss Indii i Miss Świata, dwa miesiące wcześniej urodziła pierwsze dziecko, którego ojcem jest jej mąż, aktor Bollywood^[15]. Kiedy po paru miesiącach od porodu Rai nadal nie wróciła do dawnej szczupłej sylwetki, indyjska prasa pokazała pazury. „Od wysportowanej laski do grubej ciotki”, triumfował jeden z dzienników informacyjnych.

– *Wah!* Przynajmniej nie skrytykowali jej za to, że urodziła dziewczynkę – mówi Sumitra, nalewając nam wszystkim thumbs up. Ten dwa razy słodszy od coca-coli ulepek jest ulubionym napojem młodych Indusów, mimo gorączkowych starań zachodnich marek, takich jak mountain dew, o wywalczenie sobie przyczółka na kwitjącym indyjskim rynku. Po jednym łyku czuję, że moje zęby trzonowe próbują się schować.

– Wiecie co, kilka tygodni temu poszłam na wesele i poznałam lekarza, który założył w Hajdarabadzie szpital, gdzie można zamienić nowo narodzoną dziewczynkę w chłopca – ciągnie Akszaja. – Nazwał to „usługami regeneracyjnymi”. Po tych wszystkich dzieciobójstwach i niemowlętach płci żeńskiej znajdujących na śmietnikach myślałam, że gorzej już być nie może.

Zastanawiam się, jak dziewczyny zareagowałyby na opis idealnej Induski

w Kamasutrze. Wyjmuję więc mój zaczytany egzemplarz i czytam fragment wstępu, w którym Burton opiewa hinduski ideał kobiecej doskonałości, kobietę-lotos:

Jej twarz jest przyjemna jak księżyc w pełni, jej ciało, dobrze przy kości, miękkie jak kwiat gorczycy, jej skóra zaś zdrowa, delikatna i jasna jak żółty lotos, nigdy śniada... Trzy fałdy marszczą jej brzuch w okolicy pępka. Jej joni przypomina rozchylający się pęk lotosu, a ziarno jej miłości, łechtaczka (kama salila), pachnie jak świeżo rozkwitła lilia... Kobieta-lotos je mało, śpi lekko... jest mądra i uprzejma.

– Rozpoznaję ją – prycha Akszaja. – To manekin, a nie kobieta.

Ma rację. Ja też rozpoznaję kobietę-lotos. To Induska sprzedawana jako pożywka dla fantazji konsumenta mężczyzny, rozpowszechniona w wielu epokach i na wielu kontynentach – od wiktoriańskich Brytyjczyków po współczesnych Indusów.

Na szczęście w księdze szóstej Kamasutry robi się trochę ciekawiej. Spotykamy zawodowe kurtyzany z czasów imperium Guptów: ambitne przedsiębiorczynie, wybredne kochanki i koneserki seksualnych rozkoszy.

Autor radzi kurtyzanie, żeby się szanowała, wykorzystywała słabości charakteru mężczyzn, a także, nie ulegając porywom namiętności, zawsze miała na względzie korzyści finansowe: kurtyzana nie powinna rezygnować z pieniędzy na rzecz miłości, majątek „bowiem zawsze najpierw jest brany pod uwagę” (*Kamasutra*, s. 137).

– Hm... Życzyłabym sobie, żeby dzisiaj było inaczej – mówi Dimple po wysłuchaniu tego fragmentu. – Ale nie jest. Wiele indyjskich dziewczyn nie może sobie pozwolić na miłość. Bo jaką ma ona dla nich cenę? Wydziedziczenie przez rodzinę za to, że nie zgodziła się na zaaranżowane małżeństwo z inżynierem? Brak przyszłości?

Ja jednak nie potępiam tych zaadresowanych do niższych klas porad. Wymowa księgi szóstej przypomina mi *The Rules* autorstwa Ellen Fein i Sherrie Schneider, opublikowany w 1995 roku poradnik. Książka ta, której podtytuł brzmiał „Sprawdzone tajemne metody podbijania serca wybranka”, odniosła gigantyczny sukces wydawniczy i wzbudziła

na Zachodzie sensację, podając na przykład listę wskazówek, jak grać nieprzystępną, między innymi: „Nie gódź się na randkę w sobotni wieczór”, „Nie dzwoń do niego i rzadko oddzwaniaj” oraz bardziej enigmatyczne „bądź stworzeniem innym od wszystkich”.

Porównajmy to z proponowanymi kurtyzanom przez Kamasutrę sposobami na wydojenie klienta: „Jeśli ten, kto godny związku, błaga nawet miłośnicę – niechaj natychmiast się do jego próśb nie przychyła, to bowiem, co łatwe do zdobycia, wśród mężczyzn obdarzane jest wzgardą” (*Kamasutra*, s. 137). Oba poradniki odnoszą się do męskich upodobań łowieckich i chełpią się potęgą kobiecej mistyki, realnej czy imaginowanej. Pod koniec traktatu Watsjajana pisze trochę tęsknie:

*Doświadczeni z trudem mogą
U miłośnic miłość poznać,
Bo jest wielce nieuchwytna
I natura jej nieznana,
A niewiasty bardzo chciwe* (*Kamasutra*, s. 142–143).

Współczesne młode Induski mogą tylko pozazdrościć kurtyzanom Watsjajany. Zredagowany przez młodą indyjską autorkę wspomniany zbiór opowiadań („Przewodnik po grzecznej indyjskiej dziewczynie...”) przejmująco opisuje sytuację współczesnej indyjskiej kobiety, która zamiast roztaczać wokół siebie niebezpieczną mistykę, powinna dążyć do ideału bogini, skromnej i nieśmiałej indyjskiej kobiety, bhartija nari:

Na subkontynencie są setki miejscowości, w których nieśmiałość – seksualna czy towarzyska – jest mniej ceniona. Lokują się one jednak na obrzeżach naszej świadomości kulturowej. Kiedy ludzie mówią o bhartija nari, w naszych głowach pojawia się obraz odzianej w sari kobiety z długimi włosami, skromnej i zaradnej gospodyni domowej. Nie myślimy o żującej tytoń robotnicy rolnej z umięśnionymi ramionami i pieśnią na ustach. Tymczasem one są w nie mniejszym stopniu Induskami.

Jest już bardzo późno, kiedy wsiadamy do suzuki, żeby pojechać na – jak

to nazwała Akszaja z tajemniczością godną kurtyzany z Kamasutry – „obserwację fauny”. Trochę wcześniej skierowałam temat rozmowy na seks. Jak w społeczeństwie, które oczekuje od nich roztaczania wokół siebie aury dziewictwa, te grzeczne indyjskie dziewczyny zaspokajają swoje potrzeby, a wszystkie deklarują, że zaspokajają.

– Z grzecznymi indyjskimi dziewczynami jest taka sprawa, że nie są grzeczne – mówi Akszaja, z prędkością osiemdziesięciu kilometrów wycofując na główną ulicę. – Wystarczy, że sprawiamy wrażenie grzecznych wobec starszych, wobec rodziny. Oni myślą, że ciężko pracujemy i myślimy o znalezieniu sobie odpowiedniego męża. Zawsze się tego trzymamy: jesteśmy miłe i skromne, uśmiechamy się i podajemy dziadkowi herbatę, ćaj. Wiemy, że musimy ratować naród, będąc dziewicami i nie mając żadnej przyjemności z życia. Ale po to mamy drugie życie, z przyjaciółmi i kochankami.

W ciągu kilku lat średni wiek inicjacji seksualnej indyjskich dziewczyn spadł z dwudziestu dwóch do dziewiętnastu lat. W 2008 roku „India Times” przedstawił wyniki badania sfery seksualnej, które dały obraz nowej indyjskiej kobiety. W 2003 roku pięćdziesiąt siedem procent respondentek stwierdziło, że seks przedmałżeński jest niedopuszczalny, a siedemdziesiąt osiem procent opowiedziało się przeciwko seksowi pozamałżeńskiemu. W 2012 roku odsetek takich odpowiedzi wyniósł odpowiednio czterdzieści sześć i sześćdziesiąt sześć. Wyniki sondażu wskazują również na wzrost asertywności kobiet w związkach. W 2003 roku sześćdziesiąt jeden procent kobiet powiedziało, że gdyby partner je zdradził, ograniczyłyby się do porozmawiania z nim i wyjaśnienia sprawy, a sześć lat później już tylko trzydzieści siedem procent wybrało takie rozwiązanie.

Istnieje pewne zjawisko, które z całą pewnością ma wpływ na życie młodych Indusek, przez wielu komentatorów uważane za jeden z najważniejszych czynników epidemii gwałtów w Delhi, a mianowicie pornografizacja indyjskich mediów. Również w tej kwestii fakty przedstawił „India Times”, publikując w 2012 roku okładkowy tekst zatytułowany „Boom na pornografię desi” – desi to potoczne określenie ludzi i rzeczy wywodzących się z subkontynentu indyjskiego. Jak wskazują Google

Trends, liczba indyjskich adresów IP, z których ściąga się pornografię, podwoiła się w latach 2010–2012. W 2011 roku siedem indyjskich miast znalazło się w pierwszej dziesiątce na świecie pod względem częstości wyszukiwania pornografii. W tym samym roku badania przeprowadzone w prywatnych szkołach indyjskich ujawniły, że czterdzieści siedem procent uczniów codziennie rozmawia o pornografii. Nie dysponujemy w tej dziedzinie danymi dla Zachodu.

Doskonałym symbolem indyjskiej obsesji pornograficznej są trzej ministrowie ze stanu Karnataką, których w 2012 roku sfotografowano oglądających pornografię na sali Zgromadzenia Narodowego. Zdjęcia ich tabletów trafiły na czołówki indyjski gazet, ale politycy nie mieli zamiaru przeproszać za swoje zachowanie. Moja znajoma z Delhi wyjaśniła immunitet wpływowych Indusów w kontekście afer moralnych i rodzinnych następująco: „W krajach anglosaskich twoi sąsiedzi mogą zrobić wszystko, ale politykom, takim jak Bill Clinton, nic nie ujdzie na sucho. W Indiach jest odwrotnie. Sąsiedzi muszą postępować nienagannie, za to politykom wolno broić do woli”

W tym samym miesiącu, w którym wybuchło indyjskie *porngate*, „Times of India” opisał przypadek kobiety, która zabiła męża z powodu jego „uzależnienia od pornografii”: „W Anicie, trzydziestoletniej gospodyni domowej z Betul w Madhja Pradeś, która nigdy wcześniej nie odważyła się odmówić swemu mężowi Ramćaranowi spełniania coraz częstszych żądań »nienaturalnego« seksu, po prostu coś pękło. Kiedy zaczął jej pokazywać nieprzyzwoite filmiki wideo na swojej komórce, wzięła do ręki kamień i rozbiła mu głowę”

Pornografię konsumują nie tylko sfrustrowani młodzi mężczyźni i znudzeni urzędnicy. W sondażu z 2008 roku dla „Times of India” co piąta Induska powiedziała, że aprobeje pornografię, ale odsetek oglądających ją kobiet jest wyższy – przyznała się do tego trochę mniej niż jedna czwarta respondentek. Szczególnie wiele kobiet ogląda pornografię w Ćennaju, na południu kraju, oraz w Delhi. Co dziesiąta z tych, które oglądają, powiedziała ankieterom, że zagrałaby w filmie pornograficznym, gdyby jej to zaproponowano.

– Jak to jest – pytam Akszaję i Sumitrę – funkcjonować w rzekomo konserwatywnym społeczeństwie, które nieustannie raczy się twardą pornografią?

– To ma swoje dobre strony – mówi Akszaja. – W Delhi można dzisiaj kupić seksualne zabawki. Dalej są nielegalne, ale idziesz do gościa w sklepie z elektroniką w dzielnicy Karol Bagh, podajesz tajne hasło i on ci przynosi to, czego chcesz, z magazynu na górze. Pod innymi względami nie jest to zbyt dobre. Mężczyźni oczekują tych wszystkich ruchów, które widzą w filmach porno na swoich telefonach, ale jeżeli dziewczyna rzeczywiście tak się zachowa, to nią gardzą. Tak źle i tak niedobrze.

Nareszcie docieramy do celu. Akszaja wyrzuca nas z samochodu okrzykiem: „Go! Go! Go!” – tym z pozoru grubiańskim wezwaniem posługuje się wiele indyjskich kobiet, dlatego już dawno się nauczyłam, że nie powinnam być urażona.

– Jest dobra pora na obserwację fauny – mówi zadowolona z siebie Akszaja, kiedy przepychamy się przez bramę zatkaną sznurami aut, które wjeżdżają i wyjeżdżają z Lodhi Gardens.

Lodhi Gardens, trzydzieści sześć hektarów szmaragdowych trawników tu i ówdzie porośniętych drzewami nim i palmami – w miesiącach zimowych przylatują tutaj kukułki czarno-białe i ary szafirowe broniące się przed europejskim chłodem, w lecie pliszki, majny i piegże z podbrzusami w kolorze siarki – to popularne miejsce rekreacji delhijczyków. Indusi mają zwyczaj żyć pośród swojej historii, zamiast się od niej odgradzać, tak jak to robimy my, na Zachodzie. Ogrody są więc zaaranżowane wokół grobowców – z cebulastymi kopułami, osypującym się kamieniem i kolumnadami – członków dynastii Lodich, sunnickich muzułmanów i ostatnich sułtanów Delhi.

Ogrody od dawna uchodzą za właściwe miejsce na zaloty. Kamasutra doradza praktykę chodzenia do ogrodów lub na pikniki jako element bycia dobrym obywatelem:

Przed południem mieszczanie godnie przyodziani, dosiadłszy konia, wraz z miłośnikami i służbą na przejażdżkę niechaj się udadzą.

A doświadczywszy codziennej przejażdżki i spędziwszy resztę czasu na walkach kogutów i oglądaniu odpowiednich, ulubionych widowisk, niechaj po południu w podobny sposób powrócą, niosąc ze sobą znamiona zażywania rozkoszy w ogrodzie (Kamasutra, s. 27).

Rozrywki, którym Indusi oddają się dzisiaj w swoich parkach, mają mniej niewinny charakter. Akszaja przywiozła nas tutaj po to, żebyśmy zobaczyły, co dla wielu młodych Indusów uchodzi za randkę. W ciągu ostatnich kilku lat jak grzyby po deszczu wyrastają w ich kraju wielkometrowe plenerowe siedliska seksu, co wywołuje zaniepokojone komentarze publicystów. Szczególnie głośna wrzawa podniosła się na początku 2011 roku, kiedy wyszło na jaw, że las mangrowy koło plaży Girgaum Chowpatty w Mumbaju zamienił się w wyposażony we wszelkie niezbędne wygody burdel. Pewien młody mumbajski przedsiębiorca po sto rupii za godzinę wynajmował budki z kamiennymi podłogami i kadzidełkami odstraszającymi komary.

My nie jesteśmy jednak na plaży, lecz wchodzimy w głąb Lodhi Gardens. Gałęzie wierzb płaczących ocierają się o trawę, a gęste zarośla obfitują w miejsca niewidoczne z alejek. Kiedy moje oczy adaptują się do półmroku, zauważam młodą parę. Mężczyzna, na oko dwudziestoletni, ma na sobie podkoszulek z Metallicą, a jego towarzyszka siedzi mu na podołku z podciągniętym do góry sari i włosami w zaawansowanym nieładzie. Kobieta odwraca się, widzi nas, ale podejmuje przerwane pieszcoty.

– Sprawdziła, czy nie jesteśmy policją – mówi Akszaja teatralnym szeptem, który z pewnością słyszy nasza szczęśliwa para. – Policjanci na ogół wymuszają na małolatach łapówki, grożąc, że powiedzą rodzicom albo nawet pobiją ich lathi (cienką bambusową pałką).

To by było na tyle, jeżeli chodzi o grzeczne indyjskie dziewczyny, myślę sobie.

Chcę się dowiedzieć, dlaczego młodzi Indusi nagle zaczęli szukać miejsc do bycia razem i na przekór presji społecznej pozwalają sobie na ukradkowe seksualne eskapady. W tym celu spotykam się z Nandini Bhallą, redaktorką naczelną „Cosmopolitan India”, czasopisma, którego zachodnie wydanie

podejmuje tematy seksualne bez owijania w bawełnę, ale w swoim indyjskim wcieleniu razem z czytelnikami stąpa po cienkiej kładce między niewinnością i seksualną przygodą.

Na dachu budynku redakcji, pośród wstęg dymu papierosowego, Bhalla mówi:

– W ciągu ostatnich pięciu czy dziesięciu lat wszystko się zmieniło. Induski porzucają swoje aranżowane małżeństwa. Dążą do niezależności finansowej. Zmieniły się. Ale zmieniły się tylko w jakichś pięćdziesięciu procentach. Musimy się ograniczać do podstawowych porad seksualnych, żeby nie odstraszać kobiet. To nie może być w najmniejszym stopniu sprośne i oczywiście partnerem musi być mąż. Tylko seks z mężem wchodzi w rachubę.

Od usmarowanego szminką niedopałka Bhalla odpala drugiego papierosa i ciągnie rozdrażnionym tonem:

– Nasi hinduscy bogowie bez przerwy się pieprzą, do cholery, ale indyjscy konserwatyści oczekują od nas, że wszystkie będziemy dziewicami. Żyją w nierealnym świecie. Młode Induski uprawiają albo chcą uprawiać seks. Nie w jaskiniach sado-maso, jak Samantha Jones z *Seksu w wielkim mieście*, w puchatych kajdankach, tylko na ogół pośpiesznie, w zaparkowanych samochodach. Ale robią to.

ROZDZIAŁ 6

JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA CHŁOPAKA, DELHI W POSZUKIWANIU NOWEGO INDYJSKIEGO MĘCZYZNY – POZNAJCIE ŻIGOLAKÓW

*Męski splendor, powiadają,
To gwałtowność jest i szorstkość,
Kobięcy zaś to bezradność
Opór, słabość i cierpienie.
Za przyczyną namiętności
Czy z praktyką będąc w zgodzie,
I odwrotnie także bywa,
Choć na krótko, bo natura
Zawsze przecie górę bierze.*

Kamasutra, s. 59

Jest późne popołudnie kilka tygodni po święcie Diwali, smog po fajerwerkach nareszcie zaczyna się rozpraszać i delhijskie powietrze traci swój jesienny zapach starych ubrań. Dimple i ja jedziemy samochodem do Gulmohar Park Journalists' Colony, pełnej zieleni zamożnej dzielnicy południowego Delhi. Jesteśmy umówione z Rahulem Rojem, autorem filmów dokumentalnych, pisarzem i dziennikarzem, który zajmuje się męską tożsamością.

– Dla indyjskich mężczyzn gender jest ograniczającym ruchy gorsetem – mówi w maleńkim biurze, pod którego ścianami leżą sięgające do sufitu sterty książek i DVD.

Dimple i ja pijemy herbatę z mlekiem z plastikowych kubków, które z powodu braku miejsca na biurku trzymamy na kolanach.

– Mężczyźni i kobiety w Indiach mają bardzo określone tożsamości, a

przecież realia życia się zmieniają – kontynuuje Roj. – W przypadku ludzi z niższych klas, którzy przyjeżdżają do miasta pracować, stabilniejsze dochody mają kobiety. Z reguły cieszą się stałą pracą, na przykład jako aja, a mężczyźni często pracują dorywczo. Przestali być głównymi żywicielami rodziny, co zmienia tradycyjny układ sił. Jeżeli o to chodzi, mamy teraz prawdziwą rewolucję. W końcu zaowocuje to lepszymi związkami, ale proces ten ma również swoje ofiary. W wiadomościach coraz częściej słyszymy o gwałtach, a także o honorowych zabójstwach.

Roj ma rację, nie dla wszystkich Indusek sytuacja maluje się w ponurych barwach: w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat los wielu z nich znacznie się poprawił. Dziewczynki ze średniozamożnych rodzin osiągają lepsze wyniki w szkole niż chłopcy, kobiety podbiły wiele branż gospodarki, aczkolwiek odsetek pracujących kobiet jest znacznie niższy od odsetka pracujących mężczyzn albo kobiet na Zachodzie (dwadzieścia dziewięć procent w latach 2008–2012 wobec pięćdziesięciu sześciu procent w Wielkiej Brytanii i pięćdziesięciu ośmiu w USA). Kobiety ze średniozamożnych rodzin przebiły szklany sufit w tradycyjnie męskich sektorach gospodarki, takich jak bankowość i finanse (odsetek prezesek jest tam nawet wyższy niż na Zachodzie), a są też coraz bardziej widoczne na niższych szczeblach indyjskiej polityki.

Grupa indyjskich kobiet, którym najbardziej się powiodło, wchodzi więc w konflikt z ogromną i coraz większą kohortą nisko wykwalifikowanych, samotnych i bezrobotnych młodych mężczyzn. Ponieważ przez ostatnie kilkadziesiąt lat lawinowo wzrósł wskaźnik dzieciobójstw dziewczynek (wraz z upowszechnieniem się ultrasonograficznej metody badania płci dziecka), mężczyźni ci tracą nadzieję na zdobycie żony i zaczynają traktować sukcesy kobiet jako przyczynę swoich miłosnych i ekonomicznych niepowodzeń.

„Kobiety się przebijają i coraz więcej osiągają – powiedział doktor K. Śrinath Reddy, prezes indyjskiej Fundacji Zdrowia Publicznego, w wywiadzie dla »International Herald Tribune«. – Jednym z naturalnych przejawów tego napięcia jest wzrost przemocy wobec kobiet”

– Trudno się spodziewać czegoś innego od pokolenia młodych mężczyzn – mówi Roj – którzy z mlekiem matki wyskali bardzo wąską definicję tego,

co określa wartość mężczyzny.

Mali indyjscy chłopcy są zachęceni przez rodziców do zachowań, które mają świadczyć o męskości i silnym charakterze, takich jak hałaśliwe sprzeczki i zabawa w wojnę. Są także dłużej karmieni piersią i dostają więcej jedzenia, a śmiertelność indyjskich chłopców jest znacznie niższa niż śmiertelność małych Indusek. Z danych Organizacji Narodów Zjednoczonych z 2012 roku wynika, że prawdopodobieństwo śmierci przed ukończeniem piątego roku życia jest o siedemdziesiąt pięć procent wyższe w przypadku indyjskich dziewczynek.

– W Indiach kładzie się duży nacisk na to, żeby mężczyzna „się sprawdził”, w pracy czy z kobietami – kontynuuje. – Propagowany zestaw norm jest bardzo wąski i mężczyźni, którzy się w nim nie mieszczą, czują się słabi i nieudacznicy. Swoje frustracje wyładowują na kobietach.

Roj nie ogranicza się do moralizowania, lecz podejmuje kwestię tych wąskich definicji społecznych w swoich filmach i organizowanych od czasu do czasu warsztatach na temat indyjskiej męskości i związanych z nią wyobrażeń. Podobnych inicjatyw jest w Indiach wiele, na przykład w Mumbaju organizacje pozarządowe pomagają pracownikom napływowym przystosować się do realiów tego miasta z jego relatywnie wyzwolonymi kobietami, a w Delhi prowadzony jest zaadresowany do młodzieży projekt uwrażliwienia mężczyzn, skupiony na zagadnieniach przemocy seksualnej i gender.

Zachód oczywiście nie uniknął takich problemów, ale wskaźniki przemocy domowej i zabójstw żon przez mężów na Zachodzie osiągnęły szczyt w latach 1880–1930. Przemoc domowa szczególnie mocno zaznaczyła się na obszarach kresowych i w koloniach, czyli w społecznościach, w których wysoko ceniono męskość, a kobiet brakowało – podobne połączenie obserwujemy we współczesnych Indiach.

Co jednak definiuje męskość? Według historyka Ronalda Hyama na początku XX stulecia ubiegłowieczne wyobrażenia o idealnym wiktorianinie uległy zmianie, „nastąpiło przesunięcie od prawości i powagi do wigoru i twardości”. W centrum uwagi znalazły się spartańskie obyczaje i dyscyplina, kultywowanie wszystkiego, co męskie, przy jednoczesnym

tępieniu wszystkiego, co „zniewieściałe, nieangielskie i nadmiernie intelektualne”. Męskość przeprowadziła się „z kaplicy do przebieralni i zyskała pozycję obowiązującego kodeksu mieszczańskiego”.

Symbolami tej męskości stały się brody i sporty oparte na rywalizacji – czyli najważniejsze towary eksportowane do kolonii. Edward Lyttelton, w latach osiemdziesiątych XIX wieku dyrektor szkoły w Eton, jest autorem pamiętnej uwagi, że na nowych, gładkich boiskach krykiet „stracił sens”, ponieważ z tej dyscypliny sportu „zniknął ból”.

W kolejnych dziesięcioleciach takie ukierunkowywanie męskości przerodziło się w kult fizyczności, który można zestawiać z macyzmem. Z tego wywodzi się nazistowska retoryka o pełnym wigoru Aryjczyku czy amerykański ideał barczystego pana domu z lat pięćdziesiątych. Z tych samych korzeni wyrosły gloryfikujące męskość motywy reklamowe, często zaprawione nostalgią, na przykład w reklamach papierosów Marlboro i Camel.

Jak wiadomo, w latach dziewięćdziesiątych na Zachodzie zaczęto lansować zupełnie inny ideał mężczyzny: człowieka, który doskonale radzi sobie z przewijaniem pieluch i wyborem kremu nawilżającego w drogerii. Nieobecność tego ideału we współczesnej kulturze indyjskiej jest gorącym tematem dyskusji w tym kraju. Mukul Kesavan, autor książki *The Ugliness of the Indian Male and Other Propositions* (Brzydota indyjskiego mężczyzny i inne tezy), przekonuje, że Indusi nawet nie próbują sprostać wyobrażeniom obowiązującym na Zachodzie, ponieważ zamiast dostosowywać się do wymagań wyemancypowanej nowej indyjskiej dziewczyny, mogą wybrać zaaranżowane małżeństwo z potulną kurą domową.

„Indyjscy mężczyźni są brzydki w trzech obszarach: higiena, włosy i nawyki – pisze Kesavan. – Ale mimo niezachęcającego wyglądu zawsze są swatani z ładnymi dziewczynami”.

W felietonie z 2009 roku zatytułowanym „Dlaczego indyjscy mężczyźni nadal są chłopcami” dziennikarka Nisha Susan, jedna z organizatorek Kampanii Różowych Majtek, zdefiniowała nadal bardzo rozpowszechnione zjawisko Indusa starego typu. Czytając jej słowa, niemal słyszymy, jak

wzdycha:

Jest to mężczyzna, któremu trudno się pogodzić z wyższymi zarobkami swojej dziewczyny; który zakłada, że wszystkie młode kobiety są stażystkami albo sekretarkami, a jeżeli zaszły wyżej, to znaczy, że przespały się z kim trzeba; mężczyzna, który zakłada, że jego nastoletniej szwagierce nie przeszkadza, jeżeli ją obmaca, skoro mieszka w tym samym domu co on; który omawia ze swoimi studentami różnice między filozofią analityczną i syntetyczną, ale zapomina o przedstawieniu im żony, kiedy przynosi kolejne tace z kawą.

Kilka dni później, w Café Coffee Day, w dzielnicy pełnej nastolatków w džinsach, spotykamy się z dwudziestodwuletnim Pallabem i trzydziestoczteroletnim Lakhanem oraz ich agentem Goutamem. Pallab i Lakhan opisują odwrotną stronę stosunków władzy między mężczyznami i kobietami, a mianowicie sprzedają zamożnym klientkom wyidealizowany obraz mężczyzny. Są żigolakami i striptizerami należącymi do szybko rosnącej grupy młodych Indusów, którzy dorywczo lub na stałe pracują w branży seksualnej.

Pallab zaczął sprzedawać swoje męskie wdzięki z oczywistego powodu: musiał utrzymać pozostawioną w Madhja Pradeś rodzinę, a jednocześnie chciał kontynuować studia dzienne. Mówi mi, że zaczynał od szukania klientek w ogrodach botanicznych w swojej rodzinnej Kolkacie (dawniej Kalkuta). Miał wtedy osiemnaście lat i zdziwiło go, jakie to łatwe.

– Byłem zaskoczony – mówi mi. – W oczach tych kobiet widać było pożądanie. Siedziałem na ławce, a one podchodziły i pytały o drogę albo prosiły o ogień. Kilka chwil później byliśmy już dogadani i szedłem za kobietą do jej samochodu.

Pallab w końcu zrezygnował ze studiów i przeprowadził się do Delhi, żeby zostać striptizerem i żigolakiem „na cały etat”.

Niewiele zjawisk lepiej oddaje niedawne zmiany norm społecznych w Indiach niż imprezy z żigolakami. Te libertyńskie klimaty, którym sprzyja między innymi popyt u wyzwolonych kobiet wracających z zagranicy, zostały doskonale uchwycone w bollywoodzkim filmie *Oops!* z 2003 roku.

Opowiada on o losach Dżagana i Akaśa, młodych tancerzy z aspiracjami, którzy zostają wciągnięci do półświatka oferującego uciechy seksualne kobietom z towarzystwa. Film ukazuje to środowisko w pierwszym stadium rozwoju, kiedy to przez parę lat nocne kluby z Delhi organizowały wieczory z męskim striptizem i występem tylko dla kobiet.

Wszystko się zmieniło w 2005 roku, kiedy jedna z indyjskich stacji telewizyjnych ukrytą kamerą nakręciła poczynania w jednym z takich klubów, a podobne „wieczory dla pań” trafiły na czołówki gazet w Ćennaju na południu Indii. Rozpętała się wielka wrzawa, która zepchnęła męski striptiz do podziemia, prywatnych domów i imprez za miastem.

Popyt na takie usługi bynajmniej jednak nie wygasł. Dzisiaj już nie tylko kobiety z towarzystwa podniecają się widokiem zrzucających ubranie młodych mężczyzn – dołączyły do nich średnio zamożne koleżanki. W największych miastach istnieją nieoficjalne punkty zborne dla żigolaków i kwitną agencje „męskich modeli” nastawione na organizację imprez ze striptizem. We wspomnianym już sondażu obyczajów seksualnych przeprowadzonym w 2012 roku przez „India Today” czterdzieści dziewięć procent respondentek stwierdziło, że chciałoby obejrzeć męski striptiz.

W tej branży panuje spora konkurencja. Trzydziestoczteroletni Lakhan mówi mi zatroskanym tonem, że młodzi chłopcy odbierają mu chleb:

– Robię to od siedmiu lat i widzę, że dzisiaj kobiety wolą chudszych i dużo, dużo młodszych. Wielu z chłopców, z którymi jeżdżę na te imprezy, ma szesnaście, siedemnaście lat.

Do rozmowy ściszym głosem włącza się Goutam, który potwierdza słowa Lakhana:

– Tak, kobiety wolą dzisiaj młodych chłopców. Pszenicznych (z jasną cerą), chudych, ale wysokich jak w Pendżabie.

Pytam Pallaba i Lakhana, czy mają problemy z zaspokajaniem potrzeb klientek.

– Ja sobie radzę, ale wielu starszych musi brać viagrę – odpowiada Lakhan.
– Kupujemy ją przez internet, zdarza się jednak, że tabletki zawierają amfetaminę albo talk i nie działają. A nie można ryzykować zbyt wielu nieudanych nocy. W tym zawodzie bardzo wiele zależy od reputacji.

Pytam go, czy się zabezpiecza. Kiwa potakująco głową i wyjmuję paczkę KamaSutra LongLast. Ta druga pod względem sprzedaży indyjska marka została wylansowana w 1991 roku w jednej z pierwszych w Indiach kampanii reklamowych, w których bardziej niż bezpieczeństwo podkreślano zmysłowość. Wystąpiła w niej para znanych modeli, Puja Bedi i Mark Robinson, posmarowanych olejkami i splecionych ze sobą jak żywa kobra.

– W takim razie, jaki masz plan B? – Dimple pyta Lakhana z troską w głosie. – Co zamierzasz robić, kiedy będziesz już za stary na tę zabawę?

– Nie wiem – odpowiada ze zmartwioną miną i nagle zaczyna wyglądać na swoje trzydzieści cztery lata. – Chyba będę musiał wciągnąć w ten interes moich chłopców. W mojej rodzinnej miejscowości nie ma dla mnie pracy. Mógłbym pójść do kopalni, ale to brudna i niebezpieczna robota. Kręci tym wszystkim mafia, która sprowadza tanią siłę roboczą ze wschodu. Mam na utrzymaniu rodzinę siostry. Jej mąż zmarł w kopalni. Więc co mam zrobić, zarabiać dziesięć tysięcy rupii miesięcznie jako kelner i patrzeć, jak zdychają z głodu?

Mimo to jest rozczarowany obecną pracą. Rzuciłby ją, gdyby nie pieniądze.

– Kobiety stały się bardzo wymagające. Czasem mnie szokują swoimi żądaniami. Niekiedy zatrudniają mnie na cały weekend, a potem nie płacą i jeszcze grożą, że wezwą policję i powiedzą, że je zgwałciłem. Czasem przypalają mi skórę papierosami.

Goutam, agent naszej dwójki striptizerów, sprawia wrażenie zakłopotanego, ale po chwili mówi, że interes idzie całkiem nieźle.

– Prowadzę go jednocześnie w Mumbaju i Delhi. Moje klientki to kobiety z wyższych sfer. Mają bardzo zajętych mężów. Nie mogą się nacieszyć moimi chłopcami.

Goutam zarządza wszystkim z laptopa i działa pod pseudonimem. W swojej kartotece ma ponad dwustu mężczyzn, z których większość rekrutuje za pomocą ogłoszeń albo wyszukuje kandydatów na aktorów i modeli przez media społecznościowe typu Facebook. Jego chłopcy kosztują od pięciu tysięcy rupii za noc do dwustu pięćdziesięciu tysięcy w przypadku „markowych” żigolaków, sławnych południowoazjatyckich aktorów

i modeli, których tożsamości nie ujawni.

Patrząc na tych trzech mężczyzn, na ich liczne telefony komórkowe, nażelowane włosy i obcisłe podkoszulki opinające wyrzeźbiony na siłowni tors, zastanawiam się nad konsekwencjami rozkwitu tego indyjskiego rynku męskich ciał na sprzedaż.

Zjawisko indyjskiego żigolaka z pewnością świadczy o narodzinach nowego gatunku indyjskiej samicy alfa i zmian w tradycyjnym układzie sił, przynajmniej w niektórych odłamach społeczeństwa. Owe samice – uprzywilejowana grupa bogatych żon często nazywanych „ciociami” – dysponują wolnością ekonomiczną, która umożliwia im poszukanie sobie czegoś poza swoim pozbawionym miłości małżeństwem. Mogłoby się wydawać, że czerpią korzyści z indyjskiego boomu gospodarczego: mają cały wianuszek służących, mnóstwo wolnego czasu i wszystkie modne nowinki.

A przecież, przy całej nowoczesności tych kobiet, ich ambicją są stare symbole statusu: służba, seksowni młodzi chłopcy, ludzie z niższych klas, których można kupić równie łatwo jak nowy telefon komórkowy. W sumie trudno się tutaj doszukać oznak postępu.

W Gulmohar Park Dimple zapytała Roja, czy widzi przyszłość współczesnego indyjskiego mężczyzny w optymistycznych barwach. Patrzyła na niego pełnym nadziei wzrokiem, jakby od tej odpowiedzi zależało jej przyszłe szczęście. Nasze filiżanki z herbatą uprzątnął służący, który sprawnie je wyłowił spośród zakrywających biurko literackich efemeryd. W tym strzelistym krajobrazie papierów i książek Roj sprawiał wrażenie małego i zamyślnego.

– Podróże emocjonalne, w które wyruszają indyjscy mężczyźni i kobiety, bardzo się różnią – powiedział. – Nie mam najmniejszych wątpliwości, że obserwujemy dwie rewolucje: społeczną i seksualną. Zmiany nastąpią, już następują.

ROZDZIAŁ 7

JAK TO WYGLĄDA Z PUNKTU WIDZENIA HIDŹRÓW, GUDŻARAT DOM SPOKOJNEJ STAROŚCI

Trzeci rodzaj jest dwojaki: podobny do niewiasty lub podobny do mężczyzny. Ten podobny do niewiasty niechaj niewiasty strój, mowę, igraszki, uczucia, delikatność, naiwność, bezradność i wstydlivość naśladowuje. [...] Ten podobny do mężczyzny niechaj swe pragnienia skrzętnie ukrywa. A gdy mężczyzny pragnie, niechaj jako masażysta zarabia na życie.

Kamasutra, s. 66

Wyjechałam z Delhi i kieruję się w stronę Radżpipli, niewielkiego miasta w konserwatywnym stanie Gudżarat. Dzisiaj Radżpipla jest dosyć senne, według kryteriów tego liczącego miliard dwieście milionów ludzi kraju, w którym pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców jakoś wiąże koniec z końcem dzięki uprawie roli, prywatnemu szkolnictwu ze średniej półki i produkcji odzieży na małą skalę.

Przez wiele stuleci wszystko jednak wyglądało zupełnie inaczej. Do 1948 roku Radżpipla było stolicą zamożnego radżpuckiego^[16] księstwa Gohilów, którzy zarządzili obszarem o powierzchni prawie czterech milionów kilometrów kwadratowych, ograniczonym rzekami Narmada i Tapti i obejmującym lasy, żyzne równiny i góry Satpura z bogatymi złożami agatów.

Okres ich rządów (około 1340–1948) zakończył się tak samo jak panowanie wielu dawnych maharadzów. W 1948 roku, rok po uzyskaniu przez Indie niepodległości, królestwo Radżpipla jako jedno z pierwszych przyłączyło się do nowo powstałych Indii. Ostatni maharadza, anglofil Widżajsindhzi,

po cichu wyjechał do Old Windsor, swojego majątku w Berkshire, gdzie zmarł trzy lata później. Dla wielu takich ludzi historia ta skończyłaby się równie anonimowo, gdyby nie wysiłki ich sprytnych potomków, którzy postanowili wykorzystać odziedziczone dobra – osobiste talenty i nieruchomości – w nowej branży turystyki pałacowej.

Dynastia Gohilów przekształciła jedną ze swoich nieruchomości, kompleks pałacowy Radżpant z 1910 roku, w luksusowy hotel. Pomalowany po gejowsku na różowo, z białymi kolumnami korynckimi, hotel organizuje wesela dla miejscowej ludności i konferencje dla biznesmenów z Gudżaratu. Dimple i ja przyjechałyśmy tutaj, zakurzone po podróży kolejowej ze stacji przesiadkowej Miyagam Karjan, na audiencję do potomka rodu Gohilów, który odpowiada za to, żeby z mapy świata nie zniknęły nie tylko Radżpipla, ale również stare indyjskie rody królewskie. Nazywa się Manwendra Singh Gohil, jest wnukiem Widżajsinhdźi, pierwszym zadeklarowanym homoseksualistą wśród indyjskich książąt i protektorem trzeciej płci, grupy społecznej, której najbardziej znanymi i przedstawicielami są hidźrowie.

W ostatnich latach nazwisko Manwendra Singh Gohil słyszałam wiele razy, podczas wizyt w Indiach, ale również na Zachodzie. Dowiedziałam się, że w 2002 roku, po załamaniu nerwowym, Singh Gohil ujawnił indyjskiej opinii publicznej swoją orientację seksualną oraz że w wyniku skandalu, który wtedy wybuchł, został wyklęty przez książęcy ród Gohilów. Dotarły do mnie informacje o jego działalności społecznej i obejrzałam jego dosyć teatralny występ w specjalnym wydaniu programu Oprah Winfrey „Geje na świecie” z 2007 roku. Było to pierwsze z dwóch pojawień się Singha Gohila w programie kobiety, która została jednym z jego wielu zachodnich klientów.

Widywałam go również na rozkładówkach kolorowych czasopism, wystrojonego w królewskie jedwabie i turbany. Często pytano go o pierwsze doświadczenia homoseksualne, które były nieporadne, z osobistym służącym (Singh Gohil miał wtedy dwanaście lat). Ostatnio zauważyłam, że historie o Singhu Gohilu mówią przede wszystkim o pragnieniu zaadoptowania dziedzica – zachodnie media reklamowały to

jako „pierwszą homoseksualną adopcję w Indiach”: „Gej w Indiach adoptuje dziecko! Jako pierwszy!”

Moim zdaniem doniesienia te pokazują, że na Zachodzie bardzo niewiele wiemy o homoseksualizmie w społeczeństwie indyjskim. Wcale nie była to bowiem pierwsza homoseksualna adopcja, jak doskonale wie sam Singh Gohil i jego nowy „gejowski przybrany syn”, wykształcony na Uniwersytecie Brytyjskim inżynier Dipak.

– Dawniej w wielu indyjskich społecznościach trzeciej płci zniewieściali mężczyźni zostawali matkami – mówi Singh Gohil.

Z miejsca, w którym siedzimy, rozciąga się widok na trzy hektary pałacowych gruntów, u których podnóża połyskuje dopływ Narmady, niegdyś służący do transportu agatu, najważniejszego źródła bogactwa przodków gospodarza. Od drzwi przygląda nam się kelner, żując wykałaczkę z nonszalancją filmowego kowboja.

– Istnieje pradawna ceremonia dla trzeciej płci, którą zamierzam zorganizować dla Dipaka – wyjaśnia Singh Gohil. – Wleję mu do ust trochę mleka, co będzie oznaczało: „to jest moje mleko, a ty jesteś moim dzieckiem”, i stanie się moim synem. Wiele społeczności trzeciej płci od stuleci pielęgnuje takie tradycje. Na przykład: w tradycji Launda z Bihar (sąsiadującego z Uttar Pradesh stanem, w którym znajduje się Waranasi) starszy mężczyzna trzeciej płci adoptuje młodego syna swojego służącego i bierze go na utrzymanie. Jak tych młodych chłopców w Stanach, których geje nazywają *twank*...

Brytyjczycy łamali kręgosłupy ludziom trzeciej płci. Zarzucali im „naruszanie moralności publicznej” i podciągali ich pod ustawę z 1871 roku o plemionach wyjętych spod prawa. To oznaczało, że aż do uzyskania przez Indie niepodległości hidźrowie znajdowali się pod nieustannym nadzorem i mogli być rewidowani i aresztowani bez nakazu...

Była to krucjata moralna – mówi – ale chodziło w niej również o władzę. Po powstaniu sipajów Brytyjczycy zaczęli patrzeć, kto ma największe wpływy w społeczeństwie indyjskim. W tamtym czasie trzecia płeć trzymała w rękach sporo władzy. Mieli pieniądze, własne struktury podatkowe, tworzyli odrębne wspólnoty, nieraz liczące osiemset, a nawet

tysiąc lat, mieli też własne języki i żargony. Istniały wśród nich różne grupy, na przykład koti, ali i hidźra, posiadające bogatą kulturę i tradycje.

Wykastrowany hidźra zawsze cieszył się największym szacunkiem – twierdzi Singh Gohil. – Dzisiaj istnieją trzy rodzaje trzeciej płci: hidźrowie mahbet, czyli łóżka matki, urodzeni z pomieszanymi genitaliami, których albo oddawano społeczności hidźrów w niemowlęctwie, albo sami ku niej grawitowali jako dorastające dzieci; hidźrowie nirwan, którzy urodzili się z męskimi genitaliami, ale uważali się za kobiety, i poddali się operacji zmiany płci; i wreszcie hidźrowie nawijug, czyli „nowej ery”, ci, podobnie jak ladyboys z Bangkoku, mają implanty piersi, biorą żeńskie hormony i niektórzy mają penisy, a niektórzy nie.

O głębokim zakorzenieniu tej tradycji świadczy fakt, że społeczności hidźrów przeżyły represje w epoce Indii Brytyjskich i późniejsze upokorzenia. Te drugie nie są bynajmniej wyimaginowane. Większość hidźrów żyje dzisiaj na marginesie społeczeństwa, wiodą nędzny żywot prostytutek, muzykantów występujących na uroczystościach rodzinnych (najczęściej z okazji narodzin chłopca), żebraków albo wymuszaczy pieniędzy. Kwietniowy festiwal hidźrów w Kuwagam w stanie Tamil Nadu – gdzie setki tysięcy osób trzeciej płci spotykają się w celu odegrania historii o tym, jak Kryszyna przebrał się za kobietę, żeby poślubić Arawana, wielkiego wojownika, który miał zostać złożony w ofierze – w ostatnich latach zdegenerował się do targów prostytucji i okazji dla gangów młodych Indusów do napaści na hidźrów i molestowania ich seksualnie.

Przemoc wobec hidźrów, zwłaszcza ze strony policji, jest powszechna i brutalna. Nie wszędzie jednak ich stosunki z władzą mają taki charakter. Na przykład: w 2006 roku miasto Patna w północnym stanie Bihar ogłosiło, że hidźrowie, znani ze skutecznych metod zastraszania, będą towarzyszyli urzędnikom skarbowym egzekwującym niezapłacone podatki i otrzymają cztery procent pozyskanych wpływów. Z kolei w październiku 2012 roku do Sądu Najwyższego zgłoszono wnioski o przyznanie hidźrom oficjalnego statusu trzeciej płci i wydobycia ich z „prawnego niebytu” oznaczającego brak dostępu do edukacji, opieki zdrowotnej i przestrzeni publicznej.

Jako działacz społeczny Singh Gohil widzi w tych wszystkich seksualnie

odmiennych osobach – według nowej definicji gejach, według starej seksualnych outsiderach – swoich pobratymców. W 2009 roku wraz z grupą takich znanych postaci jak powieściopisarz Vikram Seth oraz laureat Nagrody Nobla z ekonomii Amartya Sen wziął udział w energicznej kampanii na rzecz zmiany paragrafu 377 przyjętego w 1860 roku indyjskiego Kodeksu karnego, który kwalifikował jako przestępstwo seks homoseksualny i wszystkie inne czynności seksualne uznane za sprzeczne z naturą (niedopochwowe lub z udziałem więcej niż jednego mężczyzny i jednej kobiety). Odnieśli triumf: w historycznym werdykcie Sąd Najwyższy w Delhi zalegalizował dobrowolny seks między dwiema dorosłymi osobami tej samej płci. Nowelizacja Kodeksu karnego położyła kres zapoczątkowanemu przez Brytyjczyków i trwającemu sto pięćdziesiąt lat okresowi kryminalizacji homoseksualnego współżycia płciowego.

Jednak, jak szybko zaznacza Singh Gohil, bitwa nie została jeszcze wygrana. Przeciwno wspomnianemu werdyktowi złożono serię odwołań. Na czele kampanii przeciwnej zmianom stanęli znani Indusi, między innymi Swami Ramdev, populistyczny przywódca duchowy, który zasłynął z organizowania obozów jogi, programów telewizyjnych i stwierdzenia, że można wyleczyć raka ćwiczeniami oddechowymi. Jeszcze przed wydaniem przez sąd orzeczenia Ramdev oznajmił: „Ten werdykt sądu będzie sprzyjał przestępczości i chorej mentalności. Jest niezgodny z naszym wedyjskim systemem! Zniszczy indyjską rodzinę. Homoseksualizm jest sprzeczny z naturą i można go wyleczyć. Jeżeli rząd ustanowi takie prawo, poddam tę sprawę pod osąd delhijskiej ulicy”. I tak właśnie zrobił. Dodał jeszcze – a mnie kojarzy się to z licznymi na amerykańskim Środkowym Zachodzie chrześcijańskimi obozami „nawracania gejów” – że potrafi wyleczyć homoseksualistów z ich „choroby” w ciągu sześciu miesięcy za pomocą „jogi, pranajamy (ćwiczeń oddechowych) i innych technik medytacyjnych”.

Singh Gohil publicznie przyjął tę propozycję.

– Powiedziałem, że daję mu sześć miesięcy na wyleczenie mojej gejowskiej rodziny. Oznajmiłem: „Spróbuj mnie nawrócić, ale jeżeli ci się nie uda, musisz wycofać swój wniosek do Sądu Najwyższego”. Zaprosiliśmy

Ramdeva do Radźpipli, lecz w ogóle nie zareagował. To były puste przechwałki.

Zastanawiam się, czy Singh Gohil popiera najważniejszą koncepcję „indyjskiego guru seksualnego” – Bhagwana Shri Rajnisha (Osho), z którym się później spotkamy, a mianowicie, że represyjny stosunek dowolnej religii do seksu nieuchronnie powoduje niezdrową obsesję wokół tej sfery życia. Dla ilustracji opowiadam gospodarzowi, Dipakowi i patrzącej na mnie wybałuszonymi oczami Dimple o czymś, co usłyszałam od mieszkającego w Londynie irańskiego artysty, którego władze w Teheranie nazwały „religijnym zboczeńcem”, ponieważ wśród jego facebookowych znajomych były zachodnie kobiety z odsłoniętymi dekoltami. Człowiek ten opisał mi interesujące zajęcie elity szyickich ajatollahów, którzy w irańskiej stolicy całymi dniami roztrząsają seksualne dylematy typu: „Podczas trzęsienia ziemi moja ciotka wpada przez sufit na mojego wzwiedzonego członka. Czy to jest halal (dozwolone), czy haram (zakazane)?”

Singh Gohil uśmiecha się i zastanawia nad poruszoną przeze mnie kwestią, a jednocześnie skinieniem królewskiego nadgarstka sygnalizuje stojącemu w pobliżu kelnerowi, że wychodzimy. Dopijamy poranną kawę z dużą zawartością mleka i po marmurowej posadzce hotelowej recepcji wychodzimy na zewnątrz. Po drodze mijamy ponury salon zagracony ciężkimi wiktoriańskimi meblami, portretami królewskimi i czarnymi posągami w stylu europejskim, a następnie salę bankietową, gdzie nad stołem jadalnianym z dwoma tuzinami miejsc są fotografie wyczynów maharadży Widźajsinhdi na wyścigach konnych i podczas meczów polo. Kiedy stoimy pod ozdobionym rodowym herbem portykiem tego bajkowego pałacu i czekamy na kierowcę, Singh Gohil bierze wdech i odpowiada:

– Wielu duchownych jest z natury hipokrytami. Presja na małżeństwo jest w Indiach tak silna, że jeżeli ktoś nie chce się żenić, ma tylko jedno wyjście: wyrzec się świata. Wielu gejów zostaje więc religijnymi ascetami, żeby ukryć swoje preferencje seksualne... Tak się dzieje nie tylko w Indiach. Wiem o tym, bo wielu duchownych się do mnie przystawiało, zachodni księża katoliccy i arcybiskupi, których nie wymienię z nazwiska. Moim

zdaniem większym problemem jest presja na małżeństwo: osiemdziesiąt procent MSM, mężczyzn, którzy uprawiają seks z mężczyznami, się żeni.

– I to nie tylko na obszarach wiejskich – wtrąca Dimple. – Mam znajomą, którą zeswatano z gejem, kiedy miała dwadzieścia lat. Teraz ma trzydzieści dwa i zrujnowane życie. Mąż ją gwałci z nienawiści do siebie i swojej sytuacji.

– Tak – mówi Singh Gohil – mojej żonie też zmarnowało to życie, czego głęboko żałuję. Ożeniłem się w wieku dwudziestu sześciu lat z dziewczyną z dobrej rodziny w Madhja Pradeś. Myślałem, że po ślubie będzie w porządku, bo nie wiedziałem – nikt mi tego nie powiedział – że jestem gejem i że to jest okej. Małżeństwo nigdy nie zostało skonsumowane i szybko się zorientowałem, jak źle postąpiłem. Rozwiedliśmy się, kiedy powiedziałem żonie, że jestem gejem. Ale moja rodzina dowiedziała się o tym dopiero, kiedy miałem trzydzieści siedem lat i trafiłem do szpitala z powodu załamania nerwowego.

W pewnym sensie miałem jednak szczęście – kontynuuje. – Prawdziwe tragedie zdarzają się wtedy, kiedy mężczyzna się żeni i dyskretnie nadal uprawia seks z mężczyznami. Jeżeli potrafi robić to również ze swoją żoną, nie będzie go podejrzewała, że jest gejem, i stworzy mu doskonałe alibi. Problem pojawia się oczywiście wówczas, kiedy zarazi żonę AIDS, co nie należy do rzadkości. Nawet jeżeli wie, że jest nosicielem, jak ma wytłumaczyć żonie, dlaczego chce używać prezerwatywy? Ona również podlega presji społecznej i musi rodzić dzieci.

Wybieramy się teraz na spotkanie z mężczyznami należącymi do tej piętnastoprocentowej grupy gejów, którzy nie ulegli presji społecznej i nie ożenili się albo, tak jak Singh Gohil, uciekli od nieszczęśliwego małżeństwa.

W 2011 roku Singh Gohil zainaugurował swój najnowszy projekt pod auspicjami Lakshya Trust: dom spokojnej starości dla gejów i osób trzeciej płci, trochę niezręcznie nazwany Janet, na cześć nieżyjącej już amerykańskiej sponsorki, dzięki której realizacja projektu była możliwa.

Przecinając zielony kobierzec pól uprawnych, przybywamy do sennej miejscowości Hanmenteśwar, położonej nad rzeką Narmada, dwie godziny jazdy z Radźpipli.

Janet może pomieścić pięćdziesięciu emerytowanych gejów i hidźrów.

Wchodzimy do pomalowanego na biało pomieszczenia z widokiem na rzekę i widzimy grupę mężczyzn siedzących na krzesłach – niektórzy rozmawiają, niektórzy kaprawymi oczami patrzą na rzekę, niektórzy piją herbatę. Na odgłos otwierania drzwi wszystkie głowy obracają się dociekliwie.

– W Indiach opiekę nad starymi ludźmi przeważnie sprawuje tradycyjna rodzina – wyjaśnia Singh Gohil, kiedy zajmujemy miejsce obok ubranego w biały, luźny strój mężczyzny. – Państwo w bardzo niewielkim stopniu wspiera emerytów, więc dla Indusa zabezpieczenie na starość stanowią dzieci. Rodzina często odrzuca gejów i trzecią płęć, tak było z tym człowiekiem. Od ponad czterdziestu lat nie ma rodziny. Więc jakie są dla niego zabezpieczenia społeczne – gdzie ma pójść, kiedy się zestarzeje i zrobi się niedołączony? Wspólnoty zostały rozbite. Dostrzegłem rozpaczliwą potrzebę stworzenia czegoś takiego.

Dipak prosi wspomnianego mężczyznę, żeby nam opowiedział swoją historię. Starzec wygląda na osiemdziesiąt lat, ale dzięki krótko obcięтым i zafarbowanym henną włosom przypomina młodą Audrey Hepburn.

– Ma na imię Rahul – tłumaczy Dipak na angielski. – Mówi, że pochodzi z bogatej bengalskiej rodziny, ale od czterdziestu lat nie ma z nią żadnego kontaktu.

– Ponieważ odkryli, że jest gejem? – pytam.

– Tak – mówi Dipak. – Przyłapano go w jednym łóżku z młodym służącym i wydziedziczono. Na jakiś czas zaciągnął się do wojska, a potem przeprowadzał się z miasta do miasta. Mówi, że ciągle uciekał. Teraz jest już stary i zmęczony. Nie ma już siły wiecznie uciekać.

Pytam Singha Gohila, jak sądzi, ilu mężczyzn zamieszka w Janet. Gudźarat, konserwatywny stan, to ciekawy wybór na taki projekt.

– W tej chwili zainteresowanie zgłasza również wielu mężczyzn z Zachodu, co mnie zaskakuje – odpowiada Singh Gohil. – Niedługo przyjeżdżają dwaj z Francji. Nie sądzę, żeby lokalizacja miała znaczenie, jeżeli jesteśmy rodziną.

Singh Gohil wypowiada słowo „rodzina” z naciskiem i uśmiecha się.

– Stworzyłem swoją gejowską i trzeciopłciową rodzinę. Ta gejowska

rodzina utrzymuje mnie przy życiu, ponieważ dostaję od niej mnóstwo miłości. Wspierali mnie w trudnych czasach, kiedy miałem problemy psychiczne, i w szczęśliwych czasach też są razem ze mną. To mnie motywuje do cięższej pracy dla tej społeczności i dla pomyślności naszego ludu. Nie mam teraz rodziny. To hidźrowie, homoseksualiści, czy jak to nazwiemy, są teraz moją rodziną.

ROZDZIAŁ 8

KALORYFEREK NA BRZUCHU, AMRITSAR POMPOWANIE MIĘŚNI W PENDŻABIE

Indyjskim policjantom płaci się dzisiaj za zapuszczenie wąsów, ponieważ ich szefowie uważają, że z wąsami budzą większy respekt. Dziesięciu policjantów w tym północnym stanie dostaje trzydzieści rupii miesięcznie za swoje starania. Komenda policji powiedziała wiadomościom BBC: „Wąsy poprawiają osobowości naszych konstabli. Nadają im swoistą aurę. Policjanci robią pozytywne wrażenie na miejscowej ludności i cieszą się wielkim respektem. Odpowiednia pielęgnacja wąsów pochłania wiele czasu. Wąsy muszą zakręcać blisko kącika ust. Mężczyźni z wiejskich obszarów Indii tradycyjnie noszą okazałe wąsy dla podkreślenia swojej męskości”.

BBC News

Jest piąta rano, kiedy wsiamam do pociągu ekspresowego zmierzającego na północ, zapchanego bogatymi sikhami pielgrzymującymi do najświętszego miejsca ich religii – Złotej Świątyni w Amritsarze.

Moja podróż do tego pendżabskiego miasta oddalonego o godzinę jazdy od Lahaur, drugiego co do wielkości miasta Pakistanu (rozstawionego również przez najkrwawsze wydarzenia związane z podziałem Indii), wypada w czasie obchodów urodzin Guru Nanaka, założyciela sikhizmu, najmłodszej z głównych religii subkontynentu. Uświadamiam sobie, że to tłumaczy nieprawdopodobny ścisk w każdym wagonie. Świąteczne tłumy są jednak częstym widokiem w tym kraju, w którym codziennie jest jakieś święto, więc niezrażona rozpoczynam przyjemną sześciogodzinną podróż łokieć w łokieć z rodziną sikhijskich weekendowych pielgrzymów.

Rodzinie tej, trójce nastolatków i rodzicom w średnim wieku, towarzyszył bratanek, informatyk mieszkający w San Francisco. Okrągły i okablowany

przeróżnymi gadżetami, przez lata spędzone na Zachodnim Wybrzeżu zaraził się od Amerykanów ich obsesją na punkcie higieny i kiedy ćajwała roznosił termosy z kawą i herbatniki w opakowaniach z logo indyjskich kolei, wygłosił komentarz na temat „poprawy warunków sanitarnych”.

Postanowiłam dodać Amritsar do mojej marszruty, ponieważ bardzo wiele słyszałam o tamtejszych mężczyznach. Po spotkaniu ze światem gejów i hidźrów chciałam rzucić okiem na rzekomy kwiat indyjskiej męskości, czyli Pendźabczyka. Akszaja, moja znajoma z Delhi, nie była pierwszą osobą, która wysławiała zalety tego stworzenia: wiedziałam, że wiktoriańscy Brytyjczycy poczuli się do pokrewieństwa z sikhijskimi i muzułmańskimi „rasami wojowników” z północy kraju, darząc pogardą „mięczakowatych” hindusów oraz „zniewieściałych i zdegenerowanych” Bengalczyków. Pewien znajomy fotograf zawęził mi pole obserwacji.

– Nie chodzi o wszystkich Pendźabczyków, tylko o sikhów – powiedział, częstując mnie koniakiem i marlboro light i nie robiąc tajemnicy z tego, że jako sikh z Pendźabu sprawdza własną atrakcyjność, gapiąc się na moje nogi. – Chodzi o nasze szerokie torsy i krew wojowników, która płynie w naszych żyłach. Chodzi też o nasze miecze i turbany. Jest naukowo udowodnione, że skandynawskie kobiety podnieca widok sikhijskich turbanów. Zresztą dotyczy to większości białych kobiet. Weźmy Punjaba, rosnącego sikhijskiego sardara^[17], który ratuje Annie w *Annie*. Mężczyzna marzeń! – dodał.

Na żyznych glebach Pendźabu wyrastają najwyżsi żołnierze na Półwyspie Indyjskim, najsilniejsi zawodnicy kabaddi^[18] i słynni kierowcy ciężarówek, którzy starą Grand Trunk Road ciągną z Peszawaru do Delhi tirami z napisem „Dżat^[19] na łowach” (takie żartobliwe przechwałki powodują, że mieszkańcy Delhi często i chyba niezasłużenie obwiniają Dżatów za konserwatywne postawy mężczyzn, które rzekomo narzuca stolicy wiejska północ).

Ale Pendźab jest również kolebką indyjskiej kulturystyki, jednego z najbardziej widocznych przejawów tamtejszego machismo. W Amritsarze plakaty z muskularnymi mężczyznami przewyższają liczebnie plakaty z gwiazdami filmowymi, a miasto reklamuje się jako indyjski lider pod

względem liczby siłowni na mieszkańca (przybytki te mają takie nazwy, jak Big Guns!, Wow! czy King's).

Nie ma ze mną Dimple i w roli przewodnika zatrudniłam Gobinda. Pięć lat temu był młodym kulturystą, któremu wieszczono sławę, ale musiał zaprzestać ćwiczeń po epizodzie „sterydowej furii”, czyli niespodziewanym wybuchu agresji wywołanym przez hormonalny doping. Dwudziestoosmioletni Gobind nadal ma jednak kontakty w środowisku kulturystyki i czarno-żółtą taksówką jedziemy teraz na spotkanie w sklepie sprzedającym spod lady suplementy i sterydy, należącym do jednego z jego znajomych.

Radżeś, właściciel sklepu o nazwie Pumped, przedstawia mi swoją codzienną dietę:

– O siódmej glutamina, pięć gramów rozpuszczonych w wodzie; o ósmej wyciąg z serwatki, trzy kromki pełnoziarnistego chleba, jedna czarna kawa bez cukru, potem odżywka białkowa rozpuszczona w mleku. O jedenastej jem śniadanie: gotowane ziemniaki z odrobiną sera. O dwunastej półtorej chochli szejka białkowego; o drugiej pięć jajek plus pięć kromek chleba pełnoziarnistego i dwa banany. Potem, przed ćwiczeniami, dwie saszetki proszku energetyzującego rozpuszczone w wodzie, a po ćwiczeniach pięć słodkich ziemniaków i kilogram gotowanego kurczaka...

Rozglądam się po jego niewielkim sklepie pełnym importowanych odżywek w czarnych dziesięciokilogramowych workach. Przypomina to krajobraz Manhattanu w filmie noir, chociaż statyści kojarzą się raczej z Miami Beach: czterej rośli mężczyźni w kamizelkach z mięśni i minipodkoszulkach, rozmieszczeni na tej niewielkiej przestrzeni niby porzucone nadmuchiwane zabawki podczas przypływu. Zastanawiam się, jak będzie pachniało w tym przybytku później, kiedy słońce znacznie świecić na pełnym gazie, bo już teraz czuje się tu niezbyt przyjemny odór.

– Czy to wszystko jest drogie? – pytam.

– Tak, jeżeli ktoś chce to robić porządnie, musi wydać całe worki rupii – mówi Radżeś. – A rząd nie oferuje żadnego wsparcia finansowego. W Wielkiej Brytanii i Stanach dają kulturystom pieniądze. Szczególnie

drogie są zastrzyki: osiemdziesiąt do dziewięćdziesięciu tysięcy rupii za dwa mililitry, które trzeba sobie wstrzyknąć dwa razy w tygodniu.

Podobnie jak w większości innych krajów stosowanie sterydów jest w Indiach zakazane. Jednak te nieodłączne od stereotypowego obrazu kulturystyki hormony są łatwo dostępne, aczkolwiek po cenie proporcjonalnej do przyrostu masy mięśniowej, który zapewniają. Radześ rzuca kontrolne spojrzenie przez okno, po czym wyjmuje pełne fiolek pudełko rozmiarów walizki podróźnej.

Gobind wyjaśnia mi, co to za specyfiki. Estry testosteronu stosowane w dwojakim celu: przybieranie na wadze albo jej zrzucanie, kiedy przygotowujesz się do konkursu i chcesz zachować mięśnie, a jednocześnie pozbyć się tłuszczu. Jest też Winistrol, król sterydów, który oprócz masy mięśniowej obiecuje wytrzymałość i „dobre pompowanie”, czyli dopływ tlenu do mięśni, ale powoduje wysypkę i sztywnienie stawów. Z kolei Dianabol, ulubiony środek kulturystów amerykańskich, pozwala wyciskać większe ciężary, lecz przy okazji wywołuje puchnięcie ciała. I wreszcie najbardziej osławiony anaboli, Deca Durabolin, stosowany dożylnie steryd spopularyzowany w latach siedemdziesiątych. Ten specyfik działa przede wszystkim na masę, w ciągu kilku miesięcy przybywa ci dwadzieścia kilo mięśni i wyglądasz jak Schwarzenegger, ale jest jeden przykry skutek uboczny zwany deca dick.

– Ogólnie mówiąc, flaczeje – mówi Gobind. – Dlatego trzeba dodatkowo brać testosteron.

Radześ ma coraz bardziej smętną minę, więc pytam go i towarzyszącego mu sąsiada Wiśa, niewysokiego, ale mocno rozbudowanego w każdej partii ciała, co skłoniło ich do wzięcia pierwszy raz hantli do ręki.

– Salman Khan – odpowiadają jednogłośnie.

Khan to samozwańczy „niegrzeczny chłopiec” kina w języku hindi. Ten weteran, który wystąpił w osiemdziesięciu bollywoodzkich filmach, po raz pierwszy zerwał z siebie koszulę w wielkim przeboju z 1989 roku zatytułowanym *Maine Pjar Kija* (Zakochałem się), opowieści o miłości ponad podziałami klasowymi, w której syn milionera Prem (Khan) zakochuje się w Suman, córce biednego mechanika samochodowego.

W swojej popisowej sekwencji Khan, z plerezą na głowie i Suman skamlącą u jego stóp, zdejmując koszulę i odsłania egzotyczny krajobraz połyskujących mięśni nad podwyższonymi w talii śnieżnobiałymi dżinsami. *Maine Pjar Kija* był przełomem w indyjskiej kinematografii, zapoczątkował kulturystyczną modę i plagę zarozumiałości.

Zrzucanie koszuli weszło do żelaznego repertuaru Khana, więc reżyserzy wymyślali coraz bardziej naciągane sztuczki fabularne, żeby go uwolnić od odzieży wierzchniej. W *Wanted* (2009) Bogu ducha winna koszula pada ofiarą płomieni, w *Dabangg* (Nieustraszony) z 2010 roku w rolę odzieżowego złodzieja wciela się wiatr, a w późniejszym o rok *Bodyguard* ten newralgiczny element garderoby porywa woda, przy okazji powabnie zraszając Khana.

W dwudziestokilkuletnim okresie, który upłynął od premiery *Maine Pjar Kija*, śladami Khana poszło wielu indyjskich aktorów, między innymi Shah Rukh Khan (SRK), który napakował się przed wielkim hitem kasowym z 2007 roku *Om Shanti Om*, i mnóstwo innych mięśniaków, którzy zawdzięczają swoją sławę wyłącznie pięknie wyrzeźbionym torsom, na przykład Prateik Babbar i Gautam Rode. Owocem tej mody jest również rozerotyzowany bollywoodzki blog [ShirtlessBollywoodMen](#).

– Najlepszy jest ten, gdzie Salman w roli gwiazdy rocka na scenie zdiera z siebie koszulę, grając na gitarze – rozmarza się Radześ.

Dziesięć minut później jedziemy do siłowni na przedmieściu prowadzonej przez znajomego Radześa, Onkara, miejscowego biznesmena, który podobnie jak wielu jego kolegów z Pendżabu żongluje wieloma przedsięwzięciami naraz – od siłowni i hoteli po konkursy piękności.

Na siedzeniu taksówki pomiędzy dwoma kulturystami nagle poczułam się jak wtedy, kiedy jako siedmiolatka utkwiłam w hiszpańskiej windzie z mężczyzną, który podtrzymywał wielki dmuchany materac. Oddycham z ulgą, kiedy po trzech kwadransach jazdy docieramy na miejsce. W warstwie wizualnej dzielnica wygląda na senną enklawę: psy wylegują się na rozgrzanym chodniku, od czasu do czasu strącając ogonem kleszcze; gospodynie domowe dźwigają siatki z ćaną, mąką z ciecierzycy; grupy młodych mężczyzn stoją na rogach ulic, dłubią w zębach nożami

kieszonkowymi, spluwają pod nogi i zbijają bąki.

W warstwie dźwiękowej panuje tu jednak straszny zgiełk. Ulica aż się trzęsie od dudniącego basu i brawurowych deklamacji gangsta rap. Winowajcą jest cel naszej podróży: siłownia Onkara, niski, przeszklony budynek, w którym około dwudziestu męskich ciał z twarzami czerwonymi z wysiłku wyciska sztangi albo ćwiczy hantlami, podziwiając się w lustrach okalających salę. Na obwodzie tego osobliwego szklanego pudła stoi garstka niepokąźnych nastolatków, którzy snują się po kątach ukryci za maskami trądziku. Jestem jedyną kobietą w tej testosteronowej spelunie i czuję się zakłopotana, kiedy Gobind oprowadza mnie po największych atrakcjach tego przybytku. Cieszę się, że włożyłam skromny śalwar kamiz w kolorze musztardowym.

Kiedy mijamy najbardziej napakowanych samców, Gobind podchodzi do nich, żeby ścisnąć im bicepsy, albo każe mi popatrzeć, jak robią bombki.

– Pompki?

– Tak, poomki!

Przechodzimy do biura, żeby zjeść banany i napić się kleistych szejków proteinowych z człowiekiem, do którego Gobind zwraca się per Onks.

– Jak kobiety reagują na twój wygląd? – pytam Onkara. – To je kręci?

– Oczywiście – wtrąca szybko Gobind. – Pendżabki uwielbiają umięśnionych mężczyzn.

Potem zaczyna tłumaczyć słowa Onkara, który szybko mówi po pendżabsku, dysząc z wysiłku, jakby wyciskał dwadzieścia kilogramów.

– Mówi, że podobają się kobietom. Przy dużych mężczyznach kobiety czują się, no wiesz, kobietami. Pendżabki są prawdziwymi kobietami i chcą, żeby Pendżabczycy byli prawdziwymi mężczyznami.

Dopijamy szejki proteinowe i wszyscy mają trochę zakłopotane miny. Gobind i ja już prawie wychodzimy, zostawiając adeptów kulturystyki z ich bombkami, kiedy zauważam na ścianie coś migoczącego. Jest to malutka kapliczka z rodzaju tych, które można spotkać w indyjskich domach, z darami w postaci kwiatów jaśminu, słodyczy, świeczek i kadzidełek ułożonych wokół grubo ciosanej figurki jakiegoś bóstwa z czarną twarzą.

– Kto to jest? – pytam.

– Hanuman, małpi bóg – mówi Gobind. – Jest bogiem kulturystów i zapaśników.

– Kulturyści mają swojego boga? – dziwię się.

– Tak. Hanuman jest symbolem siły i energii. Potrafi poruszyć góry czy schwycić chmurę, a pod względem prędkości lotu dorównuje wierzchowcowi Wisznu, ptakowi Garudzie. Dzięki kulturystyce kult Hanumana jest w coraz większej modzie. W stanie Bihar obchodzą święto urodzin Hanumana, podczas którego zapaśnicy i kulturyści walczą w różnych konkurencjach. W tym roku Radźeś się tam wybiera. Przez cały dzień poszczą i noszą na czołach znaki namalowane cynobrem zebrany z ubarwionych nim posągów Hanumana, na szczęście. Potem balansują wielkimi kamieniami na klatach i ciągną zębami samochody, na przykład dżipy.

Nie umiem powstrzymać się od uśmiechu, kiedy to słyszę, ale nikogo innego ta informacja nie bawi. Nie umiem się również powstrzymać od zapytania się, dlaczego w kraju od dawna słynącym ze swoich męskich mężczyzn tak wielu z nich odczuwa potrzebę dodania sobie męskości przez przyrost masy mięśniowej.

CZEŚĆ TRZECIA

WSCHÓD
NA WSCHODZIE JEST INACZEJ

ROZDZIAŁ 9 PIĘCIU MĘŻÓW BABCI, MEGHALAJA INNE INDIE, W KTÓRYCH RZĄDZĄ KOBIETY

*O względy niewiast należy się starać zgodnie z obyczajami ich krajów.
Szlachetnie urodzone mieszkanki Madhjadeśi mają czyste
obyczaje i są wrogie śladom pocałunków, paznokci i zębów.
Podobnie się zachowują mieszkanki Bahliku (Pendżabu) i Awanti
(Madhjapradeś), choć znajdują upodobanie w niezwykłych
sposobach zespolenia. Kobiety z Malwy i z Abhiry (południowy Gudżerat)
lubią przede wszystkim objęcia, pocałunki, bolesne pieszczoty paznokci
i zębów oraz ssanie. Nie zezwalają natomiast na zadawanie ran.
Można je pozyskać również za pomocą pieszczotliwych uderzeń.
Kobiety z dorzecza Indusu, mieszkające wśród jego
sześciu rzek, przyzwyczajone są do zespolenia ustnego.
Mieszkanki Aparantiki i Laty odznaczają się gwałtowną
namiętnością, choć w czasie zespolenia nie wydają okrzyków.
Mieszkanki Striradzji (Beludżystan lub Bhutan) i Kośali (Berar)
lubią mocne pieszczotliwe uderzenia, mają gorący temperament
i lubią stosowanie środków zastępczych.*

Stan Meghalaja bardzo różni się od Indii, z których przyjechałyśmy. Ta lesista kresowa kraina, która od południa graniczy z Bangladeszem, a od północy i wschodu z Bhutanem i Birmą^[20], jest ściślej związana z tymi dwoma ostatnimi krajami niż z Indiami, z którymi łączy ją ciasny przesmyk lądu między Nepalem i Bangladeszem. Podchodząc do lądowania, oglądałyśmy z góry rozpościerający się kobierzec zieleni i ośnieżonych szczytów.

Pod względem topograficznym i klimatycznym Meghalaja w niczym nie przypomina parnych i ludnych indyjskich nizin. Po pierwsze, padają tutaj ulewne deszcze. Nazwa stanu w sanskrycie oznacza „dom chmur”, a Ćerapuńdzi, niewielkie miasto w pobliżu południowej granicy z Bangladeszem, jest najbardziej mokrym miejscem na świecie: średnie opady wynoszą tam 12 000 milimetrów rocznie, a w epoce Indii Brytyjskich zanotowano tam światowy rekord rocznych opadów: od 1 sierpnia 1860 do 31 lipca 1861 roku 26 461 milimetrów.

Podobne do alpejskich domy są zabezpieczone przed bezlitosnym żywiołem spadzistymi dachami z blachy falistej. Od czerwca do września każdego roku bębnią o nie monsunowe deszcze, które zbiegają się tutaj od południowego zachodu i północnego wschodu. Mężczyźni z Meghalai osłaniają się przed deszczem – podobnie jak czynią to ze swoimi domami: naciągają na uszy importowane z Chin czapki z pomponikami.

Miejscowe kobiety poczynają sobie mniej strachliwie: marynują albo suszą żywność, żeby przebrnąć przez porę monsunową, zabezpieczają domy przed deszczem i nie oszczędzają na estetyce.

Meghalaję zamieszkują trzy matrylinearne grupy etniczne: Caro (indobirmańska), Dżaintia (prawdopodobnie pochodząca z terenów dzisiejszego Bangladeszu) i Khasi (najliczniejsza, spokrewniona z kambodżańskimi Mon Khmer). W każdej z tych grup nazwisko dziedziczy się po matce, a większość rodzinnego majątku, w tym siedzibę rodową, obejmuje w spadku najmłodsza córka, w języku khasi – khaduh. Kiedy wychodzi za mąż, wybranek zamieszkuje w jej rodowym domu, ing, lecz nie staje się jego współwłaścicielem i w ogóle nie ma zbyt wiele

do powiedzenia w sprawach rodzinnych. Po śmierci khaduh oczekuje się od niego powrotu do ing swojego rodu.

Khasi są najważniejszą z grup etnicznych zamieszkujących Meghalaję. To oni dominują w stolicy stanu, Śilangu, mieście, w którym się teraz zatrzymujemy na następne pięć dni. Ich kobiety noszą dżainsi i dhare, owijane wokół talii spódnice i fartuszki z jednym ramiączkiem, które nadają im dostojny, kolumnowy wygląd. Dla większości zagranicznych gości ich widok zaskakująco kontrastuje z górzystym, ukwieconym otoczeniem – jakby dział mody czasopisma „Vogue” w pełnym składzie stawił się w jakimś małym miasteczku szkockim.

Praktyka matrylinearnego dziedziczenia w grupie Khasi nabrała ostatnio wymiaru politycznego, na skutek działań Syngkhong Rympei Thymmai (SRT, w luźnym tłumaczeniu „przebudowa domowego ogniska”). Ruch ten, walcząc o utraconą chwałę mężczyzny Khasi, u-rangbah, coraz głośniej upomina się o prawa mężczyzn drogą reformy praw dziedziczenia i obyczajów społecznych.

Keith Pariat, przewodniczący Syngkhong Rympei Thymmai, zupełnie nie wygląda na działacza. Ten mężczyzna pod pięćdziesiątkę ma łagodne oblicze i ekspresyjne zmarszczki wokół oczu, a pod starannie wyprasowaną koszulą wyraźnie widać zarys podkoszulka.

Umówiliśmy się z nim i innymi czołowymi działaczami SRT w Earle Holiday Home, kompleksie hotelowym na obrzeżach centrum Śilangu z restauracją o wystroju marynistycznym i recepcją pomalowaną na kolor kanarkowy. Siedzimy w recepcji, na fotelach ze skrzypiącego skaju otoczonych plastikowymi palmami.

Pariat ożenił się z khaduh. Jego żona zarządza teraz głównym rodzinnym interesem, siecią sklepów spożywczo-przemysłowych, on zaś kieruje niewielką firmą transportową.

– Po ślubie opuściłem dom ojca i matki i przeprowadziłem się do żony – mówi nam. – Kiedy robi to kobieta, tak jak to się dzieje w całych Indiach, potrafi się dostosować: kobiety są subtelne i ciche... Ale mężczyźni tego nie umieją. Ja nie umiałem. Jako mężowie khaduh czujemy się odsunięci

na bok, tak jakby naszą jedyną rolą było płodzenie dzieci. Na przykład – ciągnie, nie dając nam szansy na wtrącenie się – do rodzinnego interesu jestem dopuszczany tylko w Boże Narodzenie: żona pozwala mi wtedy udekorować witryny sklepu, ponieważ mam zmysł artystyczny.

Widzę, że Dimple z trudem powstrzymuje uśmiech, bo Pariat nieświadomie powieliła rozbrzmiewające w całym patriarchalnym świecie skargi niedocenianej gospodyni domowej. Dimple siedzi po drugiej stronie recepcji, pod wstawionym w ramki trójwymiarowym obrazkiem plastikowych kwiatów i obok Riwertisa Patrionga, starego kawalera z gupy Khasi.

Riwertis jest trzydziestodwuletnim urzędnikiem-sejsmologiem, który liczy na to, że agitacja SRT zmieni społeczeństwo Khasi w dostatecznym stopniu, żeby mógł znaleźć sobie żonę.

– Chociaż jestem wykształcony i mam świetną pracę, żadna z miejscowych dziewczyn nawet na mnie nie spojrzy – narzeka. – Wszystkie chcą wychodzić za mężczyzn z zewnątrz: białych albo z (patriarchalnych) Indii, pewnych siebie biznesmenów z Maharasztry, którzy tutaj przyjeżdżają i przejmują majątek Khasi.

– On jest ofiarą, on jest ofiarą! – przerywa mu zapalczywie Pariat. – Dziewczyny Khasi nas nie szanują. Chcą wychodzić za mężczyzn z zewnątrz. W zeszłym roku komisja kobiet z Meghalai przeprowadziła badania wśród dziewczyn na wydaniu z grupy Khasi. Sto procent odpowiedziało, że wolałoby wyjść za mężczyznę z zewnątrz niż za Khasi, sto procent!

– Dlaczego? – pyta Dimple z niedowierzającą miną.

– Bo im się wydaje, że mężczyźni Khasi są do niczego – wyjaśnia Pariat. – I mają trochę racji. Wielu naszych młodych mężczyzn, którzy się żenią, pozwala żonom brać na siebie całą odpowiedzialność, a sami cieszą się życiem. Robią dziecko innej dziewczynie Khasi albo zaczynają pić. W naszym stanie jest teraz więcej pieniędzy, więc mogą się nawalić importowaną whisky. I to jest nasza wina. – Pochyla się do przodu, kładzie łokcie na kolanach i recytuje: – To jest wina naszego słabego, matrylinearnego społeczeństwa. Syngkhong Rympei Thymmai uważa, że mężczyźni muszą rządzić. Jesteśmy bardziej stabilni emocjonalnie. Nie

jesteśmy historyczni jak kobiety. Mówimy, że jeżeli mężczyźni nie staną się pierwszą płcią, wymrzemy!

Następnego dnia słońce wstaje nad górskimi widokami jak z opakowania musli, a Dimple i ja jemy śniadanie złożone z małych, bardzo słodkich pomarańczy z Ćerapuńdzi. Dimple nie mogła się doczekać tego smakołyku, jednego z głównych towarów eksportowanych przez Meghalaję do południowych Indii, obok bhut dżalokii, przetworu z papryczki chili reklamowanego jako „najmocniejsze pikle na świecie”.

Siedzimy na krzesłach z kutego żelaza w altanie dla gości, wzorowanej na wiejskim ogrodzie angielskim: ceglane alejki, pnące róże, mięsiste naparstnice i lwie paszcze w pełnym rozkwicie.

– Teoria Pariata o hysterii coś mi przypominała – mówi Dimple, biorąc do ręki czerwony, kwaśny owoc w kształcie pocisku – specjalność Meghalai, która podobnie jak ja-snam (ryż gotowany w świńskiej krwi) nie znajduje zbyt wielu amatorów poza granicami stanu. Odgryza kawałek i robi skrzywioną minę. – W czasach Indii Brytyjskich do Meghalai wysyłano angielskie damy. Przyjeżdżały do sanatoriów prowadzonych przez misje. Idea była taka, żeby świeże powietrze i duża wysokość wyleczyły te kobiety z hysterii, która je dopadała w indyjskim upale.

Dimple ma swoją teorię na temat hysterii i przedstawia ją teraz z częstką pomarańczy w ustach:

– Widzieliśmy histerię wiktoriańskich Brytyjek, teraz widzimy ją znowu u Indusek. Histeria to reakcja kobiety, którą zamyka się w klatce, prawda? Indyjskie kobiety są największymi hipochondryczkami na świecie: nagle nie możemy oddychać, a minutę później umieramy na jakąś dramatyczną chorobę. Jak te brytyjskie damy omdlewające na kanapach. Uświadamiam sobie, że sama kiedyś taka byłam. Tylko w ten sposób mogłam zaprotestować przeciwko swojemu losowi, mężowi tradycjonalistcie i kontrolującej teściowej. Robiłam się chora i szłam do łóżka.

Tego dnia jesteśmy umówione z dwiema rzutkami trzydziestokilkuletnimi biznesmenkami z grupy Khasi, chcemy zapytać, co myślą o kryzysie matriarchatu w ich stanie. Lisa i Mary są bliskimi przyjaciółkami, połączyło

je zgryźliwe poczucie humoru i pogodzenie się z tym, że jako nowoczesne kobiety Khasi, które zaczęły gardzić mężczyznami ze swojej grupy, są skazane na staropanieństwo.

Spotykamy się w domu matki Mary. Jest to przestronny, ogrodzony bungalow na przedmieściu Śilangu, z kwiecistymi zasłonami i wypolerowanymi bibelotami. Mary i Lisa, które piją whisky i odpalają jednego camela light od drugiego, nie pasują do tego mieszczańskiego wystroju. Zniżają głos za każdym razem, kiedy do pokoju nerwowo wchodzi służąca, która przygotowuje kolację złożoną z ryby w paście sezamowej, ryżu gotowanego we krwi i wędzonej suszonej wołowiny. Kolacja spóźnia się już o dwie godziny, a whisky szybko uderza mi do głowy. Pewnie przez to górskie powietrze.

– Keith i jego zwolennicy snują katastroficzne wizje – mówi Lisa. – A mężczyźni Khasi wcale nie mają tak źle. W grupie Caro tradycyjnie porywa się mężczyznę, którego jakaś kobieta upatrzy sobie na męża, a u Dżaintiów mężowie służą wyłącznie do prokreacji. Moja babcia miała pięciu mężów. Tylko kobiety naprawdę wiedzą, kto jest ojcem ich dziecka, i moim zdaniem tak właśnie powinno być.

Za moimi plecami, na regale z drewna sosnowego o koronkowej fakturze, zauważam stertę DVD. Z zaskoczeniem dostrzegam między nimi *Zmierzch*, serial miłosny o wampirach, i musical o grupie ABBA, *Mamma Mia!*. Pytam o te filmy.

– Colin Firth – mówi Mary. – Takich mężczyzn lubię.

– Tak! – popiera ją entuzjastycznie Lisa. – Powalający!

Pytam, czy umówiłyby się na randkę z białym mężczyzną. Słyszę, jak burczy mi w brzuchu, i zerkam w stronę otwartych drzwi kuchni, skąd dolatuje do nas wściekły brzęk garnków.

– Tak – mówi Mary, reagując na te hałasy krytycznym zmarszczeniem brwi. – To jest ambicja większości dziewczyn Khasi. Mój dziadek był biały – Brytyjczyk. Mamy więc tutaj taką tradycję. Wbrew temu, co mówi Pariat i jego pomyleńcy, większość dziewczyn Khasi nie wyszłaby za Indusa. Wiedzą, co to znaczy.

Zaciska pięści i krzyżuje nadgarstki, co ma symbolizować kajdanki.

– Czyli przestałaś myśleć o romansie z mężczyzną Khasi?

Mary kiwa ponuro głową i zapala kolejnego camela.

– A ty uważasz, że nasi mężczyźni są seksowni? Bez pracy i pomysłu na życie?

Jej narzekania przypominają mi o wydanej w 2012 roku książce amerykańskiej autorki Henny Rosin *The End of Men*, ilustrującej zmiany układu sił między mężczyznami i kobietami z amerykańskiej klasy robotniczej. W tym trochę apokaliptycznym obrazie Ameryki kobiety są „plastikowymi” pracownicami dostosowującymi się do realiów gospodarki informacyjnej i samotnie wychowującymi dzieci, natomiast mężczyźni są „tekturowi”, ponieważ nie mogą sobie znaleźć miejsca po upadku branż przemysłowych, które zapewniały im dochody i poczucie tożsamości.

W niektórych kręgach książka ta była odbierana jako triumf kobiet, jutrzienka Ery Wodnika i obietnica pierwszych owoców feminizmu. Ja jednak widzę w tych wszystkich zezłomowanych mężczyznach i przeciążonych kobietach ich dramat – utratę poczucia własnej wartości i tożsamości, która w zachodniej klasie robotniczej wykopuje nieprzebytą przepaść między płciami, podobnie jak wśród Khasi.

Z drugiej strony niektóre próby przywrócenia zachodnim mężczyznom poczucia własnej wartości tak samo jak kampanie Khasi pachną dążeniem do przywrócenia patriarchy tylnymi drzwiami. Pytam Lisę i Mary, czy słyszały o amerykańskim ruchu kapitulacji. Wylansowane w USA na początku obecnego stulecia kapitulantki należą do drugiej fali reakcji przeciwko feminizmowi. Autorki takich książek, jak *Surrendered Single* i przełomowa *Żona uległa „byłej jędzy”* Laury Doyle, przekonują, że kobiety są szczęśliwsze, okazując posłuszeństwo mężom, że powinny zawsze zgadzać się na seks, kiedy ich mężowie sobie tego życzą, oraz wybaczając małżonkom wszelkie skoki w bok.

– Niezbyt przyjemna myśl – mówię do Lisy i Mary – ale czy nie jest tak, że męska dominacja to nieodłączny składnik architektury stosunków męsko-damskich, a przynajmniej udanego seksu? Czy władza, a raczej, jak uważali starożytni Grecy, nierówny rozkład sił, nie jest fundamentem pociągu seksualnego?

– *Wah!* Absolutnie nie – odpowiada z przekonaniem Lisa, jednym okiem zerkając na Colina Firtha. – Nie umiem sobie wyobrazić, dlaczego myśląca, szanująca się kobieta miałaby tak żyć, i to kobieta z Zachodu, która nie docenia tego, jak bardzo jej się poszczęściło! Może po prostu chciałyby mieć w domu spokój, ale ja nigdy bym się nie zgodziła na takie smutne życie.

Mary, Lisa, Dimple i ja siadamy do nakrytego kwiecistym obrusem stołu, żeby zjeść długo wyczekiwany posiłek. Już dawno nie widziałam Dimple takiej radosnej, najwyraźniej uwolniła się od niepokoju, który otula ją w Delhi jak wilgotna zasłona.

Rozglądam się wokół i zadaję sobie pytanie, której z nas czterech najbardziej się poszczęściło: Dimple, próbującej żyć nowocześnie w uparciu patriarchalnych Indiach, z wianuszkami służącymi, którzy jej takie życie ułatwiają? Mary i Lisie, samowystarczalnym i silnym, ale pozbawionym męskiego towarzystwa? Czy też mnie, mieszkance Zachodu, żonglującej wyborami dostępnymi w świecie po rewolucji lat sześćdziesiątych i świadomej, że moje pokolenie czuje się oszukane niezrealizowanymi obietnicami – zarówno miłosnymi, jak i ekonomicznymi – drugiej fali feminizmu?

Odpowiedź wcale nie jest łatwa.

ROZDZIAŁ 10

SEKS, ŚMIERĆ I DUCHOWE PODNIĘTY, WARANASI SPOTKANIE Z AGHORI – SEKS, ŚMIERĆ I TO, CO ZAKAZANE, JAKO DROGA DO WYZWOLENIA

*We gave her everything we owned just to sit at her table
Just a smile would lighten everything
Sexy Sadie she's the latest and the greatest of them all
She made a fool of everyone Sexy Sadie*

Tekst *Sexy Sadie* (znany także jako *Maharishi Mahesh Yogi*),
napisany przez Johna Lennona w 1968 roku w Indiach,
przypisywany spółce autorskiej Lennon-McCartney

W Londynie, przed wyjazdem na moją indyjską seksplorację, obaliłam butelkę dobrego czerwonego wina z sześćdziesięcioletnim Nickiem Blackiem. Dzisiaj żeglarz i reżyser kina niezależnego, mówiący z akcentem, który lokuje się gdzieś pomiędzy angielskim i amerykańskim, jako młody człowiek żył zgodnie z psychodelicznym marzeniem pokolenia powojennego wyżu demograficznego.

Wspominał swoje dwudzieste drugie urodziny.

– Spędziłem je na dziedzińcu kolekcjonera sztuki tantrycznej w Bangalurze, pałac haszysz z czterdziestoma nagimi i ubłoconymi sannjasinami^[21]. Byli tam Ariona DeWinter, Petra i Ira z Living Theatre: łańcuchy, skóra, te sprawy. Kompletnie popieprzone. Myślę, że tworzyliśmy sektę.

Był początek lat siedemdziesiątych i Black wpisywał się w ówczesne nastroje: poszukiwania jednocześnie orientalne i okultystyczne, od nauk wiktoriańskiego okultysty Aleistera Crowleya, czyli GreatBeast666, przez himalajski aśram „doradcy Beatlesów” Mahariśiego, po plażę Goa, które

szybko stawały się kontrkulturowym przyczółkiem samozwańcych Goa Freaks, i aśram oświecenia w Pune, prowadzone przez prowokacyjnego guru Bhagwana Shree Rajneesha vel Osho.

W połowie lat siedemdziesiątych Osho świadczył usługi w wielkim aśramie na wschód od Mumbaju, sfinansowanym przez grecką dziedziczkę armatorskiej fortuny Catherine Venizelos (albo Ma Joga Mukta, czyli Matka Jogi i Wyzwolenia, jak ją później nazwano). Aśram odwiedzało trzydzieści tysięcy osób rocznie, w tym piętnaście tysięcy odzianych w pomarańczowe szaty sannjasinów (wyrzekających się doczesnych dążeń), głównie Europejczyków i Amerykanów. „W karnawałowej atmosferze domu wariatów”, jak to ktoś nazwał, uczniowie Osho przechodzili eksperymentalną terapię obejmującą fizyczną agresję i nieskrępowane relacje seksualne między uczestnikami.

Ośrodek Osho szybko zaczął jednak budzić kontrowersje. W 1974 roku Dick Price, weteran pokolenia beatników, poinformował, że opuścił aśram ze złamaną ręką po tym, jak spędził osiem godzin w zamkniętym pomieszczeniu z innymi uczestnikami uzbrojonymi w drewniane miecze. Stwierdzono również, że sannjasini z Zachodu finansowali swoje długie pobyty w Indiach prostytutką i handlem narkotykami, a Osho udzielał ponoć błogosławieństwa temu procederowi.

W maju 1980 roku, po zamachu młodego hinduskiego fundamentalisty na życie Osho, „seksualny guru” przeniósł aśram z Pune do Oregonu, gdzie spotkał się z wrogim przyjęciem i zaczął głosić coraz bardziej odjechane teorie końca świata. Prognozował, że dwie trzecie mieszkańców naszej planety umrze na AIDS i że jedynym ratunkiem jest stworzenie arki Noego ze świadomości Rajneesha. Mimo że wcześniej reklamował permissywizm seksualny jako drogę do nadświadomości i miał wielu homoseksualnych zwolenników, w Oregonie stał się zajadłym homofonem. Oznajmił między innymi, że do epidemii AIDS doprowadziło „gejowskie zboczenie”: „Jako homoseksualista nie jesteś nawet człowiekiem... utraciłeś ludzką godność”

W 1985 roku deportowano go z USA, kiedy przyznał, że kierownictwo komuny rok wcześniej zatrzymało siedmiuset pięćdziesięciu jeden mieszkańców The Dalles w Oregonie salmonellą, żeby uniemożliwić im udział

w wyborach, a tym samym doprowadzić do zwycięstwa kandydatów komuny do władz hrabstwa Wasco. Kiedy Osho zmarł w 1990 roku w Pune, żegnano go z mieszanymi uczuciami.

Nauki Osho, które mówią o znaczeniu miłości, radości, kreatywności i humoru, znajdują jednak oddźwięk u wielu młodych Indusów, podobnie jak jego pogląd, że tłumienie seksualizmu jest niebezpieczne, a winę za to ponoszą skostniałe przekonania. Międzynarodowy Ośrodek Medytacji imienia Osho w Pune przyciąga dzisiaj dwieście tysięcy odwiedzających rocznie.

Black, mimo że dotarły do niego barwne doniesienia o seksjodze, w 1972 roku wyruszył w Himalaje, żeby popracować nad rozwinięciem swojego węża kundalini.

– Próbowałem, *babe* – powiedział mi. – Próbowałem przez sześć miesięcy, ale wąż kundalini ani drgnął. No i uznałem, że te wschodnie duchowo-seksualne historie to jedna wielka bzdura. Problem polegał na tym, że dla nas, dzieci z robotniczych domów, wykolejonych proletariuszy, wartości reprezentowane przez naszych rodziców były martwe. Kiedy ktoś uprawiał seks po LSD, szanse na to, że wróci do etyki seksualnej metodystów albo purytanów, były bliskie zera.

Wielu poszukiwaczy duchowych z pokolenia Blacka obrało kurs na Goa, porośnięty palmami stan w zachodnich Indiach, gdzie w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych panowała atmosfera bachanaliów zorganizowanych przez koleśiów, którzy nazwali się „goańskimi cudakami”

Należała do nich Cleo Odzer. Ta potomkini bogatej żydowskiej rodziny z Manhattanu przez rok była wyznawczynią Osho w Pune, by później przeistoczyć się w klasyczną cudaczkę z Goa.

Zanim w 2001 roku zmarła w wieku pięćdziesięciu lat na AIDS, opowiadała o swoim życiu w latach siedemdziesiątych filmowcowi Marcusowi Robbinowi, który kręcił melancholijny film dokumentalny *Last Hippie Standing*: „W tamtych czasach w Goa nie było żadnych turystów, tylko sami pomyleńcy, grupa nagich pomyleńców. Być nagim to być wolnym, chodzenie nago po plaży dawało nam poczucie wolności... poczucie harmonii z palmami”

Jak pisze Cleo Odzer w swojej książce *Goa Freaks*, wolność ta obejmowała seks na plaży pośród innych ludzi i „transcendentalne” orgie po LSD.

Owo poczucie wolności, o którym wspomniała, a które wyrażało się badaniem granic hipisowskiego seksu i ćpania w indyjskim słonecznym stanie, rozjuszyło miejscowych chrześcijan. Na nakręconym przez nią amatorską kamerą filmie z początku lat siedemdziesiątych widać, jak goańskie cudaki biorą na plaży narkotyki przy miejscowych dzieciach. Pewien spotkany kiedyś w Goa weteran powiedział mi:

– Spróbuj sobie wyobrazić, co katolickie zakonnice sądziły o orgiach, nagości i plotkach, że hipiski karmią piersią małpy. Na pewno nie były zachwycone.

Tak jak lato miłości w 1967 roku w San Francisco w ciągu kilku lat ściągnęło na to miasto plagę narkomanii i przestępczości, tak idylla w Goa zmieniła się w letnie narkotykowe bachanalia finansowane z przemytu narkotyków w porze monsunowej. W 1979 roku Odzer kierowała narkotykową speluną na plaży w Andżuna, twierdzy Goa Freaks:

Nazywałam to „Andżuna Dragoona Saloona”. Sprzedawałam haszysz, kokainę i heroinę. Na początku było naprawdę pięknie, ale potem niektórzy zaczęli sobie wstrzykiwać. Byli na strasznym głodzie i nie zawsze starczało nam pieniędzy. Podzieliłam dom na dwie części: wstrzykiwaczy wysłałam na piętro, a na parterze mieszkali ci, co palili i wąchali. Były różne żarciki o dawaniu sobie w żyłę, ale przestało nam być do śmiechu, kiedy ci na górze zaczęli umierać. Mnóstwo ludzi popełniało błędy, bo po heroinie robisz się leniwy. „O rany, powinienem uważać, ale mi się nie chce”. No i lądowali w więzieniu albo w grobie. W końcu nasza komuna umarła.

Trzecią placówką na hipisowskiej trasie z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych było najświętsze miasto Indii, Waranasi, znane również jako Benares. W latach siedemdziesiątych były beatles George Harrison przez kilka miesięcy mieszkał w hotelu z widokiem na ghaty, czyli stare schody prowadzące nad Ganges. Studiował hinduską literaturę religijną, ćwiczył grę na sitarze^[22] (był uczniem Ravięgo Shankara w Mumbaju) i zbierał materiały do albumu *Festival of India*, który ukazał się w 1974 roku.

– Ganges, Ganga, tutaj wszyscy przyjeżdżają – mówi nasz przewodnik Aram, wykładowca antropologii, kiedy Dimple i ja wysiadamy z autoriksy i zagłębiamy się w Kaśi^[23], pełne zakamarków i zapachów stare centrum najstarszego nieprzerwanie zamieszkanego miasta na ziemi. – Goldie Hawn przyjeżdża tutaj każdego roku i bierze pokój z widokiem na świętą rzekę. George Harrison kazał tu rozsypać swoje prochy. To jest Rzeka Matka, ucieleśnienie śakti, woda, która zabiera zmarłych hindusów i rzekomo rozpuszcza ich dusze w stanie mokszy.

Spójrzmy na to w ten sposób – kontynuuje przez czerwone od żucia liści betelu zęby. – Jeżeli chodzi o następną reinkarnację, istnieje osiem milionów czterysta tysięcy możliwości – od wszystkich istot morskich, przez karaluchy, po polityków. Dla niektórych ziemia jest więc piekłem za życia, a dla niektórych niebem. Moksza to ucieczka od cyklu narodzin i śmierci. Wyzwolenie duszy.

Jeżeli jesteś hindusem i dotrzesz do Kaśi – na własnych nogach, na noszach tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia albo jako urna z prochami niesiona przez członków rodziny – mokszę masz jak w banku. Hindusi wierzą, że jeśli umrzesz w Waranasi, na pewno zyskasz wyzwolenie z cyklu reinkarnacji. Wyjaśnia to ogromną liczbę hospicjów w tym mieście, a także regularny widok schorowanych ludzi, którzy z cewnikami i zapasem tlenu gramolą się do autobusów, samolotów i pociągów zmierzających do tego miasta na północnym wschodzie Indii.

Oprócz turystów, stojących nad grobem hindusów i zachodnich podróżników duchowych Waranasi przyciąga również mnóstwo świętych: od koczowniczych ascetów, którzy wędrują po górach, po śnieżnowłosych guru, którzy liczą na to, że zarobią parę rupii, przyciągając – zgodnie z tradycją Osho i Maharishiego – zachodnich wyznawców.

Pośród świętych ludzi z Waranasi największy rozgłos otacza aghori, tajemniczą grupę, z której członkami mam się tutaj spotkać. Są to sadhu, wędrowni tantryczni święci mężowie, którzy drogi do zjednoczenia z Brahmanem, czyli Absolutem, upatrują we wszystkim, co groteskowe i zakazane. Aghori mieszkają na licznych w tym mieście śmierci dymiących gruntach kremacyjnych. Jedzą z ludzkich czaszek i podobno zdarza im się

spożywać ludzkie mięso. Wśród współczesnej indyjskiej klasy średniej mają wampiryczną reputację, lokują się gdzieś pomiędzy hrabią Draculą a kiczowatymi przebierańcami halloweenowymi. Ich poczynania odbierane są jako teatr, który jednak budzi strach.

Pewien naukowiec z Delhi wyjaśniał mi filozofię aghori przez telefon, kiedy Dimple i ja na lotnisku w Lucknow wsiadłyśmy do samolotu lecącego do Waranasi, pełnego schorowanych hindusów w podeszłym wieku. Interesowało mnie zwłaszcza nietypowe podejście aghori do seksu.

– Ach, aghori – powiedział z niewesołym śmiechem. – Bardzo ciekawe zjawisko. Uważają, że aby osiągnąć boskość, trzeba zbadać granice śmiertelnego istnienia, a granicami tymi są dla nich seks i śmierć. W temacie seksu i śmierci nie uznają więc żadnych tabu. A jak wiadomo, hinduizm jest religią opartą na licznych tabu.

Koncepcja aghori o związkach między seksem a śmiercią przypomniała mi słynną francuską metaforę orgazmu, *le petit mort*, czyli mała śmierć, a także ideę połączenia seksu z okultyzmem, która tak bardzo kręciła hipisów w ich erotyczno-duchowych poszukiwaniach – oni również traktowali seks jako drogę do boskości.

– Aghori mają tę swoją reputację i na pewno lubią szokować – mówi Aram, kiedy przy kamiennych stopniach pełnych południowo-koreańskich i amerykańskich turystów wsiadamy do badźra, drewnianej łodzi.

Dimple ostrożnie stąpa między krowimi plackami na jej dnie. Nie ma zbyt dobrych skojarzeń z Waranasi, ponieważ podczas ostatniej wizyty w tym mieście nagle poczuła trącenie w ramię i odwróciwszy się, odkryła, że zaatakowało ją ramię martwego mężczyzny zwisające z noszy, które zmierzały na jeden z setek stosów pogrzebowych.

– Wypiją mocz na twoich oczach. Polizną trędownatego. Ubierają się na czarno, co dla hindusów jest nie do pomyślenia, zresztą widzicie, że sari są w jasnych kolorach – ciągnie Aram. – Ale musicie zrozumieć, że nie chodzi tylko o szokowanie. Chodzi też o Śiwę. Dla aghori Śiwa jest drogą do mokszy i wszystko jest Śiwą, zwłaszcza w Waranasi, mieście Śiwy. Dotyczy to przede wszystkim rzeczy, które dla hindusów stanowią tabu.

Odbijamy od schodów i po chwili łódź pełna uzbrojonych w aparaty

fotograficzne Koreańczyków z Południa mijają nas z impetem i wprawiają w kołysanie, wzbijając obłok białych plastikowych toreb, które unoszą się na brązowej jak rosół wodzie blisko brzegu.

– Te tabu to pięć M^[24] – kontynuuje Aram, kiedy nasza łódź przestaje się kolebać. – Zakazane jest jedzenie ryb, matsja; jedzenie mięsa, mamsa; picie alkoholu, madja; i jedzenie spieczonego zboża, co wynika z pewnej starej koncepcji na temat czystości pożywienia. Najważniejszy zakaz dotyczy seksu, czyli majthuny.

Stosunek aghori do seksu ewidentnie kłóci się z ascetyzmem wyznawanym przez większość hinduskich świętych. Sadhu najczęściej utożsamia się z wyrzeczeniem, którego najbardziej barwnych przykładów dostarczają skrajne formy umartwiania się, na przykład słynny Amar Bharati od 1973 roku trzyma prawą rękę w górze.

W opisie czterech idealnych okresów życia hindusa, aśramach, seksualna abstynencja zajmuje pierwsze miejsce: podczas etapu brahmaćarii, nauki, trwającym do dwudziestego siódmego roku życia, kiedy obowiązuje życie w czystości, oraz w sannjasanie, w czwartej aśramie, kiedy hindus wycofuje się ze świata i rezygnuje z doczesnych dążeń.

Hinduistyczne pisma zalecają brahmaćarię (słowo to zaczęto utożsamiać z czystością) przed ważnymi rytuałami czy praktykami religijnymi. Od sadhu często oczekuje się dożywotnich ślubów czystości, żeby łatwiej im było podporządkować się nakazom guru albo bogów. Dla najbardziej żarliwych praktyków brahmaćarii termin ten złączył się z zasadą unikania dobrowolnej utraty nasienia.

W czasach współczesnych sławnym wyznawcą abstynencji seksualnej był Mohandas Gandhi zwany Mahatmą. W książce *Intimate Relations: Exploring Indian Sexuality* psychiatra Sudhir Kakar analizuje ślub czystości Gandhiego przez pryzmat jego korespondencji. Mahatma przyznaje, że przed złożeniem ślubu był wielce pożądanym i zazdrosnym mężem Kasturby, córki zamożnego przedsiębiorcy, z którą został zeswatany w wieku czternastu lat.

Kakar sugeruje, że wyrzeczenie się seksu wynikało z odrazy do siebie, jaką Gandhi odczuł w związku ze śmiercią ojca – stało się to w chwili, kiedy

Kasturba i Gandhi kochali się w sąsiednim pokoju. Listy pokazują, że odraza w nim narastała. Podczas studiów w Anglii w latach dwudziestych Gandhiego pociągały prostytutki i angielskie dziewczyny. Podczas długiego pobytu w Południowej Afryce, czytając Tołstoja, rosyjskiego powieściopisarza, który uznał celibat w małżeństwie za najwyższą formę ludzkiego istnienia, zaczął myśleć o celibacie. Śluby czystości złożył w wieku trzydziestu siedmiu lat, bez porozumienia z żoną.

W późniejszych latach zaczął eksperymentować z różnymi wegetariańskimi dietami, które miały obniżyć popęd seksualny, i nakłaniał nawet dwunastoletnie dziewczyny, między innymi swoją prabratanicę Manu, żeby spały z nim w jednym łóżku nago. Chciał bowiem sprawdzić skuteczność stosowanych rozwiązań.

– Można powiedzieć, że spotkał was zaszczyt – mówi Aram, kiedy ostrożnie stajemy na porośniętym błyszczącym liszajem stopniu. – To mój ostatni kurs w tym roku. Po nadejściu monsunu na rzece unoszą się zwłoki. Niektórzy przewodnicy nadal wtedy wypływają, ale ja nie mogę. Władze miasta zakazały wrzucania zwłok do rzeki, ludzie jednak wypływają i wyrzucają do wody wszystkie te osoby, których zgodnie z zasadami naszej religii nie możemy spalić: kobiety w ciąży, dzieci, trędowatych, ludzi zmarłych na skutek ukąszenia węża. A także części ciał: kończyny osób, których rodzin nie było stać na ilość drewna potrzebną do porządnego spalania ciała.

Dwa lata temu pod koniec sezonu płynąłem z turystami – kontynuuję posępny tonem – i zobaczyliśmy upiornie rozdęte zwłoki kobiety. Była w ciąży. Śniło mi się to przez wiele miesięcy i dlatego nie płynam łodzią w porze monsunowej.

Wychodzimy po schodach, mijając młodego indyjskiego turystę w jasnozielonych płóciennych spodniach i podkoszulku z napisem „Zapomnij o kochankach: siadają ci na płucach”.

– Kiedy ostatnio zaprowadziłem kobietę na spotkanie z tym aghori, Śri Nathem, efekt był niejednoznaczny – zwierza nam się Aram. – Rozpaczliwie chciała zajść w ciążę. Kazał jej spadać na drzewo i powiedział, że jej matka jest oślicą. Ale potem dodał, żeby weszła na kolanach na jakieś wzgórze,

wystawiając Śiwę, no i zaszła potem w ciążę!

Podobnie jak w przypadku wielu innych indyjskich świętych mężów ekspresowe usługi rozplodowe należą do głównych źródeł dochodu aghori, obok wypędzania demonów i leczenia chorób.

Wpuszczając nas do środka, Śri Nath oblizuje swoje ostre siekacze. Jego kończyny i wypiętrzone wysoko dredy mają popielaty kolor. U jego stóp leży obrzędowa miska z czaszki, w dłoni trzyma laskę z uchwytem w kształcie czaszki, a obok niego siedzi dwóch młodych pomocników w stanie zaawansowanego upojenia.

Śri Nath warczy coś niezrozumiale.

– Pyta, czego chcemy – tłumaczy Aram.

Śri Nath też chyba jest trochę pijany. Podobnie jak wielu innych sadhu w Waranasi aghori mają słabość do używek: tradycyjnego bhangu^[25] i fajki ćilum, ale coraz częściej także do alkoholu i kokainy – zamiłowanie do białego proszku wynika z tego, że aghori od kilkudziesięciu lat przyjaźnią się ze środowiskiem zachodnich hipisów i globtroterów.

– Chcemy mu zadać kilka pytań na temat jego życia – deklaruje z troskliwym uśmiechem.

Śri Nath beka, kiedy Aram tłumaczy mu moją prośbę. Dimple i ja wzdragamy się odruchowo. Po kolejnym, głośniejszym beknięciu wysuwa otwartą dłoń, na której Aram kładzie pięć banknotów sturupiowych. Potem, nie czekając na pytania, Śri Nath rozpoczyna swoją jeremiadę, akcentując najważniejsze punkty stuknięciem laską. Aram tłumaczy:

– Mówi, że jest cesarzem gruntów kremacyjnych. Zjada ofiary zostawione dla zmarłych. Zdejmuje całuny ze zwłok. Niczego się nie boi. Ani ludzi, ani śmierci. Jego odzieniem jest popiół, ponieważ bóg Śiwa również tak się ubiera. Ma obrzędową czaszkę, której szukał na brzegach Gangi. Kiedy ją znalazł, usunął ze środka mięso. Je i pije z tej czaszki. Niczego się nie brzydzi. Gdyby była w nim nienawiść i obrzydzenie, to jak mógłby dzielić się jedzeniem z psami i jeść żywność zostawioną na gruntach kremacyjnych?

Śri Nath bierze głęboki wdech i kontynuuje swoją autoprezentację.

– Mówi, że ludzie boją się przychodzić w nocy na cmentarz. Śri Nath może

wtedy medytować w spokoju. Zjada wszystko, co znajdzie w swojej misce, może to być kał, może to być ludzkie mięso. Kiedy wstąpi w niego duch, zdarza mu się nawet ściągnąć ze stosu całe zwłoki i zjeść.

Śri Nath szczerze zaciąga się ćilum podaną przez asystenta z lewej i milknie. Cisza rozbrzmiewa sugestią, że potrzebny jest kolejny plik banknotów.

– Co z seksem? – pytam po minucie czekania. – Czy stosuje się do filozofii aghori, że seks jest drogą do Śiwy?

– Mówi, że teraz nie czuje chciwości ani żądz, jest tak, jakby się w nim wypaliły – tłumaczy Aram. – Kiedy był młodszy, uprawiał seks z prostytutkami. Stosował praktyki uważane przez innych hindusów za nieczyste, takie jak seks z kobietą... prostytutką w czasie menstruacji. Żył pośród prostitutek, które nie różniły się według niego od innych kobiet. Nic go nie brzydziło, nie było dla niego żadnych tabu. Dla niego wszystko jest Śiwą.

– Zdarzyło mu się kiedyś kochać na miejscu kremacji, czy to tylko mit? – pytam.

– Tak, zdarzyło mu się – mówi Aram. – Jest to rytualna praktyka seksualna aghori – kochać się w takim miejscu, w nocy, z kobietą podczas menstruacji. Praktyka tantryczna. Kobietę smaruje się popiołem ze stosu, a inni aghori czytają mantry^[26] i biją w bębny.

Mówi, że jest już za stary na taki rytuał seksualny – kontynuuje Aram, a Dimple słucha tego wszystkiego z szeroko otwartymi oczami. – Narzeka, że nawet w nocy na gruntach kremacyjnych trudno znaleźć spokój i ciszę, żeby odprawiać rytuały. Za dużo turystów.

O cmentarnym seksie dowiedziałyśmy się więcej podczas rozmowy z Aśokiem, zwierzchnikiem umiarkowanej sekty aghori o nazwie Kena Ram Baba, spokojnym człowiekiem ubranym w bladoniebieski kostium safari w stylu z lat siedemdziesiątych.

Dimple, Aram i ja spotykamy się z Aśokiem w świątyni Kena Ram Baby w Waranasi. Na teren kompleksu wchodzimy przez sklepioną bramę ozdobioną wachlarzem ludzkich czaszek. Centralny punkt świątyni stanowi

szklana gablota, której zawartość oglądamy, czekając na Aśoka. Najdziwniejszym eksponatem jest figurka wielkiego przywódcy aghori, Kena Ram Baby (zmarłego w 1992 roku), na latającym dywanie. Dimple pyta świątynnego przewodnika, dlaczego obecny przywódca nie korzysta z latającego dywanu.

– Bo mógłby się zderzyć z samolotem – odpowiada przewodnik i bez dalszych wyjaśnień idzie po Aśoka.

– Aghori uważają, że orgazm i seks w towarzystwie zmarłych przynoszą nadludzkie moce – mówi Aśok.

Wieziemy go do prowadzonego przez sektę hospicjum na obrzeżach miasta po drugiej stronie Gangesu, a on po drodze rozwija temat rytualnego seksu aghori:

– Uważa się, że kiedy kobieta ma menstruację, nadludzka seksualna energia łatwiej się uwalnia – tłumaczy. – Obrzęd musi być pozbawiony przemocy, kobieta musi w nim brać jednakowy udział. Najczęściej odprawia się go w środku nocy. Rytuał jest rozbudowany i trwa ponad godzinę, od momentu rozebrania kobiety na cmentarzu do ostatniego aktu i orgazmu. Aghori uważają, że obowiązkiem mężczyzny jest opóźnianie orgazmu aż do wypełnienia rytuału.

Kilkadziesiąt lat temu – dodaje – w epoce hipisów, do ośrodków aghori w Waranasi przyjeżdżało wielu cudzoziemców. Myśleli, że mogą wykorzystać rytualne praktyki seksualne do ESP (postrzegania pozazmysłowego).

Po chwili docieramy do niskiego białego budynku ogrodzonego białym płotem. W środku naszym oczom ukazuje się nieoczekiwany widok: dziedzińiec z kwiatami w donicach, który bardziej pasowałby do luksusowego hotelu niż do szpitala. Otaczają go proste, pomalowane na biało pokoje.

– To właśnie chciałem wam pokazać w związku z aghori – mówi Aram, na co Aśok uśmiecha się z życzliwą aprobatą. – Chciałem wam pokazać, że z odrzucenia przez nich hinduskich tabu może wyniknąć coś dobrego. To jest aśram Kuszth Sewa. Po raz pierwszy przyszedłem tutaj piętnaście lat temu. Nigdy nie zapomnę tego dnia. Do Biharu przyjechały wtedy jakieś

polityczne szychy i jak to się dzieje w wielu stanach, władze miasta oczyściły ulice z żebraków i trędowatych.

Trochę wcześniej – kontynuuje po chwili – pokonawszy kilkaset kilometrów, do Waranasi przybyło dwustu trędowatych, którzy usłyszeli, że będą tu mile widziani. Wielu z nich nigdy nie leczono, byli w zaawansowanym stadium choroby. Należałem do grupy młodych ochotników, którzy przyszli się nimi zaopiekować, w miarę możliwości ulżyć im w cierpieniu. Wielu zmarło na naszych oczach. Nigdy tego nie zapomnę.

– Dzisiaj mamy tutaj tylko kilku trędowatych – mówi Aśok. – Ale w latach sześćdziesiątych, kiedy założyliśmy ten aśram, było ich całe mnóstwo. Wtedy od uzyskania niepodległości upłynęło niewiele czasu, Indira Gandhi wprowadziła stan wyjątkowy, więc szpitali było niewiele, a większość tych, które istniały, nie leczyła trędowatych, bo byli stygmatyzowani. Ale my, aghori – ciągnie promieniejąc dumą – byliśmy gotowi ich leczyć!

– W 1999 roku trafili do *Księgi rekordów Guinnessa* – dodaje Aram. – W ciągu czterdziestu lat leczyli pół miliona trędowatych... pół miliona!

Aśok i jego sekta aghori przypominają nam, że istnieje umiarkowana interpretacja nauk każdego skrajnego odłamu hinduskiej duchowości. Przypominają nam również, że istnieje odwrotna strona organizacji indyjskiego życia wokół tabu – związanych z seksem, jedzeniem mięsa czy ubieraniem się na czarno, a mianowicie tradycja łamania tabu, od seksu po trąd i śmierć. Nigdzie nie widać tego jaskrawiej niż w Waranasi, z mniej więcej dwudziestoma trzema tysiącami świątyni poświęconych nie tylko Śiwie, ale także różnym innym bóstwom, poczynając od Annapurny, bogini pokarmów, po Hanumana, bóstwa w postaci małpy, z którym spotkałyśmy się już wcześniej w Amritsarze.

Tego wieczoru idziemy nad Ganges, żeby obejrzeć kolejny rekord świata: Ganga arti, obrzęd połączony z festynem, który odbywa się każdego wieczoru na Daśaśwamedh, jednym z ghatów, „od tysiąca lat”, jak szacuje Aram.

Docieramy do Daśaśwamedhy akurat w momencie, kiedy zaczyna się ta

odwieczna ceremonia. Na schodach zgromadził się ponadtysięczny tłum złożony głównie z indyjskich pielgrzymów, ale także zachodnich turystów, roślących i barczystych, z których każdy zajmuje dwa miejsca na wąskich ławkach dla widzów. Przed nami Ganges migocze głęboką czernią, jak płynny północny mrok.

Stojąc twarzami ku rzece, piętnastu niedawno wyświęconych kapłanów przy akompaniamencie piskliwych treli świątynnych śpiewaków odprawia rytuał arti.

– Zanurzają dusze w rzece, która jest ich bóstwem – wyjaśnia Aram – a ich oczy są oknami duszy. Jak można usłyszeć w tekstach piosenek popowych!

Piętnastu młodzieńców synchronicznie kreśli w powietrzu ósemki świecami z klarowanego masła, ghi, w stronę nieba i rzeki, smugi jasnego światła przypominają arabeski rysowane przez sztuczne ognie.

Za nami, u szczytu ghatu, wznoszą się billboardy reklamowe. „Kochaj wszystkich. Służ wszystkim. Zawsze pomagaj, nigdy nie krzywdź!”, można przeczytać na jednym z nich, sponsorowanym przez Bank of India. Z kolei jakieś towarzystwo ubezpieczeniowe zwraca na siebie uwagę zabawną literówką: „Bez wody życie jest mrawe!”

Świątynni kantorzy śpiewają co sił w płucach. Publiczność klaszcze i rozmawia, ludzie podają sobie termosy z ćajem. W oddali widzę smugi dymu ciągnące pod niebo z nigdy niegasnących stosów pogrzebowych. Jest to poruszający widok, być może jedna z najtrwalszych ceremonii życia w mieście, które celebruje śmierć.

Po zakończeniu Ganga arti Aram, Dimple i ja zatrzymujemy riksę rowerową i telepiemy się z powrotem nocnymi ulicami, które dalej tętnią życiem. Po obu stronach sprzedawcy lassi^[27], biżuterii i tkanin upłynniają sporo towaru, dzwonki rikszy rowerowych pobrzękują, kierowcy dwusuwowych dostawczaków trąbią na pieszych.

– Na praktyki seksualne aghori musicie patrzeć przez pryzmat ich praktyk duchowych – mówi Aram, przekrzykując nocną wrzawę. – Tu nie chodzi o seks jako taki, tylko o narzędzie do osiągnięcia boskości. Ideałem jest wykorzystanie całej swojej seksualnej mocy, a potem, w późnej fazie życia, wejście na wyższy poziom, jak w przypadku Śri Natha. Pod tym względem

jest inny niż my wszyscy. Uwolnił się od seksualnych rozkoszy, które go odciągały od najważniejszych spraw. Podążyła w stronę mokszy... A pamiętajmy, że wszyscy przyjeżdżają do Waranasi właśnie w tym celu. Żywi i umarli, światowcy, asceci – wszyscy są tutaj ze względu na moksę.

Już po wyjeździe do Indii dostałam mejla od Nicka Blacka, w którym opisał mi pewne zdarzenie z lat siedemdziesiątych (z okresu swoich indyjskich poszukiwań). Uprawiał seks z dominą Arione przed pięciotonowym satanistycznym ołtarzem z marmurowymi kolumnami, posągami należącymi do różnych tradycji religijnych, gargulcami, gigantycznymi kandelabrami, smaganiem czarnej skóry i rozbitymi lustrami:

Kochaliśmy się na podłodze przed gigantycznym ołtarzem, co nadawało naszym poczynaniom pewną powagę, a pod wpływem siarczanu amfetaminy grawitowaliśmy ku stanom paranoidalnym. Wadą siarczanu amfetaminy jest oczywiście to, że śmierdzisz jak trup, ale są też zalety: można się kochać godzinami, aż z twoich genitaliów zostanie zastrupiała miazga, a tętno wzrasta do dwustu... Ach, cóż to były za piękne czasy!

CZEŚĆ CZWARTA

POŁUDNIE W OPARACH POŁUDNIOWYCH INDII

ROZDZIAŁ 11 EKRANOWE SYRENY, KERALA POŁUDNIOWE INDIE JAKO POŻYWKA DLA CELULOIDOWYCH FANTAZJI

*Kobiety Drawidów długo i wytrwale
pieszczone nieobfite wydają nasienie.*

Kamasutra, s. 52

Dimple i ja podróżowałyśmy na południe drugą klasą ekspresu Patna – Ernakulam. Czułam się tak, jakby na czterdzieści godzin włożono mnie do pralki. Ale było warto, przybyłam bowiem do mojego ulubionego indyjskiego stanu: do tego klina gęstej zieleni wciśniętego między Morze Arabskie i Ghaty Zachodnie, do pięknej, pełnej urokliwych zakątków Kerali.

Mamy się tutaj spotkać z człowiekiem, którego poznałam w 2011 roku, kiedy dosłownie stanął mi na drodze przed Mattancherry, dawnym holenderskim pałacem kolonialnym w Koczinie. Balachandran Chullikkad z zamiłowania jest poetą, a z zawodu aktorem i autorem scenariuszy do filmów i seriali telewizyjnych w języku malajalam. Często występuje

w nich jako poczciwy wujaszek, czego typowym przykładem jest *Meera*, hitowa opera mydlana z 2008 roku według jego scenariusza, która opowiada od dwóch zwaśnionych rodach z Kerali „targanych intrygami i tragediami”. Chandu i ja wymieniliśmy się numerami telefonów – „Proszę mi mówić Chandu!” – i przez miniony rok od czasu do czasu dostawałam od niego niekonwencjonalne literackie esemesy: „Czytam waszego Szekspira i myślę o Pani. Nie *Poskromienie złośnicy*, panno Sally. Dobranoc. Dziękuję Pani”.

Liczę na to, że Chandu potrafi wyjaśnić obsesję Indii na punkcie kobiet z południa. W północnoindyjskiej popkulturze kobietom z Kerali przypisuje się charakterystyczne cechy tamtejszego klimatu: gorące, tropikalne, płodne. Przedstawia się je jako smagłe i rozpalone, a dzięki genom i południowym upałom rzeczywiście mają ciemną karnację i rozgrzaną skórę. To tutaj tkwią najgłębsze korzenie indyjskiej obsesji na punkcie białości – przeciętna kobieta z południa wydaje na produkty wybielające o trzydzieści procent więcej pieniędzy niż jej koleżanka z północy.

Indyjski portret południowej syreny kojarzy mi się z brytyjskim stereotypem zmysłowej południowej Europejki, której najlepszym ucieleśnieniem jest Sophia Loren: smagła i melancholijna, emocjonalnie nieskrępowana, niebezpiecznie seksowna. Jest to kolejny przykład egzotycznej fantazji seksualnej: gorące kobiety z południa Indii są dla konserwatywnych Indusów z północy tym, czym niewolnice z orientalnych haremów dla wiktoriańskich samców albo safickie kobiety Wschodu dla mężczyzn z imperium Guptów.

Ten seksualny stereotyp szczególnie silnie zaznacza się w filmach w języku malajalam. Tutejsza branża filmowa zarówno w Indiach, jak i za granicą słynie z rozerotyzowanych dramatów albo „masali soft porno”, niezwykle popularnych nie tylko w kraju, ale również w państwach znad Zatoki Perskiej oraz wśród emigrantów w Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych.

Dimple i ja zgłębiamy temat tego pikantnego towaru eksportowego, więc w taksówce z włączonym silnikiem czekamy na aktora-poetę pod willą na przedmieściach Koczinu. Willa jest utrzymana w typowym dla tej okolicy

eklektycznym stylu: chiński spadzisty dach, muzułmańskie geometryczne ornamenty. Chlebowiec, który według mieszkańców Kerali przynosi szczęście, pełni straż przy wejściu, a niewielka plantacja drzew kauczukowych na tyłach budynku sprawia, że cały horyzont jest zielony.

Przy ulicy stoi tablica reklamowa z napisem „John O’bamas” – jest to marka majtek w zachodnim stylu, która powoli wypiera z rynku tradycyjne południowoindyjskie lungi, prostokąt bawełny zawiązywany wokół bioder. Obok wisi plakat wyborczy partii komunistycznej z Kerali, niezgrabnie namalowany ciemnoczerwony sierp i młot na jasnoniebieskim tle. Willa nie jest keralskim domem, lecz dawnym studium, w którym w okresie największych sukcesów karelskiego soft porno nakręcono wiele najbardziej kasowych przebojów.

Przyjeżdża Chullikkad, płaci taksówkarzowi i koniuszkiem sandała budzi strażnika, który z szeroko otwartymi ustami śpi na plastikowym krześle ogrodowym koło wejścia do willi. Zgodnie z umową płacimy mu tysiąc rupii łapówki.

Wchodzimy do środka. W oknach wiszą grube zasłony z włókna kokosowego i trzeba dłuższej chwili, żeby oczy przystosowały się do półmroku. Przechodzimy do następnego pomieszczenia, gdzie widzimy stary wysięgnik kamery obciążony aksamitnymi warstwami kurzu i porzucone w kącie dwie rolki filmu. Strażnik podąża za nami krok w krok, strącając resztki snu z powiek i zawsze w tej samej kolejności przerzucając spojrzenie z Chandyy’ego na Dimple i mnie.

Widać po nim, że jest to jedno z najciekawszych wydarzeń w jego życiu zawodowym, ja mam jednak rozczarowujące poczucie, że przyjechaliśmy tutaj długo po fakcie, jakbyśmy przyszły na imprezę i zastały już tylko puste butelki.

No i rzeczywiście przyjechaliśmy za późno o jakieś dwadzieścia lat. Branża soft porno w Kerali przeżywała szczytowy okres pod koniec lat osiemdziesiątych. Surowa cenzura obowiązująca w pozostałych stanach Indii skłoniła producentów tego gatunku kina do przeniesienia się tutaj, gdzie przepisy były liberalne, a tutejsze aktorki, wychowywane w tradycji komunistycznej i chrześcijańskiej, nie tak pruderyjne – przynajmniej

w tamtym czasie – jak w stanach jęczących pod konserwatywnym jarzmem hinduizmu.

Złota epoka keralskich filmowych bezceństw trwała jednak krótko. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych zamachy terrorystyczne religijnych fanatyków na studia filmowe doprowadziły do zaostrzenia cenzury i branża filmów w języku malajalam przeniosła się do studiów w Ćennaju – stolicy sąsiedniego Tamil Nadu – i dopiero wtedy „sprośne filmy” w malajalam zyskały ogólnoświatowy rozgłos.

– Południe stało się więc seksualną fantazją dla północy – mówi Chullikkad na półpiętrze zaśmieconym niedopałkami i pełnym dziur w podłodze, przez które można zobaczyć hol na dole. – Dysponowaliśmy smagłoskórymi, biuściastymi Drawidyjkami, z których cywilizacja nie wypleniała głodu seksu.

Jedna z najbardziej pracowitych aktorek, które produkowały się wtedy na ekranach, Shakeela, została uhonorowana w nazwie marki lodów oraz dwóch restauracji – w Dubaju i Bahrajnie. Przez mniej więcej dekadę jej niekwestionowanego panowania miękką pornografią w całych Indiach kolokwialnie nazywano „Shakeela films”. W 2001 roku, u szczytu kariery, wystąpiła w jednej trzeciej ze stu filmów w języku malajalam, urozmaicając drętwe fabuły płynnym falowaniem szerokimi biodrami i parą 85 H, czyli, jak to samokrytycznie nazwała, swoim „tłustym, ciemnym, piersiastym towarem”.

Pierwszym filmem, do którego ją zaangażowano, był *Playgirls* z 1995 roku (w języku tamilskim). Zagrała w nim wampa, młodszą siostrę najbardziej legendarnej z południowoindyjskich syren – Silk Smithy.

Tak się złożyło, że było to przekazanie pałeczki, ponieważ rok później Smitha już nie żyła. W wieku trzydziestu pięciu lat aktorka i producentka powiesiła się na pętli przywiązanej do podsufitowego wentylatora w swoim mieszkaniu w Ćennaju. Nie zostawiła listu pożegnalnego. Indyjska prasa brukowa natychmiast podchwyciła temat, uznając Smithę za przejmującą, tragiczną postać.

W utrzymanych w sensacyjnym tonie felietonach niektórzy twierdzili, że Smitha zmarła na zawał serca, niektórzy przekonywali, że bała się

bankructwa po zainwestowaniu w serię filmowych niewypałów, a jeszcze inni domniemywali, że dopadły ją traumy z dzieciństwa. Jak było, tak było, ale Smithę unieśmiertelniono jako indyjską Marilyn Monroe, kobietę, której tragedia wiązała się z funkcjonowaniem w roli symbolu seksu i sugerowanymi półgębkiem erotycznymi transgresjami.

Wpisywała się w archetyp „od nędzy do pieniędzy”. Smitha (słowo to oznacza w sanskrycie „boski uśmiech”) urodziła się jako Vijayalakshmi Vadlapati w biednej rodzinie z południowo-wschodniego stanu Andhra Pradeś. Ta uboga dziewczynka z niskiej kasty w wieku ośmiu lat została wydana za męża, a rok później zgwałcona. Jako nastolatka uciekła na południowy zachód, gdzie znalazła pracę jako makijażystka aktorek filmów B. Sypiała z reżyserami, żeby zapracować na angaż jako statystka. Nadano jej nowe nazwisko, a ekranowy przełom nastąpił w 1979 roku, kiedy w filmie *Inaye Thadi* (w języku malajalam) zagrała rolę prostytutki o złotym sercu, porównywaną do tej, w którą wcieliła się Julia Roberts w *Pretty Woman*. Prawdziwą sławę przyniósł jej jednak nakręcony w 1980 roku w języku tamilskim *Vandi Chakkram*. Rola wymagała od ówczesnej dwudziestolatki podrygiwania obfitymi piersiami i pośladkami w wampowatej scenie tanecznej, która testowała granice wyrozumiałości cenzury. Film odniósł wielki sukces kasowy, a imię postaci – Silk – przylgnęło do aktorki.

Szybko przyczepiono jej etykietkę południowej seksbomby i tak zaczęła się pracowita szesnastoletnia kariera Smithy – średnio trzy razy dziennie wykonywała taniec erotyczny za pięćdziesiąt tysięcy rupii od numeru. Śniadoskóra, z powabnymi krągłościami, ucieleśniała seksualny stereotyp kobiety z południa Indii i stała się pożywką dla fantazji ówczesnego pokolenia. Kiedy tańczyła na ekranie, jej fani, jak rozentuzjzmowani kibice sportowi, skandowali: „Silukku! Silukku!”. Numer w wykonaniu Smithy potrafił uratować każdy słaby albo odłożony na półkę film – wiele z nich zresztą powstało w ten sposób, że do odpadów pozbieranych z podłogi montażowni dokręcono sekwencje taneczne.

– Indie pożerały seksowną Smithę – mówi Chullikkad, podsumowując jej tragiczną historię.

Oddaliśmy się od porzuconego studia i jedziemy szosą wśród plantacji kauczukowych i sadów owocowych, które posłusznie ilustrują opowieść naszego przewodnika swoją plennością.

– Z drugiej strony pogardzaliśmy jej nieskrywanym seksualizmem – kontynuuje. – A przecież była to biedna dziewczyna ze wsi, którą w wieku siedmiu lat zabrano ze szkoły, a potem została wykorzystana i nigdy nie była w żadnym trwałym związku. Jak mogła udźwignąć tak ogromne oczekiwania?

„Tłusty, ciemny, piersiasty towar” to podstawowa waluta południowoindyjskiej miękkiej pornografii, a w oczach północy także południowoindyjskich stosunków społecznych. Ten stereotyp ma korzenie w indyjskich ogólnych wyobrażeniach na temat południa i północy (aryjskie versus drawidyjskie; jasnoskóre versus ciemnoskóre; bezpieczne versus seksowne), a do pewnego stopnia także w europejskiej legendzie kolonialnej. Po przybiciu do brzegu Kerali Marco Polo napisał: „...zawsze chodzą nago, jedynie okrywają swój wstyd wąską przepaską płócienną”^[28]. Natomiast pewien siedemnastowieczny podróżnik holenderski twierdził, że królowa Kerali, Kallada, bez śladu skrępowania przyjęła go z gołymi piersiami, a jej przybocznicy mieli na sobie tylko kuse przepaski biodrowe.

Rzecz jasna, w dawnych Indiach nagość nie była niczym wyjątkowym. Przed inwazjami muzułmańskimi większość przedstawicielek niższych warstw i kobiet bezkastowych^[29] chodziła z piersiami na wierzchu. W pierwszych stuleciach naszej ery istniały przepisy zabraniające członkiniom niższych kast zakrywania piersi, był to bowiem przywilej lepiej urodzonych niewiast. Mimo to obraz nieskrępowanej nagości zaczęto kojarzyć wyłącznie z południem. Karmił się nimi stereotyp seksownej, śniadej kobiety z południa, który obowiązywał już w czasach Kamaśastry.

Hinduskie teksty seksuologiczne mocno sobie używały na Drawidach. Oto typowy przykład:

Długotrwałość i niezwykle różnicowanie drawidyjskiej kopulacji wynika z pewnych anatomicznych osobliwości drawidyjskiej bądź negroidalno-australoidalnej rasy. Drawidyjski członek zachowuje znaczną część swoich

mitycznych rozmiarów nawet w stanie spoczynku, ponieważ wyewoluował jako wymiennik ciepła, służący do odprowadzania z organizmu nadmiaru ciepła w gorącej sudańsko-dekańskiej strefie klimatycznej. W połączeniu z osławioną grubością „czarnej skóry” sugeruje to, że „spełnienie dobrego uczynku” wymaga znacznie dłuższego czasu. Co więcej, drawidyjskie jądra, większe u czarnych, wytwarzają więcej nasienia, którego całkowite wydalenie wymaga wielu szczytowań w ciągu jednej nocy.

I całe szczęście, że drawidyjscy mężczyźni są tak wyposażeni, bo jak czytamy w Kamasutrze, ich kobiety to hastini, czyli słonice, typ seksualny charakteryzujący się wyjątkowo grubymi pośladkami i przepastnymi waginami. Słonice mogły zaspokoić tylko największe fallusy i zróżnicowane techniki koitalne, w innym miejscu nazywane „seksem drawidyjskim”:

Drawidyjki gorąco pragną nieprzerwanego miłowania, we dnie i w nocy, bez jedzenia i odpoczynku. Najbardziej upodobały sobie pozycję wadawakam, w której linga przebywa w joni dłużej bez wytrysku^[30].

Możemy również przeczytać, że „mieszkańcy południa uprawiają tak zwaną niską miłość, odbytnicą się posługując” (*Kamasutra*, s. 56).

Ludzie o ciemniejszej skórze często są przedstawiani jako zwierzęcy i seksualnie żarłoczni. Znanym tego przykładem jest europejska kolonialna obsesja na punkcie wiecznie głodnych seksu mieszkańców Orientu, „ciemnoskórych gwałcicieli” czy „lubieżnych Indusów”. W XVIII i XIX wieku kolejną obsesją stał się mit „murzyńskiego superczłonka”, być może podsycany przez seksualne kompleksy białych. Niezależnie od przyczyny zazdrość wobec rasy rzekomo obdarzonej superpenisami niewątpliwie jest głęboko zakorzeniona w męskiej psychice.

Seksualne lęki z pewnością przyczyniły się do powstania kulturowej bariery między „czarnymi” i „białymi” rasami indyjskimi. Od dawna mnie zaskakuje, jak wielką rolę odgrywa ten podszyty lękiem i ksenofobią podział na aryjską północ i drawidyjskie południe w kręgach wykształconych Indusów. Na wielu przyjęciach w Delhi słyszałam z lekka

narcystyczne wypowiedzi typu: „Mam tak jasną karnację, że kiedy jadę na południe, przyciągam tłumy”, albo „Kobiety z południa są niskie i krępe, dlatego nie mogą chodzić w śalwar kamiz”. Walor białości jest wykorzystywany w reklamach kremów rozjaśniających, leczenia hormonem wzrostu, a nawet mięsa i wędlin: „Kupuj mięso, a twój syn wyrośnie wysoki i silny jak Aria z północy Indii”

Lekko upiorną porzuconą wille opuszczamy wszyscy razem i z ulgą wracamy do tętniącego życiem Koczinu. Samochód pruje krajobrazową drogą z plantacjami kauczukowymi po obu stronach. Chullikkad, który siedzi z przodu, nuci do zawodzących dźwięków indyjskiej muzyki klasycznej, która leci z kasety.

Pytam Dimple, czy odbiera tę kulturową obsesję na punkcie smagłych drawidyjskich kobiet jako przejaw seksualnej konkurencji z takimi kobietami jak ona, pochodzącymi z północy i mającymi typowe dla tej części kraju karnację i wzrost.

– Byłam całkiem młoda, gdy uświadomiłam sobie tę różnicę między północą i południem – mówi. – Kiedy miałam dwanaście lat, mojego ojca wydelegowano do Kerali. Szkoła na południu była dla mnie objawieniem. Na północy podpierałam ściany: dziewczyna z aparatem na zębach. Na południu, ku mojemu zdumieniu, chłopcy uważali mnie za piękną, bo miałam jaśniejszą cerę niż keralskie dziewczyny. Musisz pamiętać, że dla wielu indyjskich mężczyzn jasne jest piękne, a ciemne ma swoje konotacje i jest czymś zupełnie innym. Wtedy sobie uzmysłowiłam znaczenie jasnej karnacji. Kieszonkowe za cały tydzień wydałam na krem rozjaśniający Fair & Lovely.

– Znałaś jakieś kobiety z południa, kiedy mieszkałaś na północy? – pytam ją.

– Tak, przez jakiś czas, kiedy byłam mała, mieliśmy tamilskie pokojówki. Na pewno uważano je... nie wiem, jak to powiedzieć, może za bardziej pospolite. Nie uchodziły za piękne. Panowało przekonanie, że nie można im ufać. Dokładnie pamiętam, jak pewna młoda pokojówka zapytała moją mamę, czy może użyć trochę jej kremu rozjaśniającego. Wstydziła się swojej ciemnej karnacji. A ja się wstydzę, kiedy teraz myślę o tym wszystkim.

Ludzie to akceptują, ale tak naprawdę to straszne, nie?

Zatrzymujemy się na chwilę przed rozwidleniem drogi. Obok nas przechodzi robotnica z plantacji kaczuku. Na twarzy ma szeroki uśmiech, a w ręku nóż z szerokim ostrzem do otwierania kokosów.

– Od czasów mojego dzieciństwa zmieniła się jeszcze jedna rzecz – kontynuuje Dimple. – Białość zaczęła tak bardzo utożsamiać z pięknem, że nawet śniade bollywoodzkie piękności, takie jak Priyanka Chopra, stosują krem rozjaśniający cerę. Na litość boską, przecież wszyscy wiedzą, że Chopra ma ciemną skórę! Czyli białość nie jest już nawet białością, tylko atrybutem gwiazdy, czymś, czego się nie zauważa.

Dzisiejszy podział na to, co aryjskie, i to, co drawidyjskie, nie znajduje zbyt mocnych podstaw naukowych. Pierwotni mieszkańcy Indii, Drawidowie, przybyli na subkontynent z Afryki, prawdopodobnie na wybrzeże Kerali, sześćdziesiąt pięć tysięcy lat temu. Markery genowe tych wczesnych przybyszów wciąż występują tu w niektórych izolowanych wspólnotach. Znacznie później, około półtora tysiąca lat temu, fala migracyjna z obszarów dzisiejszej Europy Wschodniej i Turcji sprowadziła na południe ludzi o jaśniejszej skórze, Ariów, przede wszystkim na obszary dzisiejszego Pakistanu i północnych Indii. Jednakże po tysiącach lat wspólnego życia nie sposób mówić o genetycznej czystości którejkolwiek z indyjskich kast, jak pokazał Dawid Reich w opublikowanym w 2009 roku na łamach czasopisma „Nature” artykule zatytułowanym „Reconstructing Indian population history”.

Nie ma to jednak najmniejszego znaczenia, ponieważ dzisiejsze pojęcia „Aria” i „Drawida” opierają się wyłącznie na przesłankach ideologicznych. W czasach Indii Brytyjskich najwyższa kasta braminów, czyli kapłanów, zawłaszczyła dla siebie aryjskość, swoją relatywnie jasną cerę podając jako dowód, że rządzą z boskiego nadania. Brytyjczycy, którym idea supremacji białych bardzo się podobała, nadali tym koncepcjom oficjalny wymiar: poparli roszczenia braminów do wyższości, przyznając im urzędy i przywileje. W XIX i XX wieku bramini nagminnie nadużywali tych przywilejów, na przykład domagając się prawa do defloracji dziewczyn z niższych kast czy też do wybierania spośród nich świątynnych prostytutek.

Wysadzamy Chullikkada w dzielnicy Koczinu, w której tradycyjnie handluje się przyprawami – od dziesięciu stuleci kupcy oferują swoje aromatyczne towary przez otwory w ścianach domów. Chullikkad zamierza oddać się lekturze elżbietańskich sonetów, a Dimple i ja chcemy odpocząć, może wspomagając się w tym paroma dżinami z tonikiem, przed jutrzejszą pięciogodzinną wyprawą na północ stanu. Kiedy Chullikkad kurtuazyjnie kłania nam się na pożegnanie, pytam go, jakie jest jego stanowisko w kwestii odwiecznej polaryzacji północ – południe i biały – czarny.

– Tu chodzi o mitologię – mówi po chwili zastanowienia – o mity narosłe wokół wczesnych osadników na południu i późniejszych aryjskich najeźdźców na północy. Tu chodzi o narrację Indii o samych sobie. Musicie pamiętać, że inaczej niż na Zachodzie my nie mieliśmy swojego wieku rozumu. Zamiast logiki kierujemy się więc mitologią. Właśnie dlatego marksizm stał się taką pokręconą i piękną hybrydą na keralskiej ziemi.

Kiwam potakująco głową. Tylko w Indiach „komunista” może oprzeć swoją samorządową kampanię wyborczą na obietnicy sprowadzenia do regionu międzynarodowych korporacji.

– I dlatego wasza rewolucja seksualna będzie wyglądała zupełnie inaczej od zachodniej? – pytam, nawiązując do wątku rozpoczętego wcześniej, kiedy Chullikkad przedstawiał nam ekscytujący dorobek filmowy Silk Smithy.

– Tak – potwierdza. – U was chodziło o naukę, o przyczynę i skutek, nadejście pigułki antykoncepcyjnej i wszystkiego, co się z tym wiązało. U nas chodzi o mitologię, o powrót do korzeni, o ponowne odkrycie wielkich indyjskich opowieści o miłości i odzyskanie naszego duchowego dziedzictwa.

ROZDZIAŁ 12

***DIRTY DANCING*, KERALA ZDELEGALIZOWANA PRZEZ INDIE BRYTYJSKIE TRADYCJA TAŃCA EROTYCZNEGO ROBI KARIERĘ WŚRÓD MŁODYCH INDUSÓW**

*Dlatego niewiasty niechaj przyswajają sobie praktykę Miłowania,
naukę o Miłowaniu lub jakiegokolwiek jej zagadnienie szczegółowe
od osób zaufanych i w tajemnicy.*

*Także stosowanych w praktyce sześćdziesięciu czterech nauk
pomocniczych niechaj się dziewica uczy sekretnie i w samotności.*
[...]

*A oto sześćdziesiąt cztery nauki pomocnicze stanowiące dziedziny
nauki o Miłowaniu: śpiew, muzyka, taniec, rysunek i kaligrafia...*

Kamasutra, s. 21–22

– To prawda, wiktoriańscy Brytyjczycy mają bardzo dużo za uszami, panno Sally i panno Dimple...

Zarzut ten Dimple i ja wielokrotnie słyszałyśmy w różnych wariantach podczas naszej podróży po wschodniej i północnej części Półwyspu Indyjskiego. Teraz stawia go Kaladharan Wiśwanath, który chyba ma mniej powodów do narzekań niż większość jego poprzedników. Jest szefem Kalamandalam, założonej w latach trzydziestych szkoły tańca, która dzisiaj jest oblegana, a na oferowane przez nią siedmioletnie kursy zgłasza się więcej chętnych, niż szkoła może przyjąć.

Dimple i mnie opadają powieki, a głowy mamy ciężkie. Po wczorajszej wyprawie do porzuconego studia filmowego do trzeciej rano raczyłyśmy się dżinem, który musiałyśmy przemyścić do naszego wegańskiego, ajurwedyjnego hotelu, ponieważ, jak się z konsternacją dowiedziałyśmy, obowiązywał tam całkowity zakaz spożywania alkoholu.

Teraz skacowane wyruszamy z Wiśwanathem w czterogodzinną podróż wyboistą drogą do miejscowości Triśur, kulturalnej stolicy Kerali, gdzie mieści się szkoła Kalamandalam. Po godzinie jazdy krajobraz trochę łagodzi bolesne pulsowanie w mojej głowie: miejscowi uśmiechają się z przydrożnych kramików z palmowym winem, a spomiędzy plantacji kauczuku i palm kokosowych wyzierają okazałe rezydencje zbudowane za pieniądze przesyłane przez trzydzieści procent młodych mieszkańców Kerali, którzy jeżdżą na Półwysep Arabski do pracy na budowie albo w pielęgniarstwie.

Kalamandalam zawdzięcza swoją nazwę tancerce mohinijattam Kalamandalamie Kalianikutty Ammie, która w latach trzydziestych rzuciła rękawicę społecznej dezaprobaty i cenzurze Indii Brytyjskich i założyła szkołę tańca mohinijattam, by odbudować tradycję tego gorącego tańca.

– Wiktorianańska moralność przeszczepiono na indyjską glebę z teologicznym rozmachem – opowiada Wiśwanath – i pociągnęła za sobą bardzo wiele ofiar. Hidźrowie i tawaif (konkubiny) utracili dworski patronat, a przy okazji ucierpiało wiele tradycji muzycznych i tanecznych związanych z tymi grupami. Na przykład: mohinijattam przedstawiano jako taniec dewadasi, świątynnych prostytutek – oczywiście zupełnie bezpodstawnie.

Mohinijattam, który prawdopodobnie ma korzenie w XVI wieku, należy do ośmiu klasycznych form tanecznych uznawanych przez państwową narodową akademię sztuk scenicznych – Sangeet Natak Akademi. Kathakali, inny taniec pochodzący z Kerali, wyróżnia się dramatyczną fabułą, ekspresyjną gestykulacją i malowaniem twarzy jasnymi kolorami, a wykonują go tylko mężczyźni. Mohinijattam skupia się z kolei na solowych występach kobiecych.

Taniec ten ma za zadanie wywołać śringara rasę, jedną z ośmiu ras^[31], czyli emocji, których pobudzeniu służą indyjskie tradycje artystyczne (od hasji, rasy komizmu, przez karunę – smutku, po wirę, rasę bohaterską). Słowo „śringara”, które nie ma odpowiednika w języku angielskim, oznacza coś pomiędzy miłością erotyczną i pięknem. Śringara rasa nazywana jest królem emocji (radża rasa). Sposoby pobudzania tego uczucia w indyjskiej sztuce mieszczą się w przedziale od groteski, choćby przerysowane gesty strachu

i gniewu w keralskiej tradycji teatru świątynnego kudijattam, po znacznie bardziej wyrafinowane i subtelne sposoby ekspresji, na przykład płynną tradycję tańca klasycznego bharatanatjam z Tamil Nadu czy gibkie, wijące się ruchy tańca mohinijattam, porównywane do falujących palm Kerali.

– Tradycję tę Brytyjczycy zdelegalizowali zaskakująco późno, bo w 1925 roku, ale pierwsze oznaki jej końca można było dostrzec podczas pacyfikacji po buncie w 1857 roku – wyjaśnia Wiśwanath.

Kiedy odpoczywamy po podróży w kawiarni w pobliżu szkoły, jedząc idli^[32] z sosem kokosowym, Wiśwanath kontynuuje:

– Dzisiaj taniec mohinijattam jest wskrzeszany jako historyczny gatunek sztuki indyjskiej, jako celebrowanie kobiecości.

Nasz przewodnik ostrzega jednak, abyśmy, podobnie jak w przypadku tradycji dewadasi, nie wiązały tego z emancypacją kobiet.

– Mohinijattam propaguje męskocentryczną wizję kobiety – tłumaczy. – Wiecie, nieśmiała, uległa, kokieterijna, bardzo źle znosząca rozłąkę z silnym kochankiem ucieleśniającym bóstwo, miłość i pana feudalnego. Dostosowanie tych idei do współczesnych potrzeb jest więc dosyć karkołomne. Tradycję tę należy postrzegać przez pryzmat szesnastowiecznego świata, w którym powstała. Tamtymi Indiami rządziły grupy mężczyzn, a niższe kasty służyły przede wszystkim jako źródło rozrywki dla braminów. Mohinijattam to pocztówka z dawnej epoki, aczkolwiek bardzo ładna.

Zamawiamy kolejną tacę idli, a Wiśwanath mówi, że narodziny mohinijattam zbiegły się z przybyciem do Kerali braminów z regionu współczesnej Telangany.

– Pojawili się bramini i zrobili furorę. Stali na znacznie wyższym poziomie intelektualnym. Umieeli liczyć czas i przewidywać pogodę, co Keralczycy odbierali jako znamiona boskości.

Tak jak osiemnastowieczne europejskie dziewczyny wysyłane na naukę dobrych manier albo współczesne Brytyjki, które korygują się chirurgicznie, żeby mieć szansę zostać żoną piłkarza, tak ówczesne młode Induski traktowały uzyskanie mistrzostwa w kobiecej sztuce mohinijattam jako drogę do serca bogatego i wpływowego mężczyzny.

– Dobrowolnie podporządkowywano się pragnieniom i zachciankom braminów – mówi Wiśwanath. – Urodzenie dziecka braminowi było dla kobiety jak błogosławieństwo niebios.

Wiśwanath biegnie do swojego biura, a Dimple i ja podłączamy się do grupy amerykańskich turystów, żeby zwiedzić kampus Kalamandalam. Triśur znajduje się w głębi lądu, daleko od orzeźwiającej bryzy znad Morza Arabskiego, a więc słupek rtęci już o tej porze przekracza czterdzieści stopni. Upał wysuszył gliniastą glebę na jaskrawy czerwonożółty kolor i sprawił, że liście drzew nim i pipal (figowców pagodowych) pozwijały się na znak protestu.

Jest wiosna, więc niedługo zacznie wiać monsun, zapoczątkowując trzymiesięczny okres ulewnych deszczy, dzięki którym ten pełen ogrodów stan się zazieleni. Na razie uczniowie Kalamandalam są zroszeni potem, bo zaczęła się trzecia godzina przedpołudniowych ćwiczeń w porozrzucanych po całym kampusie kamiennych pawilonach bez okien. W jednej z sal dziesięcio- i jedenastoletni chłopcy, z nagimi torsami, odziani w prosty południowoindyjski strój, lungi, wystukują mało skomplikowane rytmy na ludowych bębnach.

– To jest mandalam – mówi Latika, jedna z administratorok Kalamandalam, która nas oprowadza. – Ten tradycyjny bęben zrobiony z drewna chlebowca odgrywa ważną rolę w akompaniamentach do tańca kathakali.

Mijamy salę, w której ćwiczą tylko tancerze kathakali: stoją na jednej nodze, drugą ugiąwszy w kolanie, i wykrzywiają brwi, żeby w przerysowany, niemal kiczowaty sposób oddać emocje typowe dla tej sztuki. Idziemy dalej w głąb kampusu i docieramy do sali makijażu – są tam wszystkie przybory potrzebne artystom keralskiego tańca: pigmenty, kredki i nasiona psianki wkładane do kanalików łzowych, żeby oczy tancerzy wyglądały na przekrwione.

W następnej sali znajduję to, czego szukałam: grupę dwudziestu młodych kobiet, które ćwiczą mohinjattam. Nie mają jeszcze ciężkiego makijażu na oczach ani biało-złoty kostiumów mohini – dhoti^[33] z dżarikar wokół

brzucha i piersi – ani fryzur zaczesanych na jedną stronę i ozdobionych białym kwiatem, ale ich ruchów nie da się pomylić z niczym innym: ciało wyprężone, biodra łagodnie, płynnie falują na boki.

Ruchliwe oczy dziewczyn w jednej chwili wyrażają nieśmiałość, w następnej zaskoczenie, a w jeszcze następnej kokieterię; dłonie przemawiają charakterystycznym językiem migowym – palce złożone w miseczkę symbolizują kwiat lotosu, a złączone palce wskazujący, kciuk i serdeczny oznaczają pawia.

Latika podchodzi do nas i wyjaśnia szeptem:

– To jest Aliveni Enthu Chevyu, jedna z padam, czyli pieśni miłosnych mohinijattam. Skomponował ją maharadża Swathi Tirunal, dziewiętnastowieczny król i ważny patron tej formy sztuki, którą sam uprawiał.

Pytam, o czym jest opowieść.

– Główna bohaterka rozmawia ze swoją serdeczną przyjaciółką, która ma długie, piękne kręcone włosy – mówi Latika. – Zwraca się do niej per Aliveni, co znaczy „podobna do ula”. Mówi: „Co mam robić, skoro mój kochanek z oczami jak kwiat lotosu jeszcze do mnie nie przyszedł? Księżycowa noc, kukanie kukułek, upajający zapach wielobarwnych kwiatów – na co to wszystko, skoro mój ukochany wciąż nie przychodzi?”

Śpiewając tę błagalną skargę, tancerka mohinijattam wpisuje się w wirahotkantita najikę, jeden z ośmiu typów bohaterek opisanych w Natjaśastrze, staroindyjskim traktacie o sztukach scenicznych (z mniej więcej 200 roku p.n.e.). Pieśń ta jest uważana za kwintesencję kobiecej miłosnej tęsknoty. Nasza heroina nie może znieść bólu rozłąki z kochankiem, tęskni i pragnie jego powrotu.

W brutalnej rzeczywistości rozerotyżowanych, a jednocześnie seksualnie zahamowanych współczesnych Indii takie romantyczne historie giną z pola widzenia: Śahdżahan i Mumtaz Mahal (ta od Tadż Mahalu) czy Rama werbujący armię małp do poszukiwań wygnanej Sity (na wypadek, gdyby ktoś nie pamiętał: Sita przeszła przez ogień, aby udowodnić swoją czystość, miała tysiące naśladowczyń, które dokonały samospalenia). Potrafię więc zrozumieć, skąd się bierze atrakcyjność przedstawianych skrajnych emocji.

Opowieści zawarte w Natjaśastrze, o dzielnej bohaterce, która stawia czoło burzom, grzmotom i wężom, gorączkowo podążając o północy za swoim kochankiem, bez wątpienia są bardziej pociągające od zaprzęganía miłości w kierat współczesnego aranżowanego małżeństwa.

Dimple i ja stajemy w rzędzie z grupą tancerek mohini i próbujemy naśladować ich płynne ruchy. Jestem o jakieś trzydzieści centymetrów wyższa od większości dziewczyn, więc z pewnością wyróżniam się z tłumu.

– Wyglądasz jak drzewo kołysane przez monsun, Sally – śmieje się Dimple i dwadzieścia dziewczyn chichocze razem z nią.

Dimple radzi sobie lepiej ode mnie, ale przy wzroście metr sześćdziesiąt trzy jest jej łatwiej chwiać się na komendę.

Kiedy uczennice wychodzą na obiad, Dimple i ja spotykamy się z dwójką dziewczyn na pogawędkę w bibliotece z żywiczną boazerią. Reśma Gopinath ma dwadzieścia trzy lata i przypomina południowoindyjską Vanessę Paradis, z jej kocią twarzą i dużymi, wodnistymi oczami.

– Wybrałam mohinjattam jako sposób wyrażania samej siebie – mówi. – Za pośrednictwem bohaterek uzewnętrzniam własne emocje. Utożsamiam się z ich cierpieniem i łzami.

Siethu Mohan, również dwudziestotrzylatka, kiwa głową tak energicznie, że jej kucyki podskakują jak rozdrażnione węże.

– W mohinjattam trudna jest śringara. Tę emocję trudno wyrazić, jeżeli ktoś nie ma doświadczenia życiowego i miłosnego. Nie mam doświadczeń z seksem i miłością, więc można powiedzieć, że improwizuję – mówi nam.

– Jak improwizujesz? – pyta Dimple.

Mohan się czerwieni i wygląda przez okno, za którym płonie słońce.

– Myślę o tym, jak by to było mieć chłopaka. Nigdy żadnego nie miałam. Ale – dodaje nieśmiało po chwili przerwy – kiedy kogoś poznam, będę wiedziała, co robić... Dojrzewam jako kobieta przez ten taniec.

Naiwność obu dziewczyn kontrastuje z brytyjskim portretem „orientalnych” tancerek jako bezwstydných i wyuzdanych. W XIX wieku, podobnie jak w przypadku bliskowschodniej tradycji tańca brzucha, czyli raks szarki (często zresztą wykonywanego przez kobiety dla kobiet, dla pogłębienia więzi i uwolnienia emocji), granice między indyjskimi formami

tanecznymi i prostytutką były beznadziejnie zamazane. Najsilniej zaznaczało się to w tradycji tańca dworskiego, czyli tańca mudźra.

Ten zmysłowy taniec tawaif wywodzi się z okresu od XVI do XVIII wieku, z czasów imperium Mogołów, kiedy to w dolinie Indusu nastąpiła eksplozja form artystycznych. Na początku XIX wieku mudźra stała się jednak głównym celem moralnej krucjaty Brytyjczyków. Miało to również przyczyny polityczne: spektakle mudźry stanowiły dla buntowników okazję do spotkań, a wiele tawaif aktywnie uczestniczyło w ruchu oporu. Po powstaniu sipajów Brytyjczycy zamknęli wiele domów tawaif, zrywając ciągłość pielęgnowanej przez nie tradycji artystycznej.

Znaczna ich część zaczęła więc zarabiać na życie prostytutką, ale podobnie jak wiele innych dawnych tradycji indyjskich środowisko tawaif przetrwało. W okresie międzywojennym niektóre z nich trafiły do Bollywood, a w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych numery taneczne w stylu mudźra weszły do żelaznego repertuaru filmów w języku hindi. Inne uparcie trzymały się swoich dawnych patronów. Krążą słuchy, że kiedy w latach sześćdziesiątych podjęto próby przekształcenia Lake Palace w Udajpurze w luksusowy hotel, ówczesny regent Bhagwat Singh natrafił na stanowczy opór pałacowych nałożnic.

Oto relacja Didiego Contractora, amerykańskiego konsultanta do spraw wystroju pałacu:

Kiedy objął tron, odziedziczył w spadku wielkie problemy, na przykład co począć z trzystoma tancerkami, które należały do jego poprzednika (Maharany Bhupala Singha). Zaproponował im stypendia, żeby zostały pielęgniarzkami, ale nie chciały wyprowadzać się z pałacu, więc co miał zrobić? Musiał je zatrzymać. Były już wtedy starymi ropuchami i podczas oficjalnych uroczystości tańczyły i śpiewały z opuszczonymi ghunghatami (woalkami), a jak któraś ją podniosła, ukazywała się pomarszczona stara twarz. Miał również około dwudziestu państwowych słoni.

Na innym kampusie, dziesięć minut jazdy od Kalamandalam, spotykamy się z Lilą Mar, jedną z zarządzających szkołą i tancerką mohinjattam od pięćdziesięciu lat. Jej postawa i schludna fryzura budzą skojarzenia

z emerytowaną tancerką baletową.

– Dziewczyny miały rację – mówi. – W mohinjattam chodzi przede wszystkim o grę kobiecością. Jest to ekspresyjna forma tańca, w której bierze udział całe ciało. Jednak nie wszystkie dziewczyny to potrafią. Wiele nie ma odpowiedniego temperamentu, ponieważ mohinjattam dotyczy nie tylko sfery fizycznej, ale również mentalnej. W młodym wieku sprawdzamy więc ich predyspozycje. Ale jeżeli któraś naprawdę żyje tym tańcem, może to być dla niej zbawienie, zwłaszcza w trudnych dziś społecznych realiach.

Kwestię tę poruszamy z Wiśwanathem, kiedy się z nim spotykamy kilka godzin później. Sprawia wrażenie zmęczonego duchotą i upałem, a także, podejrzewam, stertami międzynarodowej korespondencji, która nagromadziła się na jego biurku – jest to świadectwo zainteresowania zagranicznego świata tańca szkołą Kalamandalam.

Wiśwanatha bombardują zresztą nie tylko entuzjaści tańca z zagranicy. Rodzima klasa średnia poświęca coraz większą uwagę i coraz większe środki finansowe na stare indyjskie rodzaje sztuki: kolekcjonują artystyczne tkaniny, wspierają sufickich muzyków i zostają mecenasami indyjskiego tańca. Taniec mudźra to dziś modny dodatek do weselnych rozrywek dla ludzi zamożnych, dzięki czemu najlepsi absolwenci szkoły Wiśwanatha łapią zlecenia na całym subkontynencie.

– Współczesność ma swoje dobre i złe strony – mówi z czołem zroszonym potem. – W Indiach jest teraz więcej pieniędzy, więc ci młodzi artyści, których widzicie wokół siebie, mogą realnie liczyć na to, że utrzymają się z wykonywania swojego zawodu. Będą tańczyli na spektaklach i imprezach dla indyjskich bogaczy. Z drugiej strony ludziom coraz trudniej jest skupić na czymś dłużej uwagę. Giną w tym wszystkim wielkie opowieści taneczne. W moim odczuciu współczesny świat stawia na odgrywanie, a nie przeżywanie emocji. Skutek jest taki, że ciężko pracuję nad podsycaniem dzikich płomieni emocji w tej młodzieży, bo uważam to za swoje powołanie, ale współistnienie dzikich płomieni emocji z telefonami komórkowymi w jednym życiu jest bardzo trudne – podsumowuje.

Lekcje się skończyły i studenci kręcą się po kampusie: chmary dziewcząt chichoczą, chłopcy ćwiczą swoje układy taneczne na kawałkach spalonej

słońcem trawy.

Dimple i ja odnajdujemy naszego taksówkarza i sadowimy się wygodnie na tylnej kanapie przed długą podróżą na południe, z powrotem do Koczinu. Sennymi głosami rozmawiamy o tym, co widziałyśmy w Kerali.

– Wiesz, Kerala, ta kraina plantacji i uśmiechów, ma w sobie coś mistycznego – oznajmia Dimple. – Rozumiem, dlaczego Indusi z północy tak ją uromantyczniają.

– Amerykańscy emeryci też – mówię. – Myślisz, że dlatego tutaj przyjeżdżają?

– Przyjeżdżają z tego samego powodu co ty, gori, białasko – kontynuuje Dimple. – Przyjeżdżają dlatego, że wasze kraje są monochromatyczne, a południowe Indie to technikolor: technikolor w życiu, technikolor w miłości.

Dimple ma rację. W Indiach można się tak wiele nauczyć o miłości i życiu, bo jest tutaj wszystko. Nawet w nowoczesnych Indiach zafiksowanych na dwudziestopierwszowiecznym marzeniu nadal żyją Indie tantry, Kamasutry i okresy brytyjskich rządów, ze wszystkimi wzajemnie sprzecznymi spojrzeniami na miłość, seks i seksualność. Inaczej niż na Zachodzie – gdzie arogancko uznajemy, że nasze życie zawiera w sobie sumę całej ludzkiej wiedzy – tutaj nie ma jednej prawdy. To dlatego Indie są takie kształcące i oczywiście takie cholernie denerwujące.

Zastanawiam się, co mnie jeszcze czeka w tym kraju, patrząc z uśmiechem na Dimple, która przysypia, i szykując się na długą jazdę po wybojach.

ROZDZIAŁ 13

WEZWIJMY DOKTORA MIŁOŚĆ, CENNAJ TURYSTYKA EDUKACYJNO-SEKSUALNA DO MIASTA OGNI

*A serc znawca w miłowaniu
Niech o bydłąt i jeleni
Oraz ptaków gry miłosne
Swe pomnaża poczynania.
Stosowanie tych sposobów
I sympatię kobiet rodzi,
I namiętność, i szacunek,
Dogadzając im i w zgodzie
Będąc z kraju obyczajem.*

Kamasutra, s. 56–57

*Jęcę, kiedy dotykasz pewnych miejsc na moim ciele,
Papuga mnie naśladuje i zanosimy się w łóżku śmiechem!
Mówisz: „Chodź bliżej, moja dziewczyno”,
I kochasz się ze mną jak dzikus, Muvva Gopala,
A kiedy szykuję się do tego, żeby wejść na ciebie,
Jest już rano!*

Kszetrajja, wędrowny poeta piszący w języku telugu, XVII wiek

Po raz trzeci w ciągu niecałej godziny wyłączono prąd. Doktor Reddy pociąga za sznurek żaluzji i otwiera okno swojego gabinetu w Cennaju. Z zewnątrz dobiega nas koncert klaksonów riksza i motorów przed wyłączoną sygnalizacją świetlną.

– Przepraszam, przepraszam, dziewczyny, panie. Widzicie tutaj tragiczną wadę Cennaju!

Planowane i nieplanowane wyłączenia prądu związane z niedoborem

megawatów trapią całe współczesne Indie, ale Ćennaj, gdzie zdarza się to codziennie, cierpi najbardziej ze wszystkich większych indyjskich miast. W miesiącach letnich, kiedy słupek rtęci przekracza czterdzieści stopni i nawet zaprawieni w bojach ze słońcem mieszkańcy spływają strugami potu, przeklinają Ćennaj nazywany „miastem ognia”

Doktor Reddy, czołowy tutejszy seksuolog, na razie znosi zdarzające się wiele razy dziennie przerwy w dostawie prądu z wielką wprawą i zimną krwią.

– Powiedzcie mi, co ja mogę zrobić? No co ja mogę zrobić? Prąd mają pięciogwiazdkowe hotele i dzielnica polityków, a reszta? Pacjenci w szpitalach? *Wah!*

W północno-wschodnim rogu stanu Tamil Nadu – ojczyźnie Tamilów, świecie ostatniej żywej cywilizacji klasycznej i ostatniego żywego klasycznego języka – znajduje się Ćennaj, czwarte co do wielkości miasto Indii. Położony nad wielką, rozmigotaną taflą Zatoki Bengalskiej jest gorący, zabiegany i zatłoczony. To ważny węzeł przesiadkowy, wielu turystów przejeżdża więc przez stolicę Tamil Nadu w drodze do przyjemniejszych miejscowości na południu, inni zostają tu jednak na jakiś czas ze względu na kulturę. Nie powinno to chyba zaskakiwać, ponieważ Ćennaj słynie ze swojej południowindyjskiej klasycznej tradycji muzycznej i tanecznej prezentowanej co roku podczas Margazhi, festiwalu muzyki i tańca, który rozrósł się do rozmiarów jednej z największych imprez kulturalnych na świecie – w sezonie 2012/2013 około tysiąca dwustu wydarzeń przyciągnęło ponad milion widzów spoza miasta.

Są tacy, którzy postrzegają Ćennaj jako miasto konserwatywne: na ulicach widuje się tutaj mnóstwo mężczyzn w lungi i biznesowej koszuli, dzielnice w dawnym rdzeniu miasta są wyznaczone zgodnie z granicami kastowymi, a kupcy w George Town handlują danym towarem na ulicach tradycyjnie z nim kojarzonych. Jednak Tamil Nadu doskonale się czuje również we współczesności. W Ćennaju znajduje się jeden z kilku w Indiach komisariatów, w których zatrudnione są wyłącznie kobiety. To tutaj wygłasza kazania Bharathi, pierwszy w kraju pastor, który zmienił płeć. Ćennaj jest również jednym z czterech największych miast Indii, gdzie

zachowała się jeszcze przestrzeń na rozbudowę, skwapliwie wykorzystywana. Dimple i ja przed południem w dniu przyjazdu wybrałyśmy się na obchód nowego Ćennaju, dwudziestopierwszowiecznych obiektów, które wyrastają wzdłuż brzegu Zatoki Bengalskiej.

To tutaj jest również główny cel naszej podróży: kwitnący przemysł klinik seksualnych dla przyjezdnych. Odwiedzają je Indusi – zarówno pozbawieni zahamowań mieszkańcy metropolii, jak i nieśmiali nowożeńcy – z całego subkontynentu. Część klientów przyjeżdża w reakcji na esemesowy spam: „Smutna żona? Ajurweda przedłuży jej satysfakcję”. Niektórzy odpowiadają na reklamy w prasie ogólnokrajowej, do jeszcze innych dociera fama takich specjalistów jak doktor Reddy.

Doktor Reddy bierze tysiąc rupii (około jedenastu funtów) za pierwszą konsultację w pomieszczeniu o wymiarach trzy na trzy metry w T. Nagarze, południowo-centralnej dzielnicy Ćennaju. Należy do najbardziej rozchwytywanych przedstawicieli tej nowej dyscypliny. Na początku lat osiemdziesiątych skończył medycynę, a potem jako specjalizację wybrał seksuologię. Wyprzedzał wtedy swoje czasy.

– Moi koledzy z medycyny uważali, że zwariowałem – mówi nam z błyskiem zadowolenia w oczach. – Wybierali specjalizację z kardiologii albo chirurgii okulistycznej. Śmiali się ze mnie: „Kto do ciebie przyjdzie po poradę?”, mówili. Bo widzicie, w tamtych czasach przyznanie się do dysfunkcji seksualnej oznaczałoby ciężką stygmatyzację. Dzisiaj oczywiście też jest to sprawa wstydliva, ale ludzie przychodzą. Co prawda dopiero w XXI wieku udało mi się znaleźć kobietę chętną do pracy jako sekretarka!

Wszystko się zmieniło w 1985 roku, po pierwszym indyjskim zgromadzeniu ogólnym na temat seksualności.

– W naszym kraju zaczął wtedy szaleć HIV. Przyjechały światowe media. Indyjska medycyna nareszcie zaczęła mówić o tym obszarze życia, który jest przecież taki ważny. Jeszcze głębsza transformacja nastąpiła pod koniec lat dziewięćdziesiątych – kontynuuje Reddy, przeprosiwszy, że z powodu braku prądu nie może nas poczęstować herbatą. – Punktem zwrotnym był 1997 rok. Indyjskie media zwęszyły wtedy, że seks się sprzedaje. Dostałem

rubrykę seksualną w tutejszym czasopiśmie, którego nakład zwiększył się dzięki temu czterokrotnie, do stu pięćdziesięciu tysięcy. Dzisiaj sprzedaję moje felietony na temat seksu dziewiętnastu tytułom w całych Indiach.

Kiwam głową. Indyjska prasa brukowa od dawna publikowała zdjęcia skąpo odzianych dziewczyn marzących o aktorstwie, ale podczas najnowszych podróży na subkontynent wyczułam pewną zmianę klimatu. Dzisiaj romans indyjskich mediów z seksem krzyczy z każdego pikantnego nagłówka, do pisania o seksie wykorzystuje się każdy pretekst – od niemoralnego prowadzenia się parlamentarzystów, po godne ubolewania obyczaje indyjskiej młodzieży. Niemniej jednak, jak już wspomniałam w kontekście spotkania z naczelną „Cosmopolitan India” Nandini Bhallą, czasopisma stąpają po cienkiej linii: muszą uszanować obyczajowość tego deklaracyjnie konserwatywnego narodu, a jednocześnie zaspokajać jego nieposkromiony apetyt na wszystko, co wiąże się z seksem.

Według Reddy’ego mnogość tekstów dotyczących (rzekomo małżeńskich) łóżkowych rozkoszy bynajmniej nie wynika wyłącznie ze schlebiana upodobaniom czytelników w celu podniesienia sprzedaży. W kraju nieistniejącej albo rudymen tarnej edukacji seksualnej artykuły doktora pełnią funkcję edukacyjną. Ostatnio – jak się dowiedziałam, bezmyślnie przeglądając gazetę „Delhi Metro”, w której po raz pierwszy natrafiłam na jego nazwisko – pisał na przykład o tym, czy jest winą kobiety, że nie udaje jej się urodzić chłopca, albo czy od nocnych polucji można się rozchorować.

– Moje felietony czytają robotnicy, kierowcy autobusów i autoriksz, gospodynie domowe, które kupują używane czasopismo, kiedy idą po warzywa do supermarketu. Dla wielu osób jest to pierwsza – i jedyna – edukacja seksualna. Jeszcze dzisiaj wiele par przychodzi do mnie bez żadnej wiedzy o tych sprawach. Nie mają pojęcia, jak spłodzić dziecko.

To mi przypomina pouczającą rozmowę, którą odbyłam kilka lat temu z pewnym lekarzem w podeszłym wieku. Pan doktor, którego spotkałam na weselu w Londynie, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych pracował jako lekarz rodzinny w katolickiej wiosce w Irlandii. Nad kieliszkiem weselnego szampana powiedział mi, że dwa razy zdarzyło mu się zobaczyć

sińce w okolicach pępka pacjentek, które nie były w stanie zająć w ciążę – ich mężowie w to właśnie miejsce usiłowali wcisnąć swoje przyrodzenie.

Zarówno dla irlandzkich, jak i dla indyjskich par niewiedza nie oznacza błogiej nieświadomości. Doktor Reddy stuka w okładkę swojej książki, która leży przed nim na biurku. Trzy egzemplarze są zaaranżowane jak serwetki na przyjęciu wydanym przez amerykańską panią domu w latach pięćdziesiątych. Tytuł brzmi „Rób to z sensem: podręcznik dla przyszłych małżonków”.

– Z mojego doświadczenia wynika, że młode indyjskie pary potrzebują absolutnie podstawowej wiedzy – mówi. – Nie mogą liczyć na udane życie seksualne, dopóki im nie przekażę podstawowych informacji, które społeczeństwo indyjskie przed nimi ukrywało.

Los wielu młodych Indusów, myślę sobie, musi być podobny do losu wiktoriańskich Brytyjek, które celowo utrzymywano w nieświadomości, czy też licznych niewinnych panien młodych, oziębłych wyłącznie ze strachu. A także o tym, co tłumacz Kamasutry Richard Burton, mówiąc o wspaniałych rozkoszach, które można znaleźć w ramionach „orientalnych” kobiet, ujął tak: „Brytyjki szkolono do nadmiernej delikatności seksualnej, przez co »tam, gdzie potrzebny jest gliniany dzbanek, wyszła porcelana«”.

Doktor Reddy i nowi indyjscy seksuolodzy, którzy umieją poruszać się w świecie mediów, pełnią podobną funkcję jak kiedyś doktor Marie Stopes. Jej przecierająca szlaki książka *Married Love, or Love and Marriage* ukazała się Anglii w 1918 roku. Ponieważ autorka rzeczowym językiem omawiała tam techniki seksualne i funkcje pożycia, w epoce króla Edwarda książka była zakazana jako nieobyczajna, ale później wywołała cichą rewolucję w brytyjskim dyskursie seksualnym, możliwym dzięki szerokim zmianom społecznym.

Dimple, która do tej pory bez słowa słuchała seksualnego raportu Reddy’ego o stanie państwa, nagle woła:

– *Słoneczny patrol!*

– Co? – pytam wyrwana z zadumy i myślę, że może spadł jej poziom cukru. Od przybycia do Ćennaju obżera się dudh peda, tutejszymi słynnymi krówkami, a Grand Sweets w Adyar, gdzie sprzedają najślawniejsze wersje

tych niemiłosiernie słodkich cukierków, to pierwszy adres, pod który udałyśmy się prosto z dworca Ernakulam Junction, natychmiast po wyjściu z ekspresu Guwahati, w którym roiło się od rozjuszonych komarów i regionalnych polityków ze starannie przyszczyżonymi wąsami. Od momentu przyjazdu Dimple mamle ustami z takim samym zapamiętaniem, z jakim ja się drapię.

– Mój były mąż z tego się uczył seksu, ze *Słonecznego patrolu* – wyjaśnia Dimple, zwracając się do doktora Reddy’ego. – To było przed pojawieniem się pornografii na każdej indyjskiej komórce. Ze *Słonecznego patrolu* i filmów bollywoodzkich z lat osiemdziesiątych, gdzie piersi kobiety falują, kiedy z nieśmiałą miną tańczy pod wodospadem albo kiedy podchodzi do niej jakiś brutal z pianą na ustach, a ona szepcze: „*Main waisi ki larki nahi hum*” (Ja nie jestem jedną z takich dziewczyn).

Słoneczny patrol. Wielu indyjskich dwudziesto- i trzydziestolatków pielęgnuje czułe wspomnienia o tym nakręconym w latach osiemdziesiątych serialu o ratowniczkach, który na kanale Starworld India dalej osiąga niezłe wyniki oglądalności. Tak samo zresztą jak odcinki programu Benny’ego Hilla, w których tytułowy bohater pośród brytyjskiego krajobrazu gania za kobietami w bikini (Indusi lubią to sobie puszczać na przyspieszeniu). Siedem sezonów tego programu szło na kanale UTV, z dubbingiem w dziewięciu indyjskich językach.

Dimple zapala się do tematu, a tymczasem włączają prąd: wentylator pod sufitem obraca się o całe trzysta sześćdziesiąt stopni, a potem znowu nieruchomieje.

– Kiedy moje małżeństwo zostało skonsumowane, poczułam się tak, jakby ktoś mnie kopnął albo uderzył pałką do krykieta – mówi Dimple. – Poszturchał mnie, poszturchał mnie członkiem, bez słowa. Zero miłości. Ale skąd miałyby się wziąć miłość? Aranżowane małżeństwo: miłość szturchana.

Jestem zaskoczona. Doktor Reddy najwyraźniej pobudza do zwierzeń. Podejmowałam wcześniej próby dowiedzenia się czegoś o małżeńskim życiu seksualnym Dimple, ale bez powodzenia. Jak wielu ludzi Zachodu zawsze mnie intrygowało, co się dzieje w aranżowanym małżeństwie po zakończeniu uroczystości. Nie bardzo umiałam sobie wyobrazić,

że oczekuje się od kobiety uprawiania seksu z praktycznie obcą jej osobą.

Kamasutra radzi, jak dobry obywatel, który wybrał swoją dziewczyną pannę młodą (po starannym sprawdzeniu, czy jego trofeum nie przejawia takich źle wróżących cech, jak pocące się dłonie, skazy i „krzywe uda”), powinien ją uwieść trzy dni po nocy poślubnej. Po dwóch dniach wspólnych kąpieli i przyozdabiania się nawzajem „przy wtórze muzyki i błogosławieństw”, mówi Watsjajana.

[Mąż] niechaj więc będąc dla niej ujmującym, niczego gwałtownego nie przedsięwzięje. Niewiasty bowiem kwiatom są podobne i nadzwyczaj delikatnie należy sobie z nimi poczynać. Kiedy zbyt gwałtownie są traktowane przez tych, którzy ich zaufania jeszcze nie zdobyli, wtedy znienawidzą zespolenie” (Kamasutra, s. 80).

Natrafiłam również na poruszającą relację indyjskiego pisarza Khushwanta Singha, który mimowolnie stał się świadkiem skonsumowania aranżowanego małżeństwa w nocnym pociągu z Delhi do Bhopalu:

Sari jest bardzo praktyczne. Jeżeli kobieta chce oddać mocz lub kał, wystarczy podnieść strój do talii. Kiedy żąda się od niej uprawiania seksu, wystarczy trochę podciągnąć sari i rozłożyć uda... Wygląda na to, że takie właśnie polecenie otrzymała świeżo upieczona małżonka, pani Saxena. Usłyszałem, że z jej ust dobywa się stłumiony okrzyk: „Hai Ram (O Boże)!” i uświadomiłem sobie, że małżeństwo zostało skonsumowane. Państwo Saxena nie poszli się umyć, tylko przystąpili do powtórki. Kołdra parokrotnie się ześliznęła, ukazując moim oczom oscylujące pośladki profesora i piersi panny młodej, które jej małżonek wysupał z coli (bluzki). Skomlenia dziewczyny i ekstatyczne jęki mężczyzny wybijały się ponad stukot i świst pędzącego pociągu. Rano, kiedy włączyłem światło w przedziale – niezapomniany widok! Profesor pogrążony w głębokim śnie z obnażonymi pośladkami. Pani Saxena również smacznie śpiąca, usta szeroko otwarte, piersi gołe, kobieta wyprężona sztywno na plecach. Ich okulary leżały na podłodze.

Nawet jeżeli uda się przezwyciężyć wzajemną obcość, dla wielu indyjskich nowożeńców z niższych i średnich kast pojęcie prywatności jest równie obce jak pojęcie miłości.

Typowe doświadczenia poślubne opisano mi kiedyś następująco: Para młoda rzadko ma swój pokój, żona nocuje w pokoju z kobietami z rodziny męża, a mąż ustawia ćarpai, plecione łóżko, obok podobnych pościeli swojego brata i ojca. Zdarza się, że teściowa, która nie może się doczekać wnuka, organizuje spotkanie męża i żony, na przykład prosi ją, żeby zaniósła mu kubek mleka, a jej syn wykorzystuje okazję na szybki numererek. Szanse na przyjemny seks bez pośpiechu rzadko się pojawiają.

Wielu młodych indyjskich małżonków nie zdaje sobie sprawy, że kobieta może mieć orgazm, a wiele Indusek zachodzi w kolejne ciąży bez świadomości, że seks może wiązać się z rozkoszą.

Kiedy małżonkowie nareszcie zaczynają mieszkać we wspólnym pokoju, niekoniecznie będą go mieli wyłącznie dla siebie.

– Na Zachodzie mężczyzna żeni się z kobietą, a kobieta wychodzi za mężczyznę – mówi doktor Reddy w odpowiedzi na moje pytanie, jak jego klienci radzą sobie z brutalną rzeczywistością aranżowanego życia małżeńskiego w dwudziestopierwszowiecznych Indiach. My natomiast poślubiamy również rodzinę naszych teściów. Umowę małżeńską zawierają dwie rodziny. Jeśli więc mój syn okaże się niewydolny seksualnie, rodzina jego żony będzie miała o to pretensje do mnie.

Dla większości rodzin – mówi dalej z uśmiechem – jedynym celem małżeństwa jest potomstwo. Jeśli kobieta nie zajdzie w ciążę dwa albo trzy miesiące po ślubie, zaczynają się martwić. „Są jakieś dobre nowiny?”, pytają w kółko. Jak sądzicie: jak to wpływa na życie danej pary? Coś, co powinno być bardzo przyjemną perspektywą, staje się zobowiązaniem wobec teściów. Wiem, że wy, dziewczyny, nie zawsze potraficie się odnaleźć w takiej sytuacji. Ale ja bym od tego już kompletnie oklapł.. Dostrzegam tutaj jedną niezwykłą rzecz – kontynuuje, majstrując przy żaluzji, żeby wpuścić do pomieszczenia trochę światła dziennego. – Dzięki wszystkim tym pieniądzom związanym z „rozkwitem Indii” zaczyna się dziać coś osobliwego: teściowie zaskarżają do sądu rodzinę niewydolnego seksualnie

zięcia.

– Jezu, i co dalej? – pytam.

– Powiem wam, jak to zwykle przebiega – mówi Reddy. – Młodzi się żenią, ale dziecka nie ma, chłopak się nie sprawdza, a dziewczyna mówi o tym rodzicom. Jeszcze kilka lat temu wina spadłaby na dziewczynę, ale dzisiaj w oczach takiej rodziny pojawiają się znaczki dolara. Składają do sądu rodzinnego pozew o separację, argumentując, że chłopak okazał się „wybrakowanym towarem”. Zdarza się nawet, że chłopaka wsadzają do aresztu i ma sprawę karną. Jeżeli zostanie mu udowodnione, że jest oszustem albo gejem bądź że kocha dziewczynę z innej kasty, rodzina młodej żony może liczyć na większe odszkodowanie.

Dimple otwiera szeroko oczy. Reddy zauważa jej reakcję.

– Wiem, wiem, kilka lat temu sam bym nie uwierzył, ale teraz zdarza się to nagminnie. Smutna prawda jest taka, że wielu chłopców rzeczywiście okazuje się homoseksualistami – mówi doktor Reddy, kręcąc ponuro głową. Jego słowa potwierdzają to, co usłyszeliśmy od Manwendry Singha Gohila w Radźpipli. – Ale małżeństwo nadal uchodzi w Indiach za lekarstwo na wszystko. Twój syn mówi, że jest gejem? Dobra, wydaje ci się, że naprawdę jest gejem, ale i tak znajdziesz mu żonę. Małżeństwo go wyleczy! Tylko nie mów jego żonie ani rodzinie. Nie muszą tego wiedzieć: to jest tylko faza w życiu, ciciu, tylko faza w życiu!

Bo widzicie – mówi Reddy po teatralnym zawieszeniu głosu – Indusi uważają, że do małżeństwa należy doprowadzić za wszelką cenę. Jest takie powiedzenie: „Nawet gdybyś miała powiedzieć sto kłamstw, zeswataj ich ze sobą”

Spytałam go, jak leczy skazane na seksualną porażkę pary w kraju, w którym rozwód nadal jest czymś stosunkowo rzadkim.

– Oczywiście nie mogę powiedzieć: „Nigdy wam się nie ułoży, musicie się rozstać”. Słusznie czy nie, otoczenie będzie wywierało na nich presję, żeby wytrwali w małżeństwie. Wiele par przychodzi do mnie z kimś z rodziny, kto również zainwestował w ich małżeństwo. Stąpam po grząskim gruncie. Trzeba jednak powiedzieć, że Indie są w fazie przejściowej. W wyższej klasie średniej, która znajduje się pod silnym wpływem Zachodu, tego rodzaju

postawy już prawie nie występują. Mam nadzieję, że tak samo stanie się z kolejnymi grupami społecznymi.

Doktor Reddy na razie koncentruje się na terapii mówionej, ostrożnie lawirując przez trzęsawisko presji społecznych.

– Mężczyźni przychodzą do mnie zmartwieni, czy staną na wysokości zadania – mówi. – Tylko tym się przejmują. Emocje ich nie interesują, chociaż powinny. Z kolei kobiety przychodzą ze skargą, że mężczyźni nie rozumieją ich uczuć. Można powiedzieć, że prowadzę klinikę śakti, leczącą kobiecie problemy matrymonialne.

Nigdy bym się nie spodziewała, że w takiej scenerii ponownie usłyszę słowo „śakti” oznaczające pradawną kobiecą energię stwórczą. Jego użycie w tym kontekście potwierdza to, co powiedział nam Chullikkad: indyjska rewolucja seksualna będzie miała swój wymiar religijny. Można to jednak interpretować inaczej: starohinduskie pojęcia są stosowane w nowym celu, a mianowicie dla zamortyzowania czy też przybliżenia Indusom zawrotnego tempa przemian.

Pytam Reddy’ego o seksuologię ajurwedyczną. Od przybycia do Indii widziałam wiele reklam oferujących zaspokojenie seksualne dzięki ajurwedzie. Dostawałam też esemesy mówiące o „gwarantowanej erekcji. Zadzwoń na ten numer, ekspert ajurwedyjski”

Reddy wywija oczami.

– Niektórzy z tych ludzi mają dobre intencje, lepsze kliniki niewątpliwie pomagają rozwiązać zachodni problem z rozdzieleniem umysłu i ciała, a przy okazji może też z dysfunkcjami seksualnymi. Szkopuł w tym, że w dziedzinie seksuologii ajurweda to w większości szarlataneria. Mnóstwo ludzi wykorzystuje strach i niewiedzę swoich klientów. Są ajurwedyjni szarlatani, którzy reklamują się na kanałach z muzyką hindi przed północą, a ich produkty zachwala jakiś drugorzędny aktor z Bollywood.

– Co sprzedają? – pytam.

– Oczywiście ja tego nie próbowałem – odpowiada doktor Reddy. – Swoje ajurwedyczne leki sporządzają z przeróżnych proszków, w tym także związków metali ciężkich, takich jak rtęć. Przy odrobinie szczęścia można się załapać na niewielką ilość podróbki viagry dodawanej też do mieszanek

na kobiecą płodność. Viagra jest lekarstwem na wszystko. Życzyłbym sobie, żeby ludzie traktowali ajurwedycznych seksuologów z dużą dozą nieufności, ale mieszkamy w niewiarygodnie łatwowiernych Indiach, więc tak nie jest.

Tego rodzaju szarlataneria i mydlenie oczu jaskrawo kontrastują z edukacją seksualną zalecaną przez Kamasutrę. Oto, co zaleca Watsjajana młodym ludziom obojga płci:

Mężczyzna niechaj bez uszczerbku dla Zaczności i Dobrobytu oraz ich nauk i sztuk pomocniczych studiuje naukę o Miłowaniu wraz z naukami pomocniczymi.

Niewiasta natomiast nim dojrzałą się stanie, a potem, gdy zamężna, niechaj to z przyzwoleniem męża czyni (Kamasutra, s. 21).

Słyszę pukanie do drzwi, które się uchylają, i kobieta w średnim wieku wsuwa głowę do środka. Ma na sobie eleganckie jedwabne sari i pensjonarskie okulary, a tilak na czole jest rozmazany. W sumie kobieta rozczulająco kojarzy mi się z bibliotekarką, która przez pomyłkę sama siebie odłożyła na półkę.

– Klienci czekają, drogie panie – zwraca się do nas Reddy. – Cóż mam wam jeszcze powiedzieć, zanim się pożegnamy?

Nie jestem pewna, czy pytanie to należy potraktować jako retoryczne. Dimple i ja wymieniamy spojrzenia.

– Powiem wam – mówi Reddy sentencjonalnym tonem, pocierając dłonie – jakie mam prognozy na przyszłość... W Indiach bardzo wiele się zmienia... bardzo wiele. Widać to w Bollywood. Pojawiły się komedie miłosne o romansach bez zobowiązań, nowa narracja o związku miłosnym: w wielkich przebojach, takich jak *Mere brother ki dulhan* (Naręczona mojego brata) czy *Rockstar*, pokazywany jest seks przedmałżeński. Oczywiście pary te pod koniec żyją ze sobą jak stare, dobre małżeństwo. Mimo to przekaz jest rewolucyjny: uprawiamy seks przed ślubem i nie widzimy w tym nic złego. To samo dostrzegam w listach, które do mnie przychodzą. Kobiety piszą dzisiaj: „Tak, robię to”. To naprawdę wielka zmiana. Problemem jesteście wy dwie – mówi Reddy, po kolei pokazując na nas palcem.

– Naprawdę? – dziwi się Dimple.

– Tak, wy dwie. A raczej to, że indyjski mężczyzna nie potrafi pogodzić was obu. Nie umie sobie poradzić z okcydentalizowaną indyjską kobietą. Oczywiście ta idea bardzo mu się podoba, kiedy leży w nocy w łóżku z ręką między udami. Ale kiedy przyjdzie co do czego, chce się ożenić z kimś takim jak jego matka, Good Indian Girl. Indyjski mężczyzna jest jakieś dziesięć, może piętnaście lat z tyłu za indyjską kobietą.

Dimple i ja mijamy grupę dorosłych ludzi w pogrążonej w półmroku recepcji. Trzy kobiety w średnim wieku trąkoczą, częstując się zielonymi słodyczami z papierowej torebki. Pomiędzy nimi siedzi bez słowa młoda para.

Zadaję sobie pytanie, czy wiedzą, że w ich kraju szaleje rewolucja seksualna.

ROZDZIAŁ 14

ZA KULISAMI BOLLYWOOD, MUMBAJ BAROWE DZIEWCZYNY I HANDEL CIAŁEM

*Zacząłem regularnie rznąć tubylcze kobiety.
Do perfekcji opanowały miłosne sztuczki i gierki,
potrafią zaspokoić wszelkie gusta, a pod względem urody
i figury żadne kobiety na świecie im nie dorównują...
Nie sposób opisać rozkoszy, jakich zaznałem w ramionach
tych syren. Miałem później Angielki, Francuzki, Niemki
i Polki ze wszystkich stanów społecznych, ale żadna z nich
nie umywała się do tych sprośnych, dorodnych hurys ze Wschodu.*

Kapitan Edward Sellon (1818–1866)

Przejechałyśmy przez koniuszek Indii na zachodnie wybrzeże, do stanu Maharashtra, z żyznymi rolniczymi okolicami Pune, gdzie nadal istnieje bezpruderyjna komuna Osho, oraz Mumbajem, stolicą handlową Indii i najbardziej tętniącym życiem miastem tego kraju.

Dimple i ja przybywamy tu w nieznośnie gorący wiosenny poranek, w paskudnym nastroju, ponieważ na skutek usterki elektrycznej samolotu Kingfisher Airlines spędziłyśmy dwie godziny na rozpalonym lotnisku. Na wczesnym etapie tej udręki pewna starsza pani z Gudżaratu zaczęła się dusić, a stewardesy i pilot wrzeszczeli na zbuntowanych pasażerów, żeby usiedli z powrotem na miejscach. Po półtorej godziny tej niewoli z głośników nagle rozległa się muzyka, *Another Day in Paradise* Phila Collinsa (ten obwód elektryczny najwyraźniej wciąż funkcjonował), i załoga wybuchła niepohamowanym śmiechem.

Kilka dni później miałyśmy się dowiedzieć, że obsługa od miesiąca nie dostawała pieniędzy, a linie lotnicze, kierowane przez osławionego indyjskiego magnata piwnego i playboya Vijaya Mallya, zlikwidowały

połowę tras i firmie groziła upadłość.

W końcu schodzimy na płytę lotniska, od której bije żar, i przedzieramy się przez salę przylotów zapchaną rozradowanymi członkami rodzin pasażerów i taksówkarzy, którzy łapią klientów. Bagażowy domaga się od nas pięćdziesięciu rupii za przeniesienie walizek na oddalony o trzy metry postój taksówek. Wsiadamy do taryfy, klimatyzowanej Kool Cab, za którą zapłaciłyśmy krocie, ale klimatyzacja padła. Jakiś młody człowiek na motocyklu daje mi przez okno kartkę ze swoim numerem telefonu, wykonuje międzynarodowy gest „zadzwoń do mnie”, mruga do Dimple i znika w sznurze pojazdów.

– Witamy w Bombaju – uśmiecha się Dimple, wyraźnie podkreślając nazwę miasta, którego oficjalna nazwa od 1995 roku brzmi Mumbai.

Łądowanie tutaj zawsze trochę przypomina przybycie do Nowego Jorku: nawała agresywnych taksówkarzy, na ulicach ludzie wrzeszczą na siebie tonem zarezerwowanym w Wielkiej Brytanii na błaganie o darowanie życia bliskiemu krewnemu. A może tak wyglądał przyjazd do wiktoriańskiego Londynu, bardziej rozedrganego i plugawego od miasta sportretowanego przez Charlesa Dickensa.

W tym mieście każdy – od ludzi ubiegających się o rolę w Bollywood, po młodych sportowców, tych, co mieliby ochotę zrobić karierę w indyjskiej ekstraklasie krykieta, w której można zarobić gigantyczne sumy – chce przejść drogę „od zera do bohatera”, jak można przeczytać na billboardzie. Mumbai to wielka witryna sklepowa współczesnych Indii. Niezależnie od tego, czy chodzi o władzę, prostytutkę czy kolację, to jest najlepszy adres.

Mumbai wygrywa również w ostrej konkurencji o tytuł mojego ulubionego indyjskiego miasta. Jestem zachwycona jego dynamiką, energią i ambicjami czternastu milionów mieszkańców oraz dziesiątek tysięcy osób, które przyjeżdżają tutaj w każdym miesiącu, żeby zrealizować swoje marzenia. Wielu spośród tych nowych przybyszów trafia do Dharavi, największego slumsu w Azji: milion nędzarzy gnieździ się w nieruchomościach, które należą do najbardziej rozchwytywanych na świecie, a jedna ubikacja przypada na tysiąc czterysta czterdzieści układów pokarmowych.

Dimple i ja mamy to szczęście, że nie zmierzamy ani do slumsów, ani do pełnych turystów dzielnic południowych, lecz do Mumbaju w wydaniu „hi-fi”, czyli do Juhu, najbogatszej dzielnicy miasta, gdzie na miesiąc zakładamy bazę.

Funkcję naszej kwatery pełni czteropokojowe dwupoziomowe mieszkanie, do którego w końcu docieramy po zawilej podróży bocznymi ulicami zachodnich dzielnic. Nasz taksówkarz zastosował technikę nawigacyjną wszystkich mumbajskich taryfiarzy (niezawodnie doprowadzającą mnie do furii), a mianowicie zatrzymywał się na każdym skrzyżowaniu i pytał o drogę, po czym prawie natychmiast się gubił.

Nasze lokum ma wszelkie wygody wymagane od mumbajskiego apartamentowca: umundurowani i uzbrojeni ochroniarze, poranna dostawa gazet, orzechów kokosowych i wszystkiego, czego dusza zapragnie, nieletni służący, którzy śpią na klatce schodowej pośród szcurów wiernie towarzyszących wiecznie trwającym pracom budowlanym. Obejmuje też współlokatorkę, która ma na imię Sanwi. O pierwszej po południu zastajemy ją rozłożoną na sofie, w jedwabnym szlafroku ogląda na kablówce amerykański serial telewizyjny o licealistach.

Sanwi reprezentuje nowy gatunek mieszkańców Mumbaju. Jest młoda, wróciła z zagranicy, odbywszy tę samą podróż jak kiedyś jej rodzice, tylko w odwrotnym kierunku: urodziła się w Nowym Jorku i wróciła do „ojczyzny”, w której nigdy wcześniej nie była, uznała bowiem, że przyda się rozkwitającej indyjskiej gospodarce i robi karierę jako studentka plus modelka plus bywalczyni salonów.

Sanwi ma wszakże jedno poważne zastrzeżenie do miasta, które sobie wybrała, związane z jednym z obszarów, które Dimple i ja zamierzamy tutaj zbadać. Chodzi o reputację Mumbaju jako miasta, w którym handluje się ciałem.

– Dlaczego on to zrobił? One są takie wulgarne – mówi Sanwi kilka dni później, popijając coca-colą pakorę^[34]; z telewizora leci radosny refren piosenki małolatów z musicalowego serialu *Glee*.

Wytrzepuję sen z powiek. Jeszcze nie otrząsnęłam się z szoku, jakim był

dla mnie pierwszy widok, który zobaczyłam po przebudzeniu: wielki czarny kruk odfrunął z parą moich ręcznie wypranych majtek powieszonych na balkonie. Zastanawiałam się wcześniej, gdzie się podziały pozostałe dwie pary. Słuchając Sanwi, wyobrażam sobie, jak moje majteczki wyścielają gniazdo kruka na mumbajskim wysokościowcu.

– Tandetna gadka, tandetne ubranie i wyłażące spod niego obrzydliwe zwały tłuszczu – kontynuuje Sanwi. – Dla mnie te dziewczyny są obrzydliwe, ale dla imigrantów nie. Wiesz co? Facetów to podnieca. Będą mieli za swoje, jak te źdźziry zarażą ich HIV-em albo oskubią, a potem nawet się z nimi nie prześpią.

Tego dnia oburzenie Sanwi wywołały konkretne przejawy plugawości tego miasta. Jej najnowszy eks, magnat medialny, który dzieli swój czas między Mumbaj i Londyn, właśnie został „zbałamucony” (jej interpretacja) przez bollywoodzką laskę z aspiracjami, którą poznał na imprezie nad basenem w Juhu. Sanwi uznała, że jej rywalka należy do licznej kategorii ambitnych dziewczyn z Indii, a ostatnio coraz częściej także z Zachodu, które wylewają się na zachodnie przedmieścia Mumbaju: jest to „szemrana osoba”, która chce zrobić karierę przez łóżko reżysera, zwana też „dziewczyną barową”, co w Indiach oznacza tancerkę/prostytutkę.

Wiele spośród tysięcy nowych przybyszów zaspokaja żarłoczny apetyt tego miasta na ludzkie ciało: ciało do sprzątnięcia mieszkań trzy razy dziennie, do walki z grubą warstwą kurzu, który wpada przez okna z wiecznie zakorkowanych ulic i osiada na wszystkim, oraz ciało do spełniania seksualnych pragnień nowych Indii. Znajduje się tutaj najbardziej znana dzielniczka czerwonych latarni w całej Azji. Poza tym w Mumbaju zaciera się granica między młodymi chłopcami i dziewczynami, którzy marzą o zagranii w bollywoodzkim filmie, a tymi, którzy szukają klientów, żeby szybko zarobić.

Rozmycie granic między tutejszymi salonami i ciemnymi zaułkami dobrze ilustruje przypadek stręczycielki Tiny Umesz Deshpande. Na początku 2013 roku tej czterdziestoczteroletniej kobiecie postawiono zarzut sprowadzania do swego bungalowu modelek z aspiracjami pod pretekstem castingu mody. Na miejscu stręczycielka zmuszała ponoć dziewczyny

do uprawiania seksu z „klientami”, od których pobierała osiemdziesiąt tysięcy rupii od głowy. Proceder ten być może trwałby dalej w najlepsze, gdyby nie pewna dwudziestotrzyletnia modelka, która zgłosiła się na policję i powiedziała, że Deszpande zamknęła ją w pokoju na czterdzieści osiem godzin, kiedy odmówiła uprawiania seksu z dwoma mężczyznami naraz.

W ciżbie ludzkiego ciała – od prostytutek i alfonsów po stręczycielki i uzależnionych od siłowni mięśniaków – dziewczyny barowe stanowią tutaj kategorię najbardziej widoczną i najsilniej piętnowaną. W pierwszej dekadzie naszego stulecia tancerki erotyczne w wersji light stały się synonimem plugawych apetytów miasta, głośno potępianym przez konserwatywne władze stanu Maharashtra i tamtejszą policję. A przecież w porównaniu z zachodnimi klubami ze striptizem ich oferta była całkiem niewinna.

Czerpiąc inspirację z bliskowschodniego tańca brzucha, ale również ze staroindyjskich tradycji tawaif i tancerzy mudźra, dziewczyny barowe podniecały sugestią. Tańczyły z welonami i szarfami, od czasu do czasu odsłaniając niewielkie fragmenty brzucha, pleców i ramion. Czasem dla odmiany wykonywały taniec hidźrów. Mężczyźni siedzieli przy stołach, pili whisky, jedli i gapili się. Co jakiś czas rzucali na scenę banknoty w stronę dziewczyny, która robiła na nich największe wrażenie. Pracownicy przybytku zbierali tę mannę z nieba do pudełek, a po zamknięciu lokalu pieniądze rozdzielano między dziewczyny i szefostwo.

Mimo to mumbajskie dziewczyny barowe stały się celem reakcyjnego politykierstwa konserwatywnych hinduskich nacjonalistów. Punkt zwrotny nastąpił w 2005 roku, kiedy w stanie Maharashtra uchwalono ustawę delegalizującą bary taneczne, rozrywki dla dorosłych i lokale ze striptizem, czyli miejsca pracy większości dziewczyn barowych. W Mumbaju działało wtedy ponad siedemset takich barów (w tym trzysta pięć oficjalnie zarejestrowanych). Zatrudniały one osiemdziesiąt pięć tysięcy tancerek, a niektóre nielicencjonowane lokale pełniły funkcję fasady dla prostytucji, handlu kobietami i sprzedaży narkotyków.

Po wprowadzeniu zakazu część dziewczyn barowych wywieziono do Dubaju. Inne nadal tańczyły w nielegalnych barach, które powstawały

na przedmieściach i na północnych krańcach miasta – należał do nich klub w Juhu, który dostarczył dziewcząt na imprezę basenową z udziałem eks Sanwi.

Dzisiaj akcje policyjne w stanie Maharasztra, przypominające moralizatorską zapiekłością wiktoriańskie Indie Brytyjskie, wybierają raczej inny cel, a mianowicie na mumbajską młodzież odwiedzającą nocne kluby i bary. W 2012 roku Vasant Dhoble, komendant policji, zarządził serię nalotów na bary i nocne kluby. Wiele popularnych lokali zamknięto za rozmaite naruszenia przepisów – od nadmiernej liczby klientów po brak jednej z wielu wymaganych licencji. Dhoble zaczął również egzekwować archaiczną ustawę o prohibicji z 1952 roku, która przewiduje, że jeżeli ktoś chce spożywać alkohol we własnym domu albo w barze, musi uzyskać stosowne pozwolenie i umieścić je w widocznym miejscu.

Wielu młodych mieszkańców Mumbaju w kampanii Dhoble'a widzi nie krucjatę moralną, lecz pierwszą salwę w wojnie między nowoczesną mentalnością a postawami coraz bardziej fanatycznych hinduistycznych tradycjonalistów. W czerwcu 2012 roku, podczas przerwy w deszczach monsunowych, setki młodych ludzi wyległo na plażę w Juhu, żeby zaprotestować przeciwko nalotom zlecanym przez komendanta policji. Wielu ubrało się na czarno na znak żałoby po śmierci nocnego życia w mieście. Inni przynieśli kije hokejowe z napisem „Dhoble, wycofaj się” – aluzja do tego, że komendant miał zwyczaj chodzić na policyjne obławy z kijem hokejowym w garści. Skandowali: „Chcemy być wolni! Chcemy być wolni!”

Przed przyjazdem do Mumbaju Dimple liczyła na to, że nie tylko spotka się z rodziną byłego męża, ale również trochę zaszaleje w najbardziej ożywionej indyjskiej metropolii. Słyszałyśmy jednak o tutejszym „psujzabawie” i rozmawiałyśmy o nim podczas przymusowego postoju na płycie lotniska. Dimple ubolewała nad nowymi antymłodzieżowymi nastrojami, których symbolem są naloty Dhoble'a.

– Hinduska prawica z jej mitem złotej hinduskiej przeszłości doprowadza mnie do szału! – powiedziała. – Wciskają to do głowy młodym i kobietom. Szerzą całą tę propagandę o „tradycyjnej kobiecie” jako matce, strażniczce tradycji, i osobie, bez której rozpadłaby się rodzina. Mój były teść miał gębę

pełną tych frazesów. Ten stereotyp jest tak ograniczający jak tanie sari. Kobieta właściwie ma tylko dwa wyjścia: albo próbuje żyć zgodnie z tym ideałem i wtedy ją aprobują, albo robi ze swoim życiem coś, na co ma ochotę, i wtedy doprowadza Indie do ruiny.

– Bary taneczne pełniły w Mumbaju ważną funkcję – zaczyna Radžendar Menen, urodzony w Ćennaju dziennikarz, który mówi o sobie „zawodowy mumbajski chuligan” – Mumbaj to miasto, w którym robi się interesy – kontynuuje. – W Indiach większość transakcji odbywa się pod stołem i panie barowe to dobry sposób na pozbycie się pieniędzy, których nie można włożyć do banku: brudnych pieniędzy. Te pieniądze trafiały do kieszeni kobiet bez wykształcenia, nieznających innego sposobu zarobienia na życie. Kiedy więc zamknięto bary, tysiące kobiet straciło źródło utrzymania i przeszło do branży seksualnej w najdalszych zakamarkach miasta. Teraz ich jedyną walutą jest seks... A pracownice seksualne szybko wypadają z obiegu. Muszą się jak najprędzej dorobić.

Menen, który pochodzi z rodziny zamożnych Tamilów, ale chciał się usamodzielnić, przyjechał do Mumbaju pod koniec lat osiemdziesiątych z kilkoma rupiami przy duszy, nocował gdzie popadnie i polubił chodzenie po tutejszych ulicach. W latach dziewięćdziesiątych zaczął pracować w ogólnokrajowej gazecie z siedzibą w Mumbaju, zajmował się przede wszystkim prostytutką i kryminalnym półświatkiem. Później pełnił funkcję załatwiacza kontaktów dla organizacji międzynarodowych walczących z epidemią AIDS w Kamathipurze, najstarszej w Indiach (i drugiej co do wielkości w Azji) dzielnicy czerwonych latarni w centralnym Mumbaju.

Nic zatem dziwnego, że Menen, dzisiaj pięćdziesięciolatek, roztacza wokół siebie aurę zahartowanego przez życie człowieka, który wszystko już widział. Spotykamy się o zmierzchu na jednym z jego ulubionych terenów spacerowych: na plaży w Juhu.

Plaża pełni funkcję pasa granicznego modnych północnych dzielnic – krynolina biało-beżowego piasku, który unoszą śmigła samolotów startujących z pobliskiego lotniska międzynarodowego Sahar.

Wieczorami atmosferę panującą w Juhu ożywiają kramiki z herbatą, przekupnie handlujący gigantycznymi balonami i watą cukrową oraz prostytutki spełniające wszelkie seksualne zachcianki: dzieci (sieroty albo nastoletnia młodzież posłana na ulicę przez rodziców), drobne kobiety z Bihar, zniewieściali geje i hidźry. Plaża w Juhu, podobnie jak plaża Girgaum Chowpatty dalej na południe, przez wiele dziesięcioleci należała do miejsc, które chętnie wybierali turyści, ponieważ można tu odetchnąć od natłoku ciał, budynków i jadących zderzak w zderzak samochodów.

Wszystko zmieniło się w listopadzie 2008 roku, kiedy przybiły tu do brzegu motorówki pontonowe z pięćdziesięcioma pakistańskimi terrorystami – przypłynęli z Karaczi i uprowadzili po drodze indyjski trawler. Nafaszerowani kokainą i sterydami, uzbrojeni w bomby zapalające i kałasznikowy urządzili sobie trzydniową orgię zabijania. Zginęło sto sześćdziesiąt sześć osób. Władze indyjskie przypisują ten zamach pakistańskiej organizacji terrorystycznej Laszkar-e-Taiba.

Po tych wydarzeniach rząd indyjski obiecał gruntowną reformę systemu ochrony wojskowej i policyjnej w mieście. Niewielu mieszkańców wierzy jednak w to, że sprawność działania wystarczy, by opanować głęboko wrośniętą w tkankę miasta korupcję. Większość się obawia, że terroryści wrócą i znowu przybiją do brzegu, w związku z tym turyści i miejscowi imprezowicze nie przychodzą już na plażę w Juhu tak licznie jak kiedyś.

– Ale *strugglers*^[35] dalej przychodzą – mówi Menen.

Siadamy na piasku przed rustykalnym kramikiem z herbatą, prowadzonym przez znajomego Menena, żylastego mężczyznę z Uttar Pradeś, który ma na sobie poplamiony biały podkoszulek bez rękawów i dhoti w kratkę.

Zapadła noc, niebo oświetla cieniutki rogalik Księżyca. Morze Arabskie przed nami ma kolor granatowy. Herbata jest potwornie słodka.

– Kto to są *strugglers*? – pytam Menena.

– Chłopcy i dziewczyny przyjeżdżający z małych miasteczek, w których jedyną motywacją do życia są filmy w języku hindi. Mamy w Indiach dwieście sześćdziesiąt milionów analfabetów, pamiętacie? Połowa Indusów sra na świeżym powietrzu, ale czterdzieści siedem procent ma w domu

telewizor. Gromadzą się więc wokół wspólnego telewizora, który daje im to, czego chcą. A chcą Bollywood, umięśnionych torsów i podskakujących piersi. Daje im się Katrinę Kaif z tyłkiem na wierzchu i trzysta milionów chłopców się onanizuje.

A potem? – kontynuuje. – Daje im się marzenia o karierze filmowej. Są zahipnotyzowani. No i przyjeżdżają do Mumbaju, nie mając żadnych kontaktów. Mumbaj jest dla nich okrutny, więc kończą jako prostytutki i żigolaki. Ich uroda więdnie razem z marzeniami. Przychodzą na plażę, żeby spróbować wskrzesić te marzenia, poćwiczyć przemówienia z podziękowaniem za Oscara, a czasem po prostu przenocować na piasku.

Niedaleko nas dwa bezpańskie psy zaczynają energicznie kopulować w zgodnym rytmie. Dimple się wzdryga. Menen uważnie obserwuje czworonogi.

– Psy, kurwy, *strugglers*: wszyscy mają tutaj swoje rewiry – mówi. – Oprócz takich psów są też inne, wykastrowane w celu kontroli populacji. Po wykastrowaniu tyją, tak samo jak hidźrowie.

Dla pracowników seksualnych takie bezksiężycowe noce jak dzisiejsza są najbardziej dochodowe – kontynuuje Menen po chwili milczenia. – Współżyje się bez skrępowania w zaroślach przy plaży. Miejsca jest bardzo mało, więc ludzie podchodzą do tego wyrozumiale.

Mija nas niski mężczyzna z dwoma poszarzałymi rękawicami przerzuconymi przez lewe ramię. Menen pokazuje na niego.

– Widzicie tego mężczyznę? To masażysta, maliśwala. Chodzą po plaży z butelkami olejku i brudnymi prześcieradłami. Kładą je na piasku i masują ludziom stopy albo robią masaż ciała, z olejkiem lub na sucho. Oczywiście oferta jest szersza, jeśli ktoś sobie życzy. Z reguły homoseksualna... W Juhu wszystko jest na sprzedaż.

Menen splota przez zęby w stronę morza jak mafioso okazujący komuś brak szacunku, a potem rzuca opróżnioną plastikową butelkę śladem plwociny. Dostrzega błysk dezaprobaty w moim spojrzeniu.

– Pamiętaj, Sally, że Indusi są pierwszymi i najlepszymi na świecie recyklingowcami. Znam człowieka, który przejdzie potem przez plażę, pozbiera te butelki, sprzeda na wagę i zarobi w ten sposób na dal z ryżem.

– Na nas już czas. Chodźmy – mówi.

Jest jedenasta wieczorem, kiedy Menen, Dimple i ja docieramy do zakazanych rewirów współczesnego Mumbaju. Znalazienie taksówkarza gotowego nas tam zawieźć zajmuje dwadzieścia minut. Większość, zmrużywszy oczy, taksuje nas wzrokiem i szybko odjeżdża.

– Myślą, że jesteście luksusowymi prostytutkami, a ja waszym alfonsem – mówi Menen z uśmiechem, pokazując, jak bardzo podoba mu się ten pomysł. Kamathipura również w starym Bombaju była zakazanym rewirem. W dzielnicy tej, zbudowanej na gruntach osuszonych pod koniec XVIII wieku, początkowo mieszkali robotnicy napływowi z Andhra Pradeś. W drugiej połowie XIX wieku miała już obecny charakter, stała się mianowicie oficjalną „strefą komfortu” dla brytyjskich żołnierzy. W niektórych innych dzielnicach mieszkało więcej prostitutek, ale tutejsze jawnogrzesznice uchodziły za najbardziej egzotyczne.

Jak już wspomniałam przy okazji wizyty w Śimli, w epoce Indii Brytyjskich zwierzchnicy krzywo patrzyli na niższych rangą żołnierzy, którzy się żenili. Władze brytyjskie musiały więc zdecydować, co jest mniejszym złem: zwiększyć kwoty małżeńskie, a tym samym wydatki na zasiłki rodzinne i zakwaterowanie, czy też patrzeć przez palce na „ciężkie grzechy” sodomii i prostytucji, w przypadku tej drugiej związane również z ryzykiem epidemii chorób wenerycznych przywleczonych z prowizorycznych burdeli przy indyjskich bazarach.

Wicekról Elgin uznał, że jedynym rozwiązaniem jest stworzenie pułkowych burdeli. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych uregulował prostytucję w siedemdziesięciu pięciu kantonach i założył dwa tysiące specjalistycznych szpitali, w których leczono prostytutki z chorób wenerycznych, a przede wszystkim powołał korpus pomocniczy wędrownych indyjskich prostitutek, które w pułkowych burdelach, czyli ćaklach, obsługiwały białych żołnierzy. Na początku XX wieku, jak donosił stacjonujący wtedy w Agrze Frank Richards, nie dało się wyjść z koszar, nie otrzymawszy zdrożnej propozycji. Dla wielu mężczyzn seksualne zabawy z indyjskimi prostytutkami stanowiły antidotum na samotność

żołnierskiego życia, a dla niektórych na typ kobiet, z którymi mieli do czynienia w ojczystym kraju.

Cytowany kapitan Edward Sellon nie był bynajmniej odosobniony w swoim upodobaniu do „dorodnych hurys ze Wschodu”. Ten pisarz i tłumacz literatury erotycznej wspomina, że w dziesięcioletnim okresie służby w armii indyjskiej (od szesnastego do dwudziestego szóstego roku życia) wdawał się w związki z indyjskimi kobietami z entuzjazmem małego chłopca, którego wpuszczono do cukierni. W swoich dziennikach i korespondencji chwali ekskluzywne indyjskie kurtyzany za „higienę, ubiór, abstynencję i talenty kobiece”.

W Indiach prostytutka była dużo bardziej prestiżowym zawodem niż w Londynie, stolicy imperium brytyjskiego. Prostytutki azjatyckie, między innymi uległe Induski, a także uchodzące za *crème de la crème* Japonki, były erudytkami i towarzyskimi gospodyniami wyszkolonymi w sztuce miłosnej. W pierwszej dekadzie XX wieku pewna anonimowa angloindyjska prostytutka ogłosiła przejście na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, po trzydziestu sześciu latach służby. Poinformowała, że następnego dnia przez cztery godziny przyjmuje w swoim domu, i ogromne rzesze przyszły jej złożyć wyrazy szacunku.

Ówczesne prostytutki brytyjskie uchodziły za kiepski towar eksportowy (sieć szlaków handlu kobietami oplatała cały świat i powiększyła się po otwarciu Kanału Sueskiego) ze względu na „zdemoralizowany charakter” i nieznamość bardziej wyrafinowanych (to jest oralnych i analnych) tajników zawodu. Z dzienników innego brytyjskiego żołnierza służącego w Indiach, niejakiego G.R., dowiadujemy się, że po opanowaniu „metody indyjskiej” potrafił „otworzyć oczy” białym europejskim kochankom na rozkosze i możliwości seksu. Pod względem poziomu przyjemności relacje między białymi mężczyznami i indyjskimi kobietami nie były jednak symetryczne. Większość Indusek nie ceniła Brytyjczyków jako kochanków, uważała ich bowiem za nonszalanckich i niewrażliwych na potrzeby seksualne kobiet.

Kontrast między wschodnimi i zachodnimi pracownicami seksualnymi dostrzega również Burton we wstępie do lekcji szóstej Kamasutry,

o kurtyzanach (jak już wiadomo, Watsjajana daje tam wysokie noty środowisku kurtyzan w imperium Guptów):

Hindusom zawsze starczało zdrowego rozsądku, żeby uznać kurtyzany za organiczny składnik społeczeństwa ludzkiego, i dopóki te kobiety zachowywały się przyzwoicie i stosownie, traktowano je z pewnym szacunkiem. Nigdy nie zaznały tak rozpowszechnionej na Zachodzie brutalności i pogardy, a pod względem wykształcenia zawsze przewyższały resztę stanu kobiecego w krajach orientalnych.

Sytuacja prostytutek we współczesnych Indiach wygląda zupełnie inaczej.

Ulice Kamathipury zdają się uginać pod ciężarem tej barwnej historii. W nikłym świetle, które sączy się z otwartych bram nędznych niskich budynków, dostrzegam sylwetki drobnych kobiet w sari i nielicznych w zachodnich ubraniach, wreszcie kontury postaci w przerysowanych kobiecych pozach, w których nietrudno domyślić się hidźrów. W ciemnościach ulicy stoją grupki mężczyzn, a kilka zgaszonych kobiet, skąpo odzianych, siedzi na luźnych i sterczących kamieniach krawężnika.

Taksówkarz wysadził nas w pobliżu dworca centralnego, na skraju dzielnicy, więc poruszamy się pieszo. W powietrzu wisi coś groźnego i jestem niespokojna, co nieczęsto mi się zdarza.

– Trzymajcie się blisko mnie – mówi Menen. – Rzadko widują tu białych, nie licząc turystów, którzy gapią się z taksówek i nigdy nie wysiadają, chyba że chcą coś kupić.

– Jak im się udaje namówić taksówkarzy, żeby tu przyjechali? – pytam, bo pamiętam nasze nieudane starania.

– Płacą czterokrotność obowiązującej stawki albo na dworcu centralnym przesiadają się do specjalnej linii, która obsługuje Kamathipurę. W tych taksówkach kierowca toleruje seks na tylnym siedzeniu. Same rozumiecie, że nie przepadam za jeżdżeniem na tylnych siedzeniach tych aut.

– Ile biorą te dziewczyny? – pyta Dimple ścisłym tonem.

– W dzisiejszych czasach sto rupii. Cena poszła w dół po wybuchu epidemii AIDS. Pomyślcie tylko: to mniej niż kawa w lepszej dzielnicy. Koło

Domu Kongresowego po drugiej stronie miasta liczą sobie więcej. Tamtejsze dziewczyny pochodzą ze starych rodów tawaif albo mają bardzo jasną skórę; z reguły mówią po angielsku. Przedsiębiorca może zabrać kongresówkę na imprezę u swojej dziewczyny. prostytutka policzy mu za tę usługę do dziesięciu tysięcy rupii. Kamathipura to zupełnie inny świat.

– Czy epidemia AIDS jest już pod kontrolą? – pytam.

– Władze przebiły się z informacją, że HIV jest groźny – odpowiada Menen. – Dziewczyny wymawiają to „AIDSii”. Pytam je: „Uprawiacie seks bez prezerwatywy, jeżeli mężczyzna wygląda higienicznie?”, a one stanowczo odpowiadają, że nie, bo wiedzą, że AIDSii nie widać.

W reporterskich czasach zdarzało mi się nocować w jednym z burdeli przy tamtej ulicy – kontynuuję, pokazując na wąską ulicę zaraz po prawej. U jej wylotu stoi dziarski niski mężczyzna i pali papierosa Kretek^[36] o silnym zapachu, wsuniętego między ostatnie dwa przednie zęby. – prostytutki, i w ogóle wszyscy Indusi, których życie jest ciężkie, mają to do siebie, że dadzą ci swój ostatni placek. Na tej ulicy pracowała pewna dziewczyna, będę ją nazywał Sumitra. Nie potrafiła zliczyć, ile razy przyłożono jej żyletkę do gardła. Jeden klient obciął jej sutek... A jednak ugotowała mi smaczny domowy posiłek, w małej kuchni za łóżkiem, na którym obsługiwała klientów. Pożyczyłaby mi ostatnie pięćdziesiąt rupii, gdybym potrzebował. Rozpłakałem się z wdzięczności.

– Jak tu trafiła? – pytam, kiedy idziemy za naszym przewodnikiem na lepiej oświetloną główną ulicę zastawioną taksówkami, których kierowcy są pogrążeni w rozmowie.

– No cóż, Sally – mówi Menen – historia większości dziewczyn z Kamathipury jest taka sama. Dziewczyna przyjeżdża tutaj z niczym. Zostałaby zgwałcona w wieku dwunastu lat, najczęściej przez członka rodziny, gdyby nie była mężatką, więc wydaje się ją za mąż w jeszcze młodszym wieku, bo wtedy przynajmniej dziecko jest z prawego łoża.

Kiedy ma piętnaście lat – ciągnie – dwudziestoletni mąż ją porzuca i wyjeżdża do innego miasta, żeby poszukać pracy albo się wyszumieć. Zostawia ją bez pieniędzy i z dzieckiem na utrzymaniu. Zatem co robi taka dziewczyna? Zostaje prostytutką, najczęściej w wielkim mieście, gdzie nikt

jej nie zna. Dziecko zostawia matce i posyła jej całe zarobki. Mówi sobie, że będzie to robiła przez kilka lat, aż uzbiera dostatecznie dużo pieniędzy, żeby wrócić do rodzinnej miejscowości i założyć interes albo znaleźć męża. Nic z tego jednak nie wychodzi. Dziewczyna więc zostaje w Kamathipurze na dobre. Jej dziecko nie zna matki. Ona oczywiście zarabia coraz mniej, ściga się z tykającym zegarem swojej więdnącej urody.

Kolejną zmorą tych zdesperowanych dziewczyn, podobnie jak indyjskich ofiar gwałtu, jest trudność z uzyskaniem sprawiedliwości w tym do cna skorumpowanym państwie. Weźmy na przykład anonimową skargę indyjskiej prostytutki, która ukazała się na łamach „Hindustan Times” po demonstracjach przeciwko gwałtom w 2013 roku:

Wielu moich najbardziej okrutnych napastników wywodzi się spośród mężczyzn w mundurach. Tak, gliniarze, którzy szantażem wymuszają od nas łapówki, żebyśmy mogły pracować jako prostytutki. Odmowa ich zaspokojenia oznacza lathti (pobicie pałką), kopniaki w usta, wyzwiska i w końcu gwałt... Gliniarze gwałcili mnie w parkach, a nawet w aresztach. Są tacy, którzy mnie zatrzymują na ulicy i żądają szybkiego seksu oralnego. Nawet kiedy wychodzę z domu, żeby załatwić jakąś osobistą sprawę, domagają się seksu. Wszelki opór kończy się wyzwiskami i pobicie. Czasem próbuję uciekać. Jednego ugryzłam w rękę, żeby mnie puścił.

Menen prowadzi nas do starej herbaciarni pełnej kierowców autoriksza. Wszyscy mają na sobie mundurki w postaci koszul i spodni z beżowego poliestru, aczkolwiek niektóre stroje przechodzą w odcień kremowy. Wwierca się w nas czterdzieści par oczu.

Właściciel, muzułmanin w średnim wieku z bujną, ufarbowaną henną brodą, zrywa się na nasz widok i brudną szmatą wyciera stół.

– I co się z taką dziewczyną potem dzieje? – pytam Menena. – Kiedy jej uroda zwiędnie?

– Jeżeli jest przedsiębiorcza, to zostaje burdelmamą – wyjaśnia. – Niektóre dziewczyny zatrudniają się jako sprzątaczkę w burdelach. Wiele umiera na różne choroby, nie tylko weneryczne: w Kamathipurze jest wielki problem z gruźlicą. Nieliczne szczęściary wychodzą za mąż za klienta. Kiedy

pracowałem tutaj dla zagranicznych organizacji charytatywnych, kilku facetów z USA i Europy ożeniło się z prostytutkami. Jestem w kontakcie z dwoma takimi małżeństwami. Ogólnie rzecz biorąc, są szczęśliwi.

Unosi palec wskazujący, sygnalizując właścicielowi, żeby przyniósł nam trzy filiżanki ćaju.

– Herbata kosztuje dzisiaj dziewięć rupii, a kiedyś kosztowała pięć – mówi. – W ciągu pięciu lat podróżowała o cztery rupie... Niesamowite Indie, co?^[37]

Wszyscy dalej się na nas gapią, nie licząc mężczyzny przy sąsiednim stoliku. Ma unieruchomione prawie ramię, czterema złączonymi palcami nabiera dal, używając połówki ćapati^[38] do nagarniania ryżu.

Rudobrody mężczyzna podaje nam herbatę, z hukiem stawiając kubki na stole. W kącie na drugim końcu sali zauważam dwóch młodych mężczyzn z ogolonymi głowami i pytam o nich Menena.

– To marynarze – mówi, hałaśliwie siorbiąc ćaj. – Gdyby ich zwierzchnicy się dowiedzieli, że są w Kamathipurze, mieliby spore kłopoty. Widzicie, gapią się na was. Powiedzieć wam, co sobie myślą? Myślą tylko o tym, że strasznie chcieliby was zerznąć. Kobiety tego nie rozumieją. Młodzi mężczyźni mają w spodniach węża i nie potrafią myśleć o niczym innym. Ja też tylko o tym myślałem przed czterdziestką. To robi z nas imbecylów. Nie potrafimy normalnie funkcjonować. Więc dlaczego indyjskie rodziny traktują młodych mężczyzn jak bogów? Przecież to imbecyle!

Naszą uwagę stara się teraz przyciągnąć hidźra za oknem kawiarni, długonoga i pewna siebie. Na jej poblížnionej twarzy spod warstwy żółtego makijażu przebija gruba warstwa kurzu.

– Widziałem kiedyś kastrację hidźry w jednym z tutejszych burdeli – zwierza nam się Menen. – Zabieg wykonują dai mas, nestorzy eunuchów.

– Zawsze chciałam się dowiedzieć, jak to wygląda – mówi Dimple.

Ja też zawsze chciałam się dowiedzieć, ale kiedy Menen zaczyna relację, nie jestem już taka pewna, czy mam ochotę tego słuchać.

– Pacjent przez dziesięć dni pości i modli się do bogini Amby. Kastrację wykonuje się jedenastego dnia rano, uczestnicy ceremonii stoją nadzy. Zabieg jest prymitywny: trochę alkoholu, ale bez znieczulenia. Penis i jądra

odcina się nożem albo czarną jedwabną nicią, a potem zalewa się ranę rozgrzanym olejem, żeby zatamować krwawienie. Do wylotu układu moczowego wsuwa się patyczek z drzewa nim, żeby rozszerzyć otwór, i wlewa rozgrzany olej. Brzmi to makabrycznie, ale ten rytuał ma w sobie pewne duchowe piękno. Jest trochę jak poród dziecka. Szóstego dnia po zabiegu eunuch dostaje nowe imię.

Przez dłuższą chwilę siedzimy w milczeniu i przetrawiamy to, co usłyszałyśmy.

– Wyglądacie na przygnębione, dziewczyny. Mnie te realia życia już nie przygnębiają – mówi Menen. – Parę lat temu czytałem wywiad z Madonną. Jako nastolatka pieprzyła się dla pieniędzy, dla kariery, żeby wkręcić się w towarzystwo bogatych facetów. Nie wstydziła się do tego przyznać. Czym jest większość indyjskich małżeństw, jeżeli niezalegalizowaną prostytutką? W Indiach tylko największe szczęściary stać na luksus wstydu. Na całym świecie to wygląda tak samo.

Po chwili dodaje:

– Pociągami w Mumbaju jeździ osiem milionów ludzi dziennie, z czego milion zarabia na życie seksem. Tak to już jest...

ROZDZIAŁ 15

MIŁOŚĆ W CZASACH FACEBOOKA, MUMBAJ NAJBARDZIEJ ZAPRACOWANI SWACI ŚWIATA – I INTERNETOWY DETEKTYW SEKSUALNY

Rolę posłańca natomiast niechaj spełnia ktoś taki, kto dla obojga wspólnym będzie posłem i kto jest dla obojga jednako ujmujący, lecz komu szczególnie ufają bohaterki.

A oto i cnoty posłańca: wymowny, wytrwały, znawca psychologii, przebiegły, rozważny, o szybkim refleksie i zaradny.

Kamasutra, s. 32–33

Tydzień później jesteśmy umówione z mieszkańcem Mumbaju, który odwiecznym towarem miłości i żądzą handluje na skalę globalną. Dimple jest podekscytowana perspektywą poznania człowieka, który kieruje matrymonialną stroną internetową Shaadi.com (śadi w języku hindi oznacza ślub).

– Moje młodsze kuzynki z niej korzystają – mówi mi przejętym tonem.

Jedziemy taksówką w porze szczytu, mozolnie przebijamy się na południe półwyspu w codziennej kawalkadzie zderzak w zderzak.

Młody, bosy handlarz przyciska się do szyby – najniższy szczebel przedsiębiorczości w tym narodzie biznesmenów walczących pazurami o swoje. Z uśmiechem zauważam, że handluje pirackimi kopiami autobiografii Steve’a Jobsa.

– Ja miałam niewiele do powiedzenia przy wyborze męża – kontynuuje Dimple. – Ale moje kuzynki, dziesięć czy piętnaście lat młodsze, wszystko mogą załatwić same. Mówią do matki: „Ammi, mamó, znajdziemy dobrego, swojskiego chłopaka, inżyniera; znajdziemy go na Shaadi”, i matka się

zgadza, ponieważ nie umie korzystać z internetu, a swatki odchodzą do lamusa, więc córka może sama o sobie decydować po raz pierwszy od... tysiąca lat.

Anupam Mittal, twórca Shaadi.com, mówi nam:

– Dobre dziesięć lat temu prześcignęliśmy ogłoszenia w gazetach, wiejskie swatki i panditów, uczonych, znawców hinduizmu.

Z tym światowcem i zadeklarowanym kawalerem spotykamy się w położonych w centrum Mumbaju biurach People Interactive, mieszczących także siedzibę portalu z poradnictwem seksualnym ShaadiTimes, serwisu społecznościowego Fropper.com i serwisu astrologicznego Astrolife.com.

Perłą w koronie tego dochodowego portfela usług społecznościowych jest jednak Shaadi.com. Mittal stworzył tę stronę w amerykańskim akademiku w połowie lat dziewięćdziesiątych. Dzisiaj kontroluje czterdzieści procent wartego miliard dolarów rocznie indyjskiego internetowego przemysłu matrymonialnego, a liczba skojarzonych za jego pośrednictwem par z południowej Azji wynosi już dwa miliony.

– Pod pewnymi względami młodzi Indusi chcą tego samego co zawsze – mówi Mittal. – Chcą małżeństwa, które jest połączeniem dwóch rodzin... – Ale pod innymi względami my, Indusi, zmieniliśmy się nie do poznania. Jest coraz więcej małżeństw, w których ludzie co prawda poznali się za czyjś pośrednictwem, ale się kochają. Indyjskie kobiety nabierają pewności siebie. Może nie chodzą na podryw do barów, ale chcą mieć coś do powiedzenia przy wyborze małżonka. Internetowe pośrednictwo to ułatwia. Wcześniej miejscowa swatka znajdowała im męża spośród garstki lokalnych kandydatów, a teraz mogą przebierać w gigantycznej palecie potencjalnych towarzyszy życia z całych Indii... z całego świata.

Według najnowszych dostępnych danych, z 2011 roku, czterdzieści dwa procent z czterdziestu pięciu milionów indyjskich internautów było zarejestrowanych na portalu matrymonialnym – od rynkowych liderów Shaadi.com i BharatMatrimony.com po bardziej ezoteryczne oferty zaadresowane do spragnionych miłości eunuchów czy żyjących w celibacie osób, które złożyły śluby brahmaćarii. Przypomina to internetową rewolucję

randkową na Zachodzie – na przykład według danych statystycznych za 2011 rok co piąte małżeństwo zawarte w Wielkiej Brytanii poznało się przez internet. Dla wielu Indusów swaty online stanowią pierwszy kontakt z internetem, dla innych, doświadczonych użytkowników ze środowisk emigracyjnych w Wielkiej Brytanii i USA, portal Shaadi jest wygodnym sposobem znalezienia swojskiej, tradycyjnej panny młodej.

Mittal przekręca monitor komputera i przewija obraz w dół, żebyśmy mogły zobaczyć najnowsze wpisy na jego portalu: seria męskich głów z jasnymi oczami i niepewnymi uśmiechami.

– Fascynujące jest to – mówi – jak wiele można wyczytać z preferencji poszczególnych środowisk. Na przykład bramini z wiejskiego Tamil Nadu szukają bratniej duszy wyłącznie pośród tamilskiej kasty bramińskiej, podczas gdy Indusi z wielkich metropolii poszerzają swoją gamę upodobań. Widzimy tutaj, jak ukształtowane tysiące lat temu skostniałe preferencje kastowe zaczynają się kruszyć.

Prawdziwym znakiem czasów jest jednak malejący popyt na Indusów mieszkających za granicą.

– We wczesnym okresie istnienia Shaadi.com mężczyźni z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych nadal byli rozchwytywanym towarem. Wszystkie dziewczyny chciały wyjść za lekarza mieszkającego w Anglii albo inżyniera z Kalifornii. Dzisiaj już tego nie widać. Skoro przyszłość jest w Indiach, to dlaczego młoda dziewczyna miałaby chcieć zostawić rodzinę i wyjechać za granicę? Mówiąc reklamowym żargonem, bycie emigrantem utraciło status USP^[39].

Żeby móc sprawnie poruszać się w tym kłębowisku sił rynkowych i preferencji kulturowych, Mittal wyszkolił zespół ekspresowych swatów, którzy muszą mówić co najmniej trzema indyjskimi językami i nadążać za zmieniającymi się jak w kalejdoskopie gustami klienteli Shaadi.com. Teraz prowadzi mnie przez labirynt boksów na spotkanie z czterdziestokilkuletnią Gajartri Kapur, należącą do grona najbardziej doświadczonych kupidynów ery internetu, przyjazną, mamuśkowatą kobietą w okularach z grubymi oprawkami.

– Dostaję gęziej skórki od tej roboty – mówi mi, kiedy ją pytam, jak trafiła

do tego niezwykłego dwudziestopierwszowiecznego zawodu. – Dla wielu klientów staję się częścią rodziny. Zapraszają mnie na tyle ślubów, że straciłam rachubę. Ale tak naprawdę to trudna praca. Muszę być terapeutą i antropologiem w jednej osobie. Dzisiaj rano spędziłam godzinę na zdobywaniu wiedzy o wierzeniach pewnego odłamu nieogolonych sikhów w Pendżabie. Czasem klientów rejestrują rodzice, którym muszę cierpliwie tłumaczyć, na czym polega internet.

Indyjscy rodzice rzeczywiście mają powody, żeby się martwić konsekwencjami rozkwitu tego nowego, wspaniałego medium matrymonialnego. Z opublikowanego w 2012 roku raportu amerykańskich badaczy wynika, że co trzeci profil na portalach randkowych jest fałszywy, a kolejna jedna trzecia zawiera nieprawdziwe informacje. Rozwój produktu Shaadi.com, uważa Mittal, w dużym stopniu jest nakierowany na wyłapywanie fałszywych albo nierzetelnych profili.

Z badań wynika jednak, że instynktownie ufamy poznanym przez internet osobom. Amerykanie ustalili, że skojarzone w ten sposób zachodnie pary zamieszkują razem średnio po siedmiu miesiącach znajomości, podczas gdy ludzie, którzy poznali się inaczej, potrzebują na to przeciętnie osiemnastu miesięcy. Być może z tego samego powodu związki te szybciej się rozpadają: średnio po zaledwie ośmiu miesiącach.

Pytam Mittala, na co najczęściej narzekają użytkownicy SHAADI.COM.

– Dziewczyny podają, że są nowoczesne, ale swojskie, że mają białą albo pszeniczną cerę – odpowiada. – Mężczyźni w internecie są oczywiście zawsze o kilkanaście centymetrów wyżsi niż w realu, a ludzi z doktoratami jest więcej, niż ich wypuszczają indyjskie uniwersytety. Nie wiedzą jednak, że stosujemy skomplikowane algorytmy weryfikujące i jeżeli na przykład mamy gwałtowny przyrost liczby Indusów o wzroście ponad metr osiemdziesiąt, to wiemy, że coś jest nie w porządku.

Oprócz rozprawienia się z kłamliwością, która najwyraźniej pleni się zarówno wśród wschodnich, jak i zachodnich użytkowników portali randkowych, Mittal stawia sobie za cel unowocześnienie przestarzałych praktyk matrymonialnych.

– Posag nadal jest w Indiach wielkim problemem – kontynuuje. –

Oficjalnie praktyka egzekwowania dużego posagu w większości stanów jest nielegalna. Kilka lat temu mieliśmy lawinę nagłośnionych przypadków morderstw na tym tle – mężczyźni zabijali żony kilka miesięcy po ślubie, kiedy już przejęli posag. Wiele stanów zdelegalizowało wtedy duże posagi albo w ogóle zakazało tej praktyki. Oczywiście zwyczaj ten nadal się utrzymuje, a jego konsekwencje bywają drastyczne: zabijanie noworodków płci żeńskiej, jeśli rodziców nie stać na posag, albo bankructwo rodziny z powodu czterokrotnego wzrostu ceny złota^[40].

Mimo delegalizacji praktyki posagu przestępstwa na tym tle są w Indiach na porządku dziennym – szacuje się, że od dwudziestu pięciu tysięcy do stu tysięcy kobiet rocznie traci życie z powodu sporów o posag. Wiele jest palonych żywcem – ta makabryczna forma odwetu celowo przywołuje praktykę sati, rytualnego samospalenia wdowy na stosie pogrzebowym męża.

Na początku 2012 roku Shaadi.com wymyśliło nowatorski sposób rozwiązania tego problemu. Stworzyło grę zatytułowaną „Angry Brides”, czyli Wściekłe Panny Młode, zainspirowaną przez kultową grę facebookową „Angry Birds”.

– Gra się w nią tak samo, przez Facebook – mówi Mittal. – Gracz kontroluje wieloramienną pannę młodą, która może rzucać butami, warzywami, a nawet nożami w mężczyzn domagających się posagu. Superzabawa!

Zanim Dimple i ja zostawimy Mittala i Kapur z ich ponad czterdziestoma milionami samotnych serc, pytam, jak w największym indyjskim w sklepie z miłością wyceniono by mnie, mierzącą prawie metr osiemdziesiąt trzydziestoparoletnią białą kobietę w stanie wolnym.

Kapur uśmiecha się kącikiem ust.

– Jako panna miałabyś oczywiście problem z wiekiem. No i ten wzrost... Może rozwodnik z któregoś dużego miasta?

– To zależy – śmieje się Dimple – jakie piecesz ćapati.

Jedziemy na spotkanie z kolejną postacią, z kimś, kogo mogły stworzyć tylko problemy, jakie współczesne Indie mają z miłością i żądzą.

Wikas Śarma od wielu lat pracuje jako prywatny detektyw dla firmy ochroniarskiej Topsgroup z siedzibą w Mumbaju, porusza się w rewirach, których nie obejmują algorytmy Anupama Mittala. Śarma jest pierwszym indyjskim „detektywem miłosnym”, jak to sam nazywa – zarabia dobre pieniądze na weryfikowaniu prawdziwości ogłoszeń indyjskich swojskich dziewczyn i ich nad miarę wysokich absztyfikantów.

– Przez kilkanaście lat zajmowałem się normalną robotą detektywistyczną – wyjaśnia Śarma przy kawie w Saharze, hotelu dla biznesmenów w pobliżu międzynarodowego lotniska. – Pracowałem głównie dla przedsiębiorstw, śledziłem pracowników podejrzewanych przez szefów o jakieś machlojki. W pierwszej dekadzie XXI wieku zacząłem dostawać zlecenia matrymonialne, najczęściej od rodziców, którzy chcieli sprawdzić potencjalnego zięcia, czasem od samych młodych.

Śarma milknie, kiedy kelner nalewa trzy kawy z parującego dzbanka, a potem podejmuje przerwany wątek:

– W tamtych czasach śledziłem gościa z Pune zaręczonego z dziewczyną z Mumbaju. Poznali się przez internet, on się przedstawiał jako rzutki biznesmen i kilka razy spotkał się z nią w Mumbaju, w towarzystwie jej rodziców. Zabrał ich do dilerów samochodowych i wypisał czek na zaliczkę na mercedesa. Następnym razem wykonał taki sam numer z luksusowym mieszkaniem – pokazał je narzeczonej i znowu wypisał czek na kilkadziesiąt tysięcy rupii. Problem w tym, że czeki okazały się bez pokrycia. Dowiedziałem się tego od dilerów i agencji nieruchomości, a potem przez dwa tygodnie śledziłem faceta w Pune. Szukał kolejnych dziewczyn z dużym posagiem na spłatę hazardowych długów.

– Upatrzył sobie trofeum – śmieje się Dimple. – To bardzo stare zjawisko w indyjskich stosunkach matrymonialnych, jak by panu powiedziała moja matka.

– Zgadza się – mówi Śarma – ale nie sądziłem, że aż tak częste. Od 2010 roku biorę głównie sprawy matrymonialne i w osiemdziesięciu procentach przypadków się okazuje, że podejrzliwość zleceniodawcy była uzasadniona. Najczęściej mężczyzna kłamie na temat swojej pracy albo wykształcenia. Czasem kobieta zataja to, że jest rozwiedziona.

Za honorarium w wysokości stu dolarów Śarma proponuje klientom pakiet śledczy, który obejmuje kwerendę internetową, staroświeckie śledzenie delikwenta i dokumentację fotograficzną. Jak można przeczytać w reklamach jego firmy, Śarma obiecuje zbadanie „reputacji społecznej, sytuacji rodzinnej, zawodowej i zdrowotnej, nałogów, wykształcenia oraz rozwiązanych/nierozwiązanych małżeństw”

Kawa wypita, a Dimple ma zamyśloną minę.

– W czasach mojej mamy w okolicy była bardzo dobra swatka – mówi Dimple. – Zeswatała moich rodziców i dziadków i zawsze dbała o to, żeby wiedzieć o wszystkich brudnych sprawach. Krążyły pogłoski, że przeglądała śmieci rodzin, które połączyła.

– Rzeczywiście na moją pracę można spojrzeć tak jak na pracę dawnych wioskowych swatek – odpowiada z uśmiechem Śarma. – To jest to samo, tylko na większą skalę. Ja też potajemnie grzebię w śmieciach w poszukiwaniu brudnych sekretów Indii.

Kiedy go zostawiamy i jak co dzień przystępujemy do negocjowania ceny przejazdu z kolejnym biznesmenem w tym rozpędzonym supernowoczesnym mieście, rozmyślam o namalowanym przez Śarmę portrecie nowego internetowego związku. Świat nowych mediów niewątpliwie upodmiotawia młodych Indusów, którzy po raz pierwszy w dziejach mogą samodzielnie wyszukać sobie kandydata na małżonka. Z drugiej strony jest to również świat elastycznych, a czasem po prostu fałszywych tożsamości internetowych, czyli raj dla oszustów naciągających samotnych, czasem zdesperowanych ludzi, którzy miłości szukają online.

Pełne konsekwencje tego zderzenia wirtualnego i realnego życia miłosnego dopiero się ujawnią, zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie. Nie prędzej niż w następnym pokoleniu zrozumiemy skutki zmiany matrymonialnego paradygmatu, odczujemy wpływ usieciowionego świata na nasze sposoby wyrażania miłości i zaspokajania żądz.

Być może jednak są powody do optymizmu w związku z tym równoległym wszechświatem zamieszkanym przez kameleony i stęsknione za miłością dusze. Według badań, które w 2005 roku przeprowadziła Jennifer Yurchisin z Uniwersytetu Stanowego w Iowa, zatytułowanych

Identity Recreation via Internet Dating, czyli „Przebudowa tożsamości poprzez randki internetowe”, to, że portale randkowe często robią z nas kameleony, ma swoje zalety. Yurchisin pisze:

Wiemy, że w porównaniu z konwencjonalnymi metodami internetowe usługi randkowe słabo się sprawdzają w tworzeniu stałych związków. Okazuje się jednak, że popularność serwisów randkowych w znacznym stopniu wiąże się z samym procesem tworzenia profilu i późniejszej wymiany korespondencji. Dzięki uwypuklaniu pewnych aspektów naszej osobowości możemy się dowiedzieć, kim jesteśmy – a także, kim możemy się stać.

ROZDZIAŁ 16

DZIESIĘĆ TYSIĘCY WIELKICH, TŁUSTYCH INDYJSKICH WESEL MUMBAJ I NIE TYLKO...

Pojęcie miłości romantycznej wzniosło nieprzebyte bariery między nami a klasyczną przyszłością czy orientalną teraźniejszością.

C.S. Lewis, The Allegory of Love

*Jakie są grzechy mojego rodu, Ukochana,
Czym jest mój lud dla ciebie?
Czym zaś są twoje świątynie, czym są twoi krajanie,
Czym są twoi bogowie dla mnie?
Miłość nie zważa na wasnie ni zbrodnie,
Nie patrzy, kto obcy, a kto swój,
Jednak w jej uszach brzmią dzwony świątynne
I okrzyk muezina.
Miłość unieważni bowiem dawne krzywdy
I pokona dawny gniew,
Odkupi je łzami zapamiętanego smutku,
Co kalał minioną epokę.*

Sarodżini Najdu, Indyjska pieśń miłosna, 1917

Zza wzmocnionych mosiądzem tekowych drzwi willi w Mumbaju dobiegają wrzawa, huki, stuki i krzyki. Wewnątrz jesteśmy Dimple i ja, elegancko ubrane. Dimple ma na sobie inkrustowaną klejnotami tęczę z przewagą koloru różowego i zielononiebieskiego, a ja radosną czerwoną sukienkę i różowawy szal, dupatę, do których włożenia mnie nakłoniła – kazała mi rzucić śalwar kamiz, strój służący mi do tej pory za pierwszą linię obrony przed zabłąkanymi indyjskimi dłońmi.

Wspomniany zgiełk, który po trzech kwadransach osiągnął kulminację

w postaci nierytmicznego bębnienia, to barat naszej gospodyni – wstęp do hinduskiej ceremonii ślubnej wywodzący się z tradycji sikhijskiej, w ramach której weselnicy ze strony pana młodego pod wodzą jego kolegów ceremonialnie maszerują pod dom panny młodej – zachodnia tradycja *à rebours*, bo u nas panna młoda jest prowadzona do ołtarza.

Wraz ze wzrostem zamożności i pewności siebie społeczeństwa indyjskiego zwiększył się też rozmach i hałaśliwość baraty. Dziś ten obyczaj może potrwać nawet trzy godziny, a pan młody przyjeżdża na koniu bądź też goście z jego strony, przewrotnie modyfikując północnoindyjską tradycję, przybywają na rolkach. Ta ekshibicjonistyczna rywalizacja zrodziła też pokrewne zjawiska, nad którymi ubolewa indyjska prasa, a mianowicie ślubnych kieszonkowców i ludzi, którzy korzystają z zamieszania i bez zaproszenia wkręcają się na przyjęcia weselne osób z towarzystwa.

Dimple i ja stoimy na aksamitnym dywanie w kolorze pomidorowym, nakrapianym światłem podwieszonych u sufitu ozdobnych lampionów wykonanych za słone pieniądze przez awangardowego mumbajskiego projektanta. Pełnimy funkcję głównie dekoracyjną, stoimy bowiem w rewirze zarezerwowanym dla gości spoza miasta, zaproszonych po to, aby panna młoda mogła się pochwalić swoim kosmopolityzmem i bogactwem. Skromnie trzymamy się na końcu cierpliwej gwardii honorowej złożonej z członków rodziny i znajomych panny młodej.

W tym samym czasie dziesiątki tysięcy ludzi w całych Indiach robią to samo: olśniewająco ubrani goście weselni, zdenerwowani rodzice i stremowani państwo młodzi. Dzisiaj wypada jeden z najpomyślniejszych dni na ślub – w indyjskim kalendarzu jest zaledwie kilka dat (cateringowcy i kapłani nie mogą się wtedy opędzić od zamówień), które indyjskie rodziny wybierają dla swoich dzieci, chcąc im zapewnić jak największe szanse – w sensie astrologicznym – na udane małżeństwo.

Część z tych tysięcy par przypomina dwoje ludzi, którzy za chwilę spotkają się koło drzwi willi: aranżowane, ale kochające się małżeństwo, oboje wykształceni na Zachodzie, chcieliby odegrać gwiazdorską rolę w historii sukcesu Indii w XXI wieku. Inni nie widzieli się na oczy przed ślubem, panna młoda pokornie chyli głowę pod ciężką czerwoną zasłoną^[41],

ghunghatem, milcząca i posłuszna. Jeszcze inni poznali współmałżonka przez internet, co kilkanaście lat temu dla większości indyjskich rodzin byłoby nie do pomyślenia. Setki spośród tych par, a być może tysiące, rozwiodą się w najbliższych latach, kiedy zachodni indywidualizm i nacisk na samorealizację głębiej zapuszczą korzenie w pradawej indyjskiej glebie.

Ciężkie drzwi się otwierają i przy akompaniamencie werbli weselnicy, w pawim upierzeniu z jasnych jedwabów, przechodzą do udekorowanego za wielkie pieniądze pałacu ślubów. Patrzę na młodą parę, która zajmuje teraz miejsce na scenie i czeka na pierwszą z mnóstwa ceremonii i błogosławieństw hinduskiego wesela. Siedzą pokornie: panna młoda ładna i cierpliwa, spływająca złotymi ozdobami, pan młody w pięknie skrojonej kurcie^[42]. Zastanawiam się, jak będzie wyglądało ich życie miłosne: bardziej satysfakcjonująco niż dotychczasowe moje, kobiety z postantykoncepcyjnego, porewolucyjnego Zachodu? Bardziej satysfakcjonująco niż okropne doświadczenia Dimple z małżeńską kopulacją?

Kilka miesięcy tych seksploracji uświadomiło mi, że zarówno Indusi, jak i my, Brytyjczycy, dzielimy łoża małżeńskie z widmami purytańskiej przeszłości. Owszem, imperium brytyjskie usadowiło się w Indiach z „teologicznym rozmachem”, ale umoralniającą propagandę szerzyło z nie mniejszą energią niż choroby weneryczne i w niszczeniu starożytnego indyjskiego erotyzmu miało większe sukcesy niż w głoszeniu ewangelii seksualnej powściągliwości.

Dowiedziałam się zatem, że ze wszystkimi naszymi pigułkami antykoncepcyjnymi i dostępną na okrągło pornografią zachodnia rewolucja seksualna nie jest epilogiem, za który w naszej arogancji często ją uważamy, nie kładzie kresu odwiecznym męsko-damskim przepychankom. Zachodnie dziewczyny powiększają sobie piersi, żeby zrobić karierę modelki uwieńczoną ślubem z piłkarzem, a ogromne rzesze bombardowanej internetową pornografią młodzieży nie wiedzą, podobnie jak młodzież indyjska, że istnieje związek między seksem a miłością.

Powiedziano nam, że możemy mieć wszystko naraz, ale najwyraźniej zostaliśmy oszukani.

Mam zatem nadzieję, że w Indiach stawiających pierwsze nieporadne kroki ku rewolucji społecznej i seksualnej ziszczą się optymistyczne przewidywania, z którymi Dimple i ja spotykałyśmy się podczas naszej seksploracji subkontynentu – i tutejsza rewolucja seksualna będzie naznaczona pradawnymi mitami i duchowością tej cywilizacji oraz dziedzictwem wielkich indyjskich historii miłosnych.

W wyszukanej i pięknej dworskiej literaturze miłosnej, która rozkwitała w północnych Indiach w okresie późnego średniowiecza, Krysna nie jest priapicznym podrywaczem – nim stał się dopiero później – lecz ucieleśnieniem elegancji i dobrych manier, wyrafinowanym dworzanimem i wytrawnym kochankiem. W poematach takich autorów jak Keśawdas (1555–1617), poeta na dworze radźputa Wira Singha Deo z Orchy (w dzisiejszym Madhja Pradeś), Krysna i jego umiłowana Radha są archetypowymi kochankami, którzy się kłócą, rozstają, godzą i przeżywają opisywane bez ogródek miłosne ekstazy. Patos, furia i śmiech zawarte w tych starych opowieściach nadal do nas przemawiają, pod wieloma względami przyćmiewając ugrzecznione historie miłosne, którymi kupczą Bollywood i Hollywood. Na przykład w zainspirowanym zmiennością pór roku poemacie Keśawdasa *Kawiprija* (Radość poety) słyszymy głos zakochanej kobiety, która patrzy na metamorfozy pogody przez różowe okulary swoich namiętności i błaga kochanka, żeby jej nie opuszczał:

Strumienie wezbrane od deszczy monsunowych wyglądają tak pięknie, gdy pędzą połączyć się z morzem. Pnącza miłośnie oplatają drzewa. Ruchliwe pioruny błyskają dokoła, flirtując z chmurami. Pawie piskliwym wołaniem zwiastują zespolenie ziemi z niebem. W miesiącu śrawan^[43] spotykają się wszyscy kochankowie. Jak zatem mogłeś choćby pomyśleć o odejściu, ukochany?

Mam nadzieję, że nowa historia seksualna opowiadana przez krainę Kamasutry zachowa trochę romantyzmu dawnej poezji dworskiej – że ponownie odkryje uczucia, którym świat zawdzięcza najpiękniejsze materialne ucieleśnienie miłości: Tadz Mahal. To świetliste marmurowe mauzoleum, które w XVII wieku wznosił na szmaragdowych trawach stanu

Uttar Pradeś pogrążony w żałobie owdowiały cesarz Śahdżahan, przypomina nam wszystkim – na Wschodzie i na Zachodzie – o transcendencji zawartej w miłosnych związkach śmiertelników, o czymś wykraczającym ponad trywialne kłótnie i bolesne zahamowania, typowe dla dzisiejszych stosunków między płciami.

Czy Kamasutra pomoże się Indiom odnaleźć w ich nowej, wspaniałej epoce? Wątpię. Owszem, Kamasutra maluje niezawoalowany obraz koitalnych rozkoszy, podkreśla, że kobiety również mogą mieć przyjemność z seksu, co na Półwyspie Indyjskim wciąż budzi kontrowersje, zawiera chaotyczny, ożywczy i perwersyjny katalog seksualnych ruchów, ale na jej stronach brakuje czegoś bardzo ważnego. Ukazany tam seks jest jednowymiarowy, przedstawiony jako czynność, a nie relacja. Kiedy Watsjajana pisze o wszechstronnym „światowcu”, nie przychodzi mu do głowy, że w seksualnym zespoleniu można znaleźć jakieś głębsze rozkosze niż fachowe wykonanie pozycji seksualnych – że może dojść do prawdziwego kontaktu między dwojgiem ludzi.

W Delhi można napotkać oznaki tego, że przetrwało coś z romantycznej czułości Śahdżahana. Od paru lat kochankowie w indyjskiej stolicy zaczęli puszczać latawce z miłosnymi komunikatami. W bezchmurne letnie dni przed zmierzchem trzepoczą w powietrzu miłosne liściki: wiadomości przeznaczone dla dziewczyn, których ojcowie nie wypuszczają z domu, czy tajne szyfry zrozumiałe tylko dla osoby wtajemniczonej. Jest to ukłon w stronę innej pradawnej indyjskiej historii miłosnej, historii tworzącego w języku urdu dziewiętnastowiecznego poety Mirzy Galiba, który według legendy pisał piękne romantyczne strofy na latawcach i puszczał je swojej kochance, tancerce Ćunnie Dżan.

Dwie godziny później nowożeńcy mają za sobą ceremonię siedmiokrotnego okrążenia ognia, nawiązującą do wedyjskiej ofiary ogniowej jadźny, która oficjalnie czyni ich mężem i żoną. Zgodnie z południowoindyjską tradycją recytują następującą mantrę:

„Teraz złożmy razem ślubowanie. Połączmy nas miłość, wspólne spożywanie pokarmów, wspólna siła, wspólne upodobania. Staniemy się jednym umysłem”

Z ustami pełnymi panipuri^[44] i sercem nagle przepełnionym nadzieją zerkam w stronę Dimple. Moja przyjaciółka stoi po drugiej stronie sali, wygląda pięknie w swoich jedwabiach i z ożywioną miną rozmawia z przystojnym młodym człowiekiem z Radżasthanu.

Ona również na mnie patrzy i uśmiechamy się do siebie.

Lecz gdy koło namiętności

Zawiruje, wtedy nie masz

Ni nauki, ni systemu (Kamasutra, s. 43).

BIBLIOGRAFIA

- anon, *The Mahabharata*, przeł. John D. Smith, Penguin Classics 2009.
- Dasin, Raaja, *Shimla: The Summer Capital of British India*, Penguin 1994.
- Dasgupta, Katherine, *Behind the Beautiful Forevers: Life, Death and Hope in a Mumbai Slum*, Random House 2012.
- Dasgupta, Pritham K. i Khanna, Rakesh, *The Bhaft Anthology of Tamil Pulp Fiction*, Bhaft Publications 2011.
- Dasgupta, Minakshi, *Love Stories of Shimla Hills*, Rupa 2010.
- Dasgupta, Amit, *An Infatuation*, „London Review of Books” 2011.
- Dasgupta, Ashok, red., *Khushwant Singh on Women Sex, Love and Lust*, Hay House 2011.
- Dasgupta, A.L., *Indian Love Poetry*, British Museum Press 2013.
- Dasgupta, Courcy, Anne, *The Fishing Fleet: Husband-Hunting in the Raj*, Weidenfeld & Nicolson 2012.
- Dasgupta, Laura, *Żona uległa*, przeł. Grażyna Gasparska, Amber 2002.
- Dasgupta, Anand i Sarkar, Anita, *Adkatha: The Story of Indian Advertising*, New Delhi Sage Response 2012.
- Dasgupta, Tim, *The Logic of Life: Uncovering the New Economics of Everything*, Little, Brown, 2008.
- Dasgupta, Ronald, *Empire and Sexuality*, St Martin's Press 1991.
- Dasgupta, Ronald, *Understanding the British Empire*, Cambridge University Press 2010.
- Dasgupta, Anjani Kumar, *Aghoreshwar*, Rema Ram Temple Publishing 2011.
- Dasgupta, Sudhir, *Intimate Relations: Exploring Indian Sexuality*, University of Chicago Press 1990.
- Dasgupta, Mukul, *The Ugliness of the Indian Male and Other Propositions*, Black Kite 2008.
- Dasgupta, Rudyard, *The Collected Poems of Rudyard Kipling*, Wordsworth

Editions 1999.

Wis, C.S., *The Allegory of Love: A Study in Medieval Tradition*, Oxford University Press 1936.

Menon, Rajendar, *Karma Sutra: Adventures of a Street Bum*, HarperCollins India 2012.

Sharma, Pankaj, *Butter Chicken in Ludhiana: Travels in Small Town India*, Picador 2006.

Sharma, Cleo, *Goa Freaks: My Hippie Years in India*, Foxrock 1995.

Card, Liza, *Victorian London, The Life of a City 1840–1870*, Orion 2005.

Porter, Roy i Teich, Mikulas, *Sexual Knowledge, Sexual Science: The History of Attitudes to Sexuality*, Cambridge University Press 1994.

Madhukrishna, Geeta i Menon, R.K., *Mohiniyattam: The Dance of the Enchantress*, Mohiniyatta Nritya Kalakshetra 1997.

Abb, Peter, red., *Sex and Sensibility: Richard Blechynden's Calcutta Diaries 1791–1822*, OUP India 2011.

Rose, Phyllis, *Parallel Lives: Five Victorian Marriages*, Vintage 1984.

Osin, Hanna, *The End of Men: And the Rise of Women*, Riverhead Books 2012.

Roy, Rahul, *A Little Book on Men*, Yoda Press 2007.

Russell, Bertrand, *Marriage and Morals*, George Allen and Unwin 1929.

Itsyayana, Mallanaga, *The Kama Sutra*, przeł. Sir Richard Burton, Wordsworth Classics 1995.

Itsyayana, Mallanaga, *Kamasutra*, przeł. Wendy Doniger i Sudhir Kakar, Oxford World's Classics 2002.

Itsyayana, Mallanaga, *The Kama Sutra: A Guide to the Art of Pleasure*, przeł. A.N.D. Haksar, Penguin 2011.

von Tunzelmann, Alex, *Indian Summer: The Secret History of the End of an Empire*, Picador 2007.

Itsjajana Mallanaga, *Kamasutra, czyli traktat o Miłowaniu*, przeł. z oryg. sanskryckiego, wstępem, przedmową, przypisami i słowniczkiem opatrzył Maria Krzysztof Byrski, Państwowy Instytut Wydawniczy 1985.

Idi, Annie i Revindra, Smriti, *The Bad Boy's Guide to the Good Indian Girl*, Zubaan 2011.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Nicholasowi Brealeyowi za podjęcie ryzyka i zgodę na projekt, którego aktualność dzisiaj jest oczywista, ale nie była taka w momencie, kiedy idea *Dzienników Kamasutry* nabierała kształtu.

Z osób, z którymi kontaktowałam się w Indiach, wiele zasługuje na moje podziękowania. Są to Gitandźali Krysna za podpowiedzenie mi tematów do książki, Radża Bhasin za podzielenie się ze mną szeroką wiedzą na temat Indii Brytyjskich, Rosalyn D'Mello za wprowadzenie w temat indyjskiego feminizmu, Minakši Puri, Kapil Gabie, Pargji Tanedźi i Mali Saćdewie za przemyślenia o związkach między współczesną indyjską duchowością i seksualnością. Kirat Sodhi za ekspresowe usługi fotograficzne w Khadźuraho. Radźendrze Menen za informacje o dzielnicy czerwonych latarni w Mumbaju i przedstawienie mi swoich poglądów na jej temat. Lisie Marbaniang i Mary za ugoszczenie mnie w Śilangu. I wreszcie Priji Paul za informacje na temat indyjskiego rynku matrymonialnego.

Z osób, które pomogły mi w Wielkiej Brytanii, chciałabym podziękować Anne i Johnowi za wsparcie gastronomiczne i udostępnienie mi miejsca do pisania. Timowi Davies'owi, Stacey Teale, Tanyi Love, Gemmie Elwin-Harris, Prudence Kordzie, Annie Watson, Adamowi Howardowi, Kate Mansfield, Sophy Grimshaw, Sarah Costley i innym pracownikom Studia 20 za wsparcie, korektę i uwagi zgłaszane w kolejnych stadiach powstawania tej książki. Susannah Lear, Sally Lansdell i reszcie ekipy z Nicholas Brealey za ciężką pracę nad manuskrypcem i projektem graficznym. Nickowi Blackowi za przemyślenia o rewolucji seksualnej w latach sześćdziesiątych. Nomi Kakoty z Dalton Kakoty i wszystkim pracownikom agencji turystycznych Greaves Travel, Cox and Kings, Abercrombie & Kent oraz hoteli Taj i Oberoi za umożliwienie mi wykorzystania moich kontaktów dziennikarskich do realizacji tego projektu.

Dołożono wszelkich starań, aby rzetelnie przedstawić opisane w książce fakty, ale z pewnością wkradły się błędy (za które biorę pełną odpowiedzialność). Nazwiska i inne dane niektórych z opisywanych lub cytowanych osób zostały zmienione w celu ochrony ich prywatności lub na ich prośbę.

UWAGI NA TEMAT TRANSKRYPCJI I ZAPISU NAZW WŁASNYCH

W Indiach językiem oficjalnym jest współczesne standardowe hindi zapisywane pismem *dewanagari*. Używają go przede wszystkim mieszkańcy północnych i środkowych części kraju. Angielski ma status języka pomocniczego w administracji i sądownictwie, ale jest powszechny wśród wykształconych Indusów z dużych miast, a także jako wspólny język komunikacji między mieszkańcami z różnych części Indii.

W książce terminy, nazwy i imiona indyjskie podano w wersji spolszczonej, zgodnej z zasadami polskiej transkrypcji. Zapis angielski nie pozwala bowiem odtworzyć indyjskiej wymowy i może prowadzić do błędnych zniekształceń podawanych terminów. Jedynie w wypadku nazwisk znanych Indusów żyjących współcześnie pozostawiono zapis angielski – taki, w jakim funkcjonują one powszechnie w Indiach (np. aktor Amitabh Bachchan). Zatem angielskie „j” czyta się jak polskie „dź”, „ch” jak „ć”, „sh” jak „ś” lub „sz”. Niekiedy w tekście pojawiają się terminy indyjskie, których forma nie jest zgodna z zasadami transkrypcji, ale utrwaliła się już w języku polskim i tak też występuje powszechnie w literaturze pięknej i opracowaniach naukowych (np. słowo maharadża).

Przytaczane nazwy geograficzne zapisane są w wersji spolszczonej, zgodnej z publikacją *Nazewnictwo geograficzne świata, zeszyt 4: Azja Południowa* (Główny Urząd Geodezji i Kartografii, Warszawa 2005). Uwzględniono również niedawne zmiany oficjalnych nazw miast indyjskich, dlatego jeśli mowa jest o wydarzeniach współczesnych, użyte zostały: Mumbaj (do 1995 r. Bombaj), Ćennaj (do 2000 r. Madras), Kolkata (do 2001 r. Kalkuta), Bangalur (do 2006 r. Bangalore).

Przyjęto, że wobec mieszkańca Indii używane jest określenie Indus,

natomiast wobec wyznawcy hinduizmu – hindus. Dzięki temu można uniknąć częstego w polskich publikacjach mieszania pojęcia obywatela kraju z przedstawicielem religii dominującej (ale nie jedynej) w Indiach.

Ada Dyndo

W serii:

Piotr Nesterowicz **CUDOWNA**

Piotr Ibrahim Kalwas **EGIPT:**

HARAM HALAL

Robert Rient **ŚWIADEK**

Aleksandar Hemon **DWA RAZY ŻYCIE**

Jarosław Mikołajewski

WIELKI PRZYPIŁYW

Frank Westerman **EL NEGRO I JA**

Héctor Tobar **CIEMNOŚĆ**

Konrad Oprzędek **POLAK**

SPRZEDA ZMYŚŁY

Sally Howard **DZIENNIKI KAMASUTRY**

W przygotowaniu:

Krzysztof Jacek Hinz **KUBA.**

SYNDROM WYSPY

SERIA REPORTERSKA

Seria premierowych książek reporterskich. Autorzy uznani i debiutanci. Książki z Polski i ze świata. O tym, co nas dziwi, co boli, czego nie rozumiemy, o czym nie mamy pojęcia, choć wydarzyło się tuż obok – lub na drugim końcu świata, na który nigdy nie dotrzemy.

To obowiązkowa lektura dla każdej osoby, która afirmuje seks i uwielbia podróżę. Subkontynent indyjski jest kolebką wielu narodów, kultur, tradycji. Tu powstała Kamasutra (w języku staroindyjskim: podręcznik miłości, przepis miłości) napisana wierszem przez poetę Watsjajana. W tym dziele o dużym znaczeniu dla historii indyjskiej kultury i obyczajowości zawarta jest wiedza o staroindyjskiej sztuce miłosnej – wiedza wciąż aktualna i fascynująca.

Motywnym przewodnim podróży Sally Howard jest próba uchwycenia zmian, które dokonały się tam na przestrzeni dziejów, w podejściu do seksualności. Sławny podręcznik miłości stanowi inspirację do rzetelnego opisanie aktualnej polityki społecznej Indii. Autorka zabiera Czytelników w fascynującą podróż po tym kraju od XVIII do XXI wieku. Howard ma oczy szeroko otwarte i prezentuje nam obraz Indii, którego nie poznamy, wyruszając tam z biurem turystycznym. Dla mnie każdy rozdział był wyjątkowo pouczającą wyprawą.

dr Andrzej Depko, seksuolog

– Wiedziały panie, że w sanskrycie jest ponad dwadzieścia słów oznaczających seks? I że w hindi są słowa związane z seksem, które nie mają bezpośrednich odpowiedników w angielskim? Na przykład: *ćudasi* znaczy „smutek po seksie”, a *mitha dard*, dosłownie „słodki ból”, to uczucie ciężkości w kończynach po stosunku.

– Tak wiele straciliśmy – powtarza Dimple, patrząc na grupę nastolatków w schludnych mundurkach chrześcijańskiej szkoły.

Fragment książki



KSIĄŻKA DOSTĘPNA
RÓWNIEŻ JAKO E-BOOK



cena 42 zł
(w tym 5% VAT)

SERIA REPORTERSKA

Przypisy

[1] Wszystkie cytaty z *Kamasutry, czyli traktatu o Miłowaniu* pochodzą z przekładu Marii Krzysztofa Byrskiego, PIW, Warszawa 1985 (przyp. tłum.).

[2] Memsahiba to skrót od *madame sahiba* – zwrotu używanego w Indiach Brytyjskich wobec białych kobiet z wyższych sfer; *sahiba* (w hindi) oznacza panią, damę, *sahib* – pana (przyp. kons.).

[3] Bramin – kapłan, członek najwyższej warstwy w tradycyjnej organizacji społecznej hindusów (przyp. kons.).

[4] Aśram – miejsce odosobnienia, pustelnia (przyp. kons.).

[5] Ghaty – stopnie prowadzące do rzeki (przyp. kons.).

[6] Dekoratorstwo wnętrz i ogrodnictwo uchodziły za zajęcia typowo kobiece, w przypadku mężczyzny sugerowały homoseksualizm (przyp. tłum.).

[7] Po angielsku dosłownie „trawiastymi”; wielu etymologów kwestionuje podane przez Radzę pochodzenie tego sformułowania (przyp. tłum.).

[8] *Mundus, caro, et diabolus* to biblijna trójca wrogów duszy (przyp. tłum.).

[9] Przeł. Krystyna Tarnowska i Andrzej Konarek, Czytelnik, Warszawa 1979, s. 344.

[10] Hindustani – potoczna, ponadregionalna forma języka stanowiąca wspólną bazę kolokwialną dla języków hindi i urdu powszechna w XIX i pierwszej połowie XX wieku (przyp. kons.).

[11] Tzw. *Prince Albert piercing* zawdzięcza swoją nazwę pogłoskom, które nie znajdują potwierdzenia w źródłach historycznych (przyp. tłum.).

[12] Dosłownie „droczenie się z Ewą”, stosowany w wielu krajach azjatyckich eufemizm oznaczający seksualne zaczepki (przyp. tłum.).

[13] *Czow mein* – smażony makaron z warzywami, może być z dodatkiem

mięsa (przyp. kons.).

[14] Tandur – gliniany piec z otwartym na górze paleniskiem, opalany węglem drzewnym; służy do wypalania chlebów nan, pieczenia mięsa, ryb (przyp. kons.).

[15] Jej mężem jest aktor Abhishek Bachchan, syn legendy kina bollywoodzkiego Amitabha Bachchana, o którym była mowa w rozdziale 2 (przyp. kons.).

[16] Radźputowie (z sanskrytu synowie króla, królewicze), czyli przedstawiciele klasy politycznej sprawującej władzę w Indiach Północnych (przyp. kons.).

[17] Sardar – tytuł używany wobec sikhijskich mężczyzn (przyp. kons.).

[18] Gra zespołowa, polegająca na tym, aby na jednym oddechu przedostać się do kręgu przeciwnika i powrócić do własnej drużyny (przyp. tłum.).

[19] Dżat – członek tradycyjnej społeczności rolniczej z północno-zachodnich Indii i z terenów Pakistanu (przyp. kons.).

[20] Stan Meghalaja graniczy tylko z Bangladeszem (przyp. tłum.).

[21] Sannjasin to zgodnie z tradycją wędrowny asceta, osoba, która znajduje się w ostatnim z czterech tradycyjnych etapów życia, sannjasie; etap ten polega na wyrzeczeniu się świata materialnego i na ascezie. Współcześnie termin ten często odnosi się także do zwolenników Osho (patrz niżej w tekście), którzy chcą podążać wyznaczoną przez niego ścieżką duchową (przyp. kons.).

[22] Sitar – siedmiostrunowy instrument muzyczny używany w klasycznej muzyce indyjskiej (przyp. kons.).

[23] Kaśi – historyczna nazwa miasta Waranasi (przyp. kons.).

[24] Pięć M, czyli pañćamakara, to zgodnie z tradycją pięć nieczystych rytualnie rzeczy zakazanych hindusom głównych nurtów; praktykują je natomiast członkowie nieortodoksyjnych ścieżek tantrycznych, którzy wierzą, że poprzez przełamywanie tabu można osiągnąć rozwój duchowy i zbliżyć się do stanu oświecenia (przyp. kons.).

[25] Bhang – wyciąg z liści i kwiatów konopi indyjskiej (*Cannabis sativa*)

o właściwościach psychoaktywnych; można go spożywać w postaci pitnej, po zmieszaniu z jogurtem lub mlekiem (bhang lassi) albo palonej (przyp. kons.).

[26] Mantry – święte formuły, które stanowią niezbędny element rytuałów hinduskich; mogą mieć długość jednej sylaby (np. głoska „Om”) lub całego hymnu (przyp. kons.).

[27] Lassi – indyjski napój przyrządzany z jogurtu i wody; może być słony, słodki, z dodatkiem owoców, wiórków kokosowych lub przypraw (przyp. kons.).

[28] Marco Polo, *Opisanie świata*, przeł. Maria Ludwika Czerny, PIW, Warszawa 1975, s. 295.

[29] Bezkastowi, współcześnie nazywani dalitami, to grupa ludzi, która znajdowała się poza tradycyjnym społeczeństwem indyjskim, nie należała do żadnej z czterech warn, tj. klas (przyp. kons.).

[30] Kanwar Lal, *Immortal Khajuraho*, Asia Press, Delhi 1965, s. 174.

[31] Rasa – jest to termin wieloznaczny („esencja”, „smak”, „emocje”, „uczucie”, „nastrój”) o charakterze estetycznym, często jednak bywa rozumiany także jako szczególny stan umysłu odbiorcy, reakcja jego świadomości, jeden z rodzajów poznania estetycznego (przyp. kons.).

[32] Idli – popularne danie śniadaniowe z południowych Indii, niewielkie ryżowe białe placki zwykle podawane z dwoma sosami (przyp. kons.).

[33] Dhoti – bawełniana tkanina (na ogół biała) noszona wokół bioder, zwykle przez mężczyzn (przyp. kons.).

[34] Pakora, kawałki warzyw w cieście smażone w głębokim oleju, to popularna przekąska w Indiach (przyp. kons.).

[35] Struggler – dosł. walczący, zmagający się (przyp. tłum.).

[36] Kretek – papierosy o słodkawym zapachu tradycyjnie produkowane w Indonezji, mieszanka tytoniu, oleju goździkowego i innych dodatków (przyp. kons.).

[37] Niesamowite Indie – aluzja do promującej Indie kampanii reklamowej „Incredible India” (przyp. tłum.).

[38] Ćapati – cienkie placki, podpłomyki, popularne w Indiach (przyp.

kons.).

[39] USP – unique selling proposition, eksponowany w kampanii reklamowej najważniejszy atut danego towaru (przyt. tłum.).

[40] Tradycyjny posag obejmuje przede wszystkim złoto i złotą biżuterię, współcześnie także samochody, domy i zagraniczne wakacje (przyt. kons.).

[41] Czerwony to kolor panny młodej i mężatki (przyt. kons.).

[42] Kurta – dłuższa koszula z kołnierzem w stójkę (przyt. kons.).

[43] Śrawan to piąty miesiąc hinduskiego kalendarza księżycowego, który przypada mniej więcej od połowy czerwca do połowy sierpnia, czyli na okres monsunu, tradycyjnie uznawany za czas sprzyjający miłości (przyt. kons.).

[44] Panipuri (inaczej golgappa lub pućka) – popularna przekąska uliczna. Niewielkie puste w środku wykonane z mąki i usmażone w oleju kulki, nadziewane ziemniakami, cieciorą i cebulą z przyprawami i sosem chutney (przyt. kons.).